

PRAWDZIWA PRZYCZYNA KLĘSKI DEMOGRAFICZNEJ

Jak sprawić, by rodzice nie byli karani za posiadanie dzieci



TYGODNIK LISICKIEGO

DO

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 45/347 4-11 LISTOPADA 2019

RZECZY

Ziemkiewicz broni Schetyny:
najlepszy z najgorszych

PRAWDA
O KULISACH
ŚMIERCI
CHORAŻEGO
SZUJSKIEGO



Holenderscy rolnicy
kontra ekolodzy

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829



Nakład: 71 tys. egzemplarzy

NIESTRAWNA DIETA Olgi Tokarczuk

Co nam serwuje nowa noblistka



PGNiG gwarantem bezpieczeństwa energetycznego Polski

Naszą misją jest zapewnienie Polsce bezpieczeństwa energetycznego. Każdemu naszemu działaniu przyświeca myśl, by działać zgodnie z interesem kraju i społeczeństwa, tak by realizować ambitne cele biznesowe i jednocześnie wspierać ideę patriotyzmu narodowego.





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Polityczne skażenie

Komisja Europejska wniosła przeciw Polsce kolejną skargę do Luksemburga. Tym razem chodzi o rzekomo upolityczniony system dyscyplinowania sędziów, który wprowadził polski rząd. Ciekawy jest sposób uzasadnienia tej skargi: według KE powołana wskutek nowych przepisów Izba Dyscyplinarna składa się wyłącznie z sędziów wybranych przez Krajową Radę Sądowniczą. Ta zaś została powołana przez polityków, czyli większość sejmową, co według KE „nie gwarantuje bezstronności organu”. Koń by się uśmieł. Doprawdy, jeśli ktoś poszukuje argumentów wskazujących na posługiwanie się przez Brukselę dwiema miarami, to właśnie ta skarga mu ich dostarcza.

Okazuje się bowiem, że polscy sędziowie tracą niezależność i bezstronność tylko z tego powodu, że ich wyboru dokonują... sędziowie, powołani głównie z grona sędziów przez polityków. Sam akt nominacji politycznej oznacza z natury skażenie. Tak jest przynajmniej w stosunku do Polski – bo w przypadku innych państw Unii nominacje sędziów dokonywane przez polityków końca niezależności nie oznaczają. Dlaczego zatem w Polsce jest

inaczej? Bo w Polsce większość sejmową, która powołała nowych członków KRS, stanowi prawica. A prawica, co naturalne, nie ma takich samych praw jak lewica. Ktoś jeszcze nie zrozumiał tej logiki?

Dokładnie na jej mocy Komisja Europejska, której wszyscy członkowie zostali wybrani w sposób polityczny, są bowiem nominowani przez rządy państw UE, usurpuje sobie prawo do występowania ze skargą przeciw polskiemu państwu. Tak jakby KE była niezależnym „prokuratorem” lub rzecznikiem praw. Politycznie wybrani reprezentanci w większości lewicowych rządów udają troskę o zasadę bezstronności i oskarżają Polskę o złamanie reguł słuszości. Czy to się nie nazywa hipokryzją? Przecież gdyby przyjąć ich zasadę rozumowania – każda polityczna nominacja raz na zawsze naznacza człowieka i z góry uniemożliwia mu bezstronność i niezależność – musieliby w pierwszej kolejności oskarżyć własne systemy wymiaru sprawiedliwości. Po drugie jak to się niby dzieje, że zostając członkami KE, oni, nominaci polityczni, stają się nagle bezstronni i, co więcej, roszczą sobie prawo ferowania wyroków na

temat systemu prawodawstwa w poszczególnych państwach? Jak to się dzieje, że były minister lub premier poszczególnego rządu Unii, zostając komisarzem, automatycznie zyskuje bezstronność, a nominowany przez polityczną większość sędzia w Polsce ją traci?

Idźmy dalej. Cała ta koncepcja, na mocy której wybór sędziów do KRS przez polityczną większość parlamentu, i to kwalifikowaną, oznacza ingerencję w niezawisłość i ogranicza prawa sędziów, jest po prostu niedorzeczna. Wydając wyrok, sędzia nie jest osobą prywatną, ale reprezentantem państwa. Stoi za nim cała jego siła. Nawet najgłupszy, najbardziej niesprawiedliwy i skrajnie stronnictwy wyrok – a takich niestety można by przytoczyć wiele – ma poparcie państwa za sobą. Państwa, w którym wszystkie władze zależą teoretycznie od narodu. Jak zatem można twierdzić, że naród ten nie może mieć żadnego, pośredniego choćby i ograniczonego, wpływu na władzę sądowniczą? Rzeczywiście, współczesne demokracje liberalne cierpią na swego rodzaju hipertrofię władzy sędziowskiej. To sędziowie, dokonując często dowolnej, arbitralnej interpretacji, dokonują zmian w prawodawstwie. Robią to całkowicie wbrew zasadzie demokracji, nie oglądając się na większość, na jej odczucia i przekonania. Często też, tak jak w Polsce, domagają się dla siebie całkowitej bezkarności. System, w którym sędziowie powoływani przez sędziów mogą dyscyplinować sędziów, przypomina układ kastowy. Jest on po prostu nie do obrony.

Mimo to trudno powiedzieć, jakie będzie ostatecznie orzeczenie TSUE w sprawie skargi KE. Trzeba też pamiętać, że chociaż złożono ją w Luksemburgu teraz, została ona przygotowana w kwietniu, ma zatem za sobą poparcie starej Komisji. Czy nowa zachowałaby się podobnie? Nie wiadomo. ©©

RYSUNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

20 KRZYSZTOF MASŁOŃ

MITOTWÓRSTWO OLGI TOKARCZUK

Niestrawna dieta nowej noblistki

KRAJ

26 ROZMOWA

Z MICHAŁEM DWORCZYKIEM

TUSK NIE ZARYZYKUJE STARCIA Z DUDĄ

Szef Kancelarii Prezesa Rady Ministrów:
Platforma jest w stanie rozkładu

30 KAMILA BARANOWSKA

GRA O SENAT

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PRZYWÓDCA Z BRAKU LEPSZEGO

34 ŁUKASZ WARZECHA

KOMU FUTRA NIEWYGODNE

36 WOJCIECH WYBRANOWSKI

SZPIEG IN PECTORE

38 ŁUKASZ ZBORALSKI

OBCY ATAKUJĄ

KULTURA

40 MARCIN MAKOWSKI

FANTASYKA POLITYCZNIE POPRAWNA

Jak HBO mówi o rasizmie i imigrantach

44 JOANNA BOJAŃCZYK

POLSKA W OBRAZIE

46 TOMASZ ROWIŃSKI

POWRÓT PAMIĄTEK

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 PRZEMYSŁAW ZAŁUSKA

TYLKO FRAJERZY MAJĄ DZIECI

Jak osiągnąć sukces demograficzny?

58 MARIUSZ STANISZEWSKI

SYMETRYCZNA DROGA DONIKĄD

HISTORIA

60 FELICJAN PAWLAK

DZIENNIK Z PIEKŁA

Zapiski polskiego oficera
z czasów II wojny światowej

66 TOMASZ LENCZEWSKI

ŚMIERĆ CHORAŻEGO SZUJSKIEGO

ŚWIAT



68 MACIEJ SZYMANOWSKI

BUDAPESZT PRZEJĘTY

Co się stało na Węgrzech

70 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

**TEN FILM WSTRZĄSNĄŁ
AMERYKĄ**

EKONOMIA

76 JACEK PRZYBYLSKI

NADCIĄGA

GROŻNE SPOWOLNIENIE

Czarne chmury nad globalną gospodarką

80 MAREK MIŚKO

NOWY ZIELONY ŁĄD

82 JAKUB WOZINSKI

PRYWATNY REAKTOR

88 ROZMOWA Z IZABELĄ ALBRYCHT

HAKER MOŻE ZAATAKOWAĆ

**NAWET ELEKTRYCZNĄ SZCZOTECZKĄ
DO ZĘBÓW**

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ

LISTA NIESPODZIANEK

Nowe terapie dla pacjentów

Drodzy Czytelnicy,

Korespondencję elektroniczną do rubryki Listy prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Dwaj Panowie G., „DRz” 43/2019

Rzekome rozliczenia

W związku z informacją (czy raczej plotką; zob. „Do Rzeczy” 43/2019, s. 14.), że w PiS po wyborach narastają nastroje rozliczeniowe, w ramach których pojawiły się pretensje do Żaryna, iż uważał, że mu się mandat senatorski należał „jak psu buda”, i w domyśle niczego nie robił, by ten cel osiągnąć, uprzejmie informuję, że z ramienia Prawa i Sprawiedliwości nie otrzymałem żadnych oficjalnych sygnałów świadczących o niezadowoleniu z prowadzonej przeze mnie kampanii do Senatu RP. Zainteresowanych informuję ponadto, że w ciągu czterech lat sprawowania mojego mandatu byłem aktywnym senatorem nie tylko w gmachu parlamentu czy w mediach, lecz także w terenie – gdzie poznałem fantastycznych ludzi. W trakcie tygodniowej oficjalnej kampanii byłem niemal codziennie w okręgu, spotykając się – za pośrednictwem m.in. wspólniactw działaczy lokalnych PiS organizujących moje spotkania – z potencjalnymi wyborcami we wszystkich niemal zakątkach czterech powiatów podwarszawskich. Informuję także, że zdobyłem więcej głosów średnio o ponad 4,5 proc. niż posłowie PiS razem wzięci, czyli głosowali na mnie zapewne także wyborcy Konfederacji i PSL. Fakt, że nie głosowali na mnie miłośnicy KO i SLD, jest dowodem jedynie na to, że mam rozpoznawalne poglądy, a nie

na lenistwo. Zgodnie z danymi PKW głosowało na mnie ponad 137 tys. wyborców (48,8 proc.), za co serdecznie dziękuję. Z kolei w 2015 r. głosowało na mnie ponad 119 tys. wyborców, jedynie przy nieznacznie niższej frekwencji w tych powiatach. Stąd wniosek, że nie o aktywność senatora chodziło w tych wyborach. W ciągu ostatnich czterech lat niewątpliwie zmienił się skład społeczny podwarszawskich gmin, w tym w stolicy, gdzie pracujące rodziny zamieszkały na przedmieściach wraz ze swoimi poglądami. Zabieram głos, by uciąć niesprawiedliwe pomówienia dotyczące mojej osoby, gdziekolwiek by się pojawiły. Zachęcam natomiast do tego, by prawdę mówić mi w twarz!

Jan Żaryn

Od autorów

Szanowny Panie Profesorze, my też nie otrzymaliśmy żadnych oficjalnych sygnałów.

Z ciepłymi pozdrowieniami
Dwaj Panowie G.

„Przestroga dla Polski”, Paweł Lisicki, „DRz” 42/2019

Po przeczytaniu artykułu redaktora Pawła Lisickiego „Przestroga dla Polski” przyszło mi na myśl, że może za tym – jak to autor stwierdza – „osobliwym” tłumaczeniem prezydenta Donalda Trumpa odnośnie do swojego stanowiska wobec Kurdów kryje się również sugestia dla Polski, aby jednak jeszcze raz przemyślała swoje stanowisko odnośnie do zaspokojenia roszczeń żydowskich. Wszak sformułowanie „polskie obozy” pewnie jeszcze długo będzie istniało w świadomości narodów, a to daje możliwość wykorzystywania go w różnych okolicznościach. Jak to kiedyś stwierdził jeden z moich wykładowców w czasach szkolnych: „Albo jest się etycznym, albo ekonomicznym”. Wydaje mi się niemożliwe, aby te zagrożenia w naszych relacjach z USA, na które nie pierwszy raz zwraca uwagę P. Lisicki, nie były niezauważane i niebrane pod uwagę przez osoby odpowiedzialne za kształt naszych relacji z Amerykanami. Może więc w tym nierównym pojedynku sprzecznych interesów jest jednak jakiś plan na miarę pojedynku Dawida z Goliatem?

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Gociel**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, **Oliver Bault**, **Robert Bogdaniński**, **Joanna Bojanicz**,
Grzegorz Brozowski, **Stawomir Cenciewicz**, **Wiesław Chelminiak**,
Dominika Cioś (*Brusela*), **Krzysztof Czabański**, **Piotr Gursztyn**,
Maria Kądzelska, **Katarzyna**, **Jacek Komuda**, **Stawomir Koper**,
Piotr Kowalczyk (*Rzym*), **Jakub Kowalski**, **Grzegorz Kucharczyk**,
Tomasz Lenczewski, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**, **Marcin Małowski**,
Monika Małkowska, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**, **Gabriel Michalik**,
Filip Memches, **Agnieszka Niewińska**, **Andrzej Nowak**, **Maciej Pieczyński**,
Katarzyna Pinkosz, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**, **Krzysztof Rybiński**,
Stefan Sękowski, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**,
Tomasz P. Terlikowski, **Błażej Toraniński**, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczyk**,
Marcin Wolski, **Tomasz Wróblewski**, **Wojciech Wybranowski**,
Igor Zalewski, **Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska**, **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak**, **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzry**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express”)

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański**,
Jacek Nadartowski, **Anna Sobieska-Wójtowicz**, **Włodzimierz Zakrzewski**

Fotoreporterzy: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**

Korekta: **Jadwiga Marulewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**,
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystofa**

Okładka: **Adam Stepien**/Agencja Gazeta

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Pstrokoński**, **Ewa Rykaczewska**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 71 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Głębokie wyrazy współczucia
wszystkim Bliskim
tragicznie zmarłego



**Wojtko
Romańskiego**
dziennikarza „Rzeczpospolitej”

składają przyjaciele
z tygodnika „Do Rzeczy”

NA PIERWSZY OGIEŃ

Bez muru, ale i bez wspólnych wartości



PIOTR SEMKA

Zbliżająca się 30. rocznica upadku muru berlińskiego nie przebiegnie raczej w szampańskiej atmosferze. W Turyngii po raz pierwszy od upadku NRD postkomunistyczna Die Linke – spadkobierczyni partii SED Ericha Honeckera – wygrała wybory landowe z wynikiem 31 proc. Na drugiej pozycji znalazła się Alternatywa dla Niemiec z wynikiem 23,4 proc. CDU – partia Angeli Merkel – spadła na trzecie miejsce z wynikiem 21,8 proc. Dodajmy słabe SPD (8,2 proc.), Zielonych (5,2 proc.) i liberałów z FDP (5 proc.), by uznać, że stare partie toną.

Dobry wynik Alternatywy w Turyngii zaszokował niemieckie media. Björn Höcke, turyński lider AfD, nawet na tle swojej partii jawi się jako ktoś, za kim jest już tylko ściana. Dlaczego co czwarty głosujący Turyńczyk wybrał partię, którą media straszą dzieci od ponad dekady? Publicyści z najważniejszych mediów RFN wyczerpali już cały arsenał pocieszeń i wyjaśnień na takie nieoczekiwane przypadki. Od „musimy skupić się na wychowaniu

w dawnej NRD młodego pokolenia” poprzez „unikajmy aroganckiego tonu i nauczmy się dostrzegać problemy »nowych« landów” do neurotycznych haseł: „Zdelegalizować AfD jak najszybciej”. Rzeczywistość jest bowiem bardziej skomplikowana niż wstępniaki „Die Zeit” czy „Spiegla”. I nie działa już pocieszenie z lat 90., że starzy „dederoni” z czasem wymrą, a nowych, wzorowych obywateli wychowa demokratyczna szkoła. Właśnie do urn poszło pokolenie urodzone już w zjednoczonych Niemczech. Pokolenie, które zauważa więcej niż to, czego dowiaduje się z mediów.

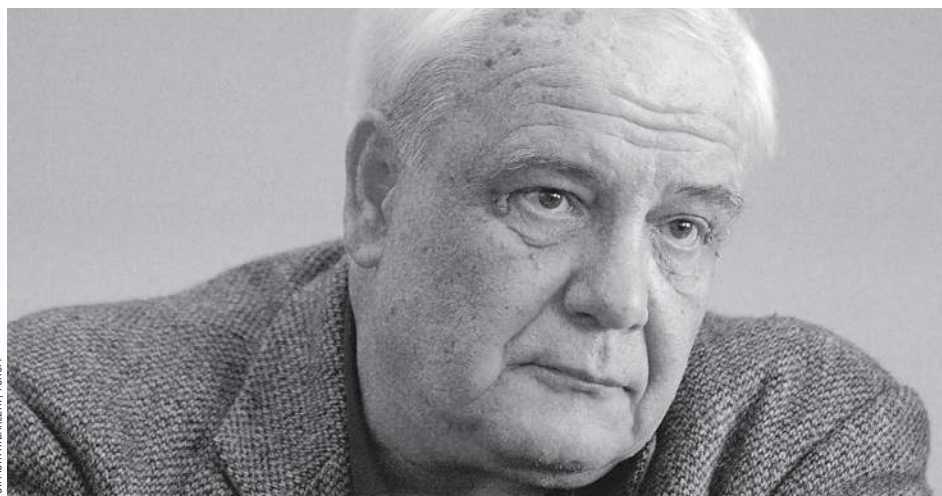
Ani AfD nie jest bandą wygolonych osiłków z kijami bejsbolowymi, ani partie rządzącej koalicji chadeków z socjaldemokratami nie mają dziś wiele do powiedzenia „Ossim”. Do wschodnich landów wiano miliardy euro, wbijano w szkołach do głowy zachodniemieckie cnoty – i efektu nie widać. Jest nawet gorzej – dorasta pokolenie, które nie zaznało komunizmu i nie ma oporu, by głosować na postkomunistów.

Wschód nie ma ochoty dać się zredukować ani ochrzcić. Nie zapomni żadnej zniewagi i nie dał się zepchnąć do narożnika z powodu niechęci do napływu imigrantów. Kanclerz siedzi w swoim fotelu już 14 lat. SPD towarzyszy w koalicji chadekom tylko nieco krócej. Ci, którzy ostrzegali, że wielka koalicja CDU-SPD napompuje partie spoza głównego nurtu, mogą dziś triumfować. W obozie chadecji krytycy Merkel – Friedrich Merz i Roland Koch – znów podnoszą głowy i krytykują panią kanclerz.

Wszystkie te głosy nie wyjaśniają jednak do końca, dlaczego Wschód tak bardzo kocha ekstremy z lewej i z prawej. Nowe landy okazują się być jakimś osobnym mikrokosmosem. I nie ma na to mądrych. Ciężko będzie po wyborach stworzyć nowy rząd Turyngii. Jakkolwiek by liczyć, żadna suma CDU, SPD i FDP nie daje rządowej większości. A ani postkomunistów, ani AfD chadecja w Turyngii nie chce brać za koalicjanta. Słowem – pat. © ©

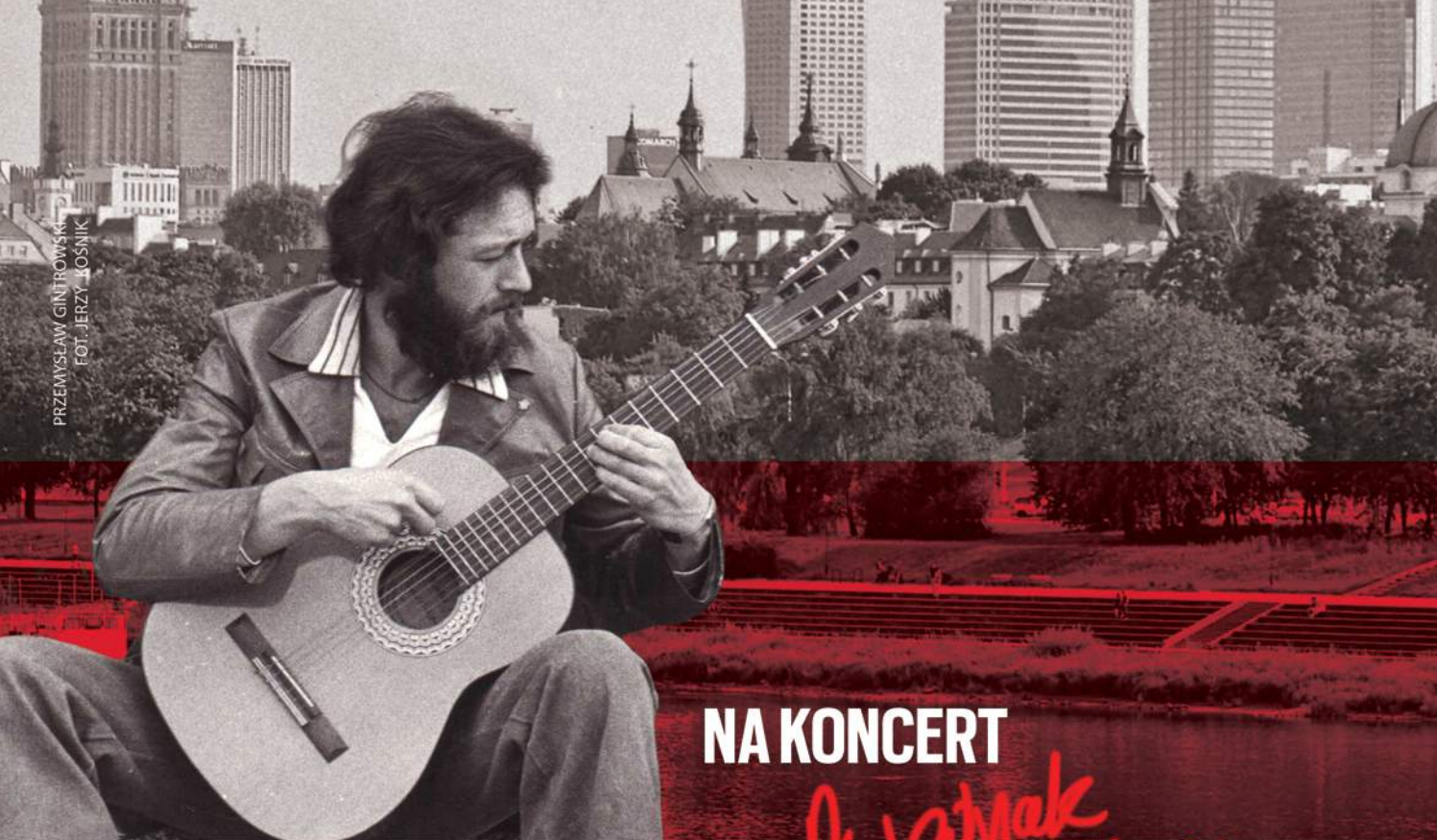
NIE ŻYJE WŁADIMIR BUKOWSKI

Rosyjski dysydent, pisarz, obrońca praw człowieka w wieku 76 lat zmarł w Cambridge na zawał serca. Dzięki niemu Zachód dowiedział się o sowieckiej praktyce zamykania dysydentów w szpitalach psychiatrycznych. Sam Władimir Bukowski w tzw. psychuszkach spędził niemal 12 lat. Za czasów ZSRS za organizowanie protestów w obronie opozycjonistów wielokrotnie trafiał też do więzień. W 1976 r. został deportowany do Wielkiej Brytanii. Po 1991 r. odwiedzał Rosję, ale pozostał na emigracji. (jap) © ©



FOT. PIOTR RYBARCZYK / FORUM

PRZEMYSŁAW GINTROWSKI
FOT. JERZY LOSŃNIK



NA KONCERT

*A jażmak
coś po was
coś tamie!*

GINTROWSKI

ZAPRASZA MECENAS



ORLEN

WARSZAWA

9 GRUDNIA 2019r.

TEATR POLSKI IM. ARNOLDA SZYFMANA



Kapituła Strażnika Pamięci 2019 FOT. ROBERT GAROZIŃSKI

Elitarne grono patriotów



Radosław Wojtas

Kapituła Strażnika Pamięci nominowała osoby, firmy i instytucje do tegorocznej edycji nagrody. 7 listopada poznamy nazwiska laureatów, którzy odbiorą wyróżnienia podczas uroczystej gali na Zamku Królewskim w Warszawie

Zwdzięcznością i uznaniem myślę o Państwa staraniach na rzecz popularyzacji wiedzy o kulturze i najnowszych dziejach Polski, na rzecz przywracania i uzupełniania pamięci historycznej Polaków, a pośrednio także innych narodów. Uważam, że w ten sposób włączają się Państwo w proces naprawy Rzeczypospolitej – w zmiany, których szczególnie ważnym elementem jest odradzanie się postaw patriotycznych, obywatelskich i wspólnotowych” – napisał w liście do ubiegłorocznych laureatów Strażnika Pamięci prezydent RP Andrzej Duda, który obejmuje honorowy patronat nad konkursem. „Tworzą Państwo elitarne

grono patriotów” – dodawał prezydent. W tym roku do tego elitarnego grona mają szansę dołączyć: Joanna Siedlecka, Wojciech Tomczyk, Dermot Turing, Instytut Pileckiego, Stowarzyszenie Upamiętniania Polaków Pomordowanych na Wołyniu, Biuro „Niepodległa”, LOT oraz Orlen.

DROGA STRAŻNIKÓW

Strażnik Pamięci to nagroda tygodnika „Do Rzeczy” przyznawana od 2013 r. osobom, firmom i instytucjom, które w ostatnim roku szczególnie przyczyniły się do budowy polskiej tożsamości i pielęgnowania pamięci. Nadawana jest w trzech kategoriach: Twórca (osoba lub osoby fizyczne,





autorzy dzieła, które przyczynia się do odnowienia pamięci), Instytucja (muzea, stowarzyszenia, fundacje, organizacje, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej) oraz Mecenasy (podmioty publiczne bądź komercyjne, które w szczególnie sposób materialnie wspierają działania propagujące pamięć historyczną).

– Nagradzamy ludzi, którzy nie zajmują się historią „minioną” i „martwą”, ale którzy potrafią ją ożywić i wprowadzić do współczesnego obiegu – mówi Paweł Lisicki, przewodniczący Kapituły Strażnika Pamięci, redaktor naczelny „Do Rzeczy”. – Jest to widoczne zwłaszcza w kategorii Twórca. Nagradzamy w niej ludzi, dla których historia jest ważnym elementem odniesienia, którzy pokazują, jak ogromne znaczenie dla współcześnie żyjących mają ich korzenie, to, skąd się wywodzą. Z kolei w kategorii Instytucja staramy się nagradzać te instytucje, również państwowe, które zajmują się propagowaniem historii, uczestniczą w czymś, co moglibyśmy nazwać polityką historyczną – dodaje.

Jeden z laureatów Strażnika Pamięci, poeta Jarosław Marek Rymkiewicz, odbierając nagrodę, mówił o swoim i innych laureatów patriotyzmie tak: „Polskość to jest straszna siła duchowa i to nie my ją wybieramy, bo nie możemy tu niczego wybierać. To ona nas wybiera, ona chce nas mieć i wtedy nas wybiera. Nie ja ją wybrałem dla siebie. Myślę, że to ona mnie wybrała, bo chciała mnie mieć. Ale wybrała Was, moi drodzy, wszystkich, bo chce Was mieć. Nie należy pytać o pochodzenie, o geny, o krew. Należy tylko oddać się tej strasznej sile, a ona całą resztę za nas załatwi”.

Formuła konkursu jest otwarta – każdego roku do organizatorów napływają zgłoszenia osób, firm i instytucji z całej Polski. Oceny wniosków i wyboru tych, które zostaną dopuszczone do konkursu,

podejmuje się Kapituła Strażnika Pamięci pod przewodnictwem redaktora naczelnego „Do Rzeczy”, któremu w tym gremium w tym roku towarzyszyli m.in.: Marzena Paczuska-Tętnik (członek zarządu TVP, w zastępstwie prezesa Jacka Kurskiego), Ewa Siemaszko (badaczka ludobójstwa dokonanego na wołyńskich Polakach podczas II wojny światowej), Sławomir Cenckiewicz (dyrektor Wojskowego Biura Historycznego), Krzysztof Czabański (przewodniczący Rady Mediów Narodowych), Adam Lewandowski (rzecznik prasowy IPN w zastępstwie Jarosława Szarka, prezesa IPN), Rafał Wiśniewski (szef Narodowego Centrum Kultury), publicyści „Do Rzeczy” Piotr Gabryel, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka i Piotr Zychowicz (redaktor naczelny „Historii Do Rzeczy”).

GALA NA ZAMKU KRÓLEWSKIM

Nagrody dla laureatów wręczane są na uroczystej gali organizowanej na Zamku Królewskim w Warszawie, na którą zapraszane są także najważniejsze osoby w państwie. – Cieszę się, że taka nagroda odbudowuje tę pamięć, jest na straży pamięci, bo patriotyzm jest owocem drzewa pamięci – mówił w trakcie swojego wystąpienia na ostatniej gali Strażnika Pamięci premier Mateusz Morawiecki. – To drzewo jest nam bardzo potrzebne. Dziękuję wszystkim, którzy podlewają to drzewo, dbają o nie, bo tylko tak, na tym fundamencie, możemy odbudować pamięć o naszej wielkiej historii i budować naszą wspólną tożsamość – dodawał premier.

Tegoroczna gala odbędzie się 7 listopada.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

NOMINACJE DO STRAŻNIKA PAMIĘCI 2019:

KATEGORIA TWÓRCA:

- **Joanna Siedlecka** – pisarka, reporterka, autorka książki demistyfikującej okupacyjny życiorys Jerzego Kosińskiego („Czarny ptasior”), książek biograficznych (m.in. Zbigniewa Herberta „Pan od poezji”).
- **Wojciech Tomczyk** – dramaturg, reżyser i scenarzysta teatralny oraz filmowy, autor patriotycznych sztuk teatralnych.
- **Dermot Turing** – brytyjski prawnik i pisarz. Autor książki „X, Y, Z. Prawdziwa historia złamania szyfru Enigmy” opisującej i promującej w świecie historię złamania kodu niemieckiej maszyny szyfrującej, a zwłaszcza wkład w to wydarzenie Polaków.

KATEGORIA INSTYTUCJA:

- **Instytut Pileckiego**
- **Stowarzyszenie Upamiętniania Polaków Pomordowanych na Wołyniu**
- **Biuro „Niepodległa”**

KATEGORIA MECENAS:

- **LOT**
- **Orlen**



PATRONAT NARODOWY
PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ ANDRZEJA DUDY
W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

WSPÓŁORGANIZATORZY:

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



PROJEKT DOFINANSOWANY
ZE ŚRODKÓW MKiDN

PROJEKT ZREALIZOWANY
WE WSPÓŁPRACY
Z NARODOWYM
CENTRUM KULTURY

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNERZY GŁÓWNI:



PARTNERZY:



PATRONAT
MEDIALNY





RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

O wyższości „PiS-owców”

Zwracałem już na to uwagę, kiedy Olga Tokarczuk dostała Nagrodę Nobla. Oto okazało się, że większość osób publicznych postrzeganych jako życzliwe obecnej władzy czy ogólnie prawicy nie tylko zareagowała wyrazami radości (czasem ze zrozumiałymi zastrzeżeniami, iż podziw dla dzieł laureatki nie idzie w parze z dzieleniem jej

w typowym dla siebie zaklinaniu rzeczywistości, starały się na użytek mieszkańców swojej bańki wytworzyć dokładnie odwrotne wrażenie. Cóż, rzecz jest sprawdzalna. Podobnie jak sprawdzalne są badania oglądalności telewizyjnych programów informacyjnych.

Wynika z nich, że podczas gdy wyborcy PO nie oglądają „Wiadomości” TVP, wyborcy PiS stanowią znaczną część widzów „Faktów” TVN. Widać wyraźnie, że sympatycy PiS w znacznej części chcą znać i móc porównać także antypisowski punkt widzenia. Po stronie PO i Lewicy jest odwrotnie: nie wypada, nie wolno wręcz znać niczego poza tym, co podają do wierzenia „nasi”. Panuje wręcz swoisty terror: nie oglądaj, nie czytaj, nie słuchaj, bo to „obciach”, kolaboracja i, last but not least, może zachwiać twą zdrową klasową nienawiścią do „hołoty kupionej pińcset plus”.

Miałem niedawno – po raz kolejny – miłą rozmowę z człowiekiem znanym, cenionym w swej branży fachowcem, który prywatnie zdradził, że nas czyta i ogląda, i – co więcej – podobnie mu się, choć nie ze wszystkim się zgadza. Jednak zakończył to wyznaniem prośbą, żeby publicznie go nie zdradzić, bo ujawnienie, iż nie podziela fanatycznego „antypisizmu” swojego środowiska, nie tylko mogłoby mu zaszkodzić w sprawach zawodowych, lecz także spowodowałoby utratę starych przyjaciół, którzy ulegli narzucanemu przez liberalne media obłędowi.

Cóż, kto nie wierzy – to też jest sprawdzalne, są badania UW pokazujące, jak bardzo to właśnie liberalno-lewicowy salon żyje totalniacką agresją i nienawiścią. I, o paradoksie, są to badania firmowane przez człowieka tak bardzo odległego od PiS jak dr Billewicz. ©©

Liberalno-lewicowy salon żyje totalniacką agresją i nienawiścią

poglądów), lecz także jej dzieła zna. Wypłynął nawet internetowy wywiad Jarosława Kaczyńskiego, który pytany przed kilku laty, co czyta, rzekł, że – choć może to kogoś zdziwić – „Księgi Jakubowe”.

Musiałoby to wprawić w furję lewicowo-liberalne salony, które,



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Wiosna kończy się jesienią

Dramat lewicowej Wiosny – najbardziej wyrazista, a przez to rozpoznawalna działaczka tego ugrupowania Sylwia Spurek ogłosiła, że odchodzi z ugrupowania Roberta Biedronia i będzie posłanką niezależną. Inna rzecz, że eurodeputowana Spurek znana jest przede wszystkim jako źródło memów i tzw. lol-contentu; a to zaapeluje, by podnieść ceny produkcji mięsa, co zagotowało jej wyborców z rolniczej Wielkopolski, a to podejmie się rozpaczliwej walki, by w kuchni Parlamentu Europejskiego serwować dania wegańskie. Ot, pionierka na froncie walki o lewicową rewolu-

cję kulinarną. „To nie jest ta Wiosna, do której wstępowałam” – dramatycznie ogłosiła pani Spurek.

Nader trzeźwe spojrzenie działaczki, która dotąd raczej z trzeźwego spojrzenia na rzeczywistość i problemy wyborców zdecydowanie nie słynęła. Wiosny, do której wstępowała, już nie ma.

W zasadzie Wiosny Biedronia nie ma już prawie wcale, i to nie tylko ze względu na postępującą dezercję terenowych działaczy z tego ugrupowania. Wiewiórki ćwierkają bowiem, że spełnia się to, o czym jako pierwsi kilka miesięcy temu pisali Piotr Gociek w „Do Rzeczy” i Joanna Miziołek we „Wprost”.

Wytrawny gracz lewicy Włodzimierz Czarzasty, mając w rękawie dzokera – finansowanie z budżetu – zagrał mocnymi kartami i nakłania Wiosnę, by stworzyć wspólną partię. Taki sojusz, jak to lewica lubi, tyle że bez satelickich ugrupowań, tylko jedno wspólne nażarte budżetową kasą cielsko. A że lewicowe łączenie znane jest z konsumpcji mniejszych i słabszych, można już powołać partię Biedronia składać do politycznej trumny. Wiele wskazuje, że przejdzie do historii jako ugrupowanie, które skończyło się jeszcze szybciej niż partia Petru. I tylko twórcy internetowych memów pozostaną nieutuleni w żalu. ©©



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Demokracja po włosku

Czy można w demokratycznym kraju przegrać 25 wyborów z rzędu i rządzić? We Włoszech można. 27 października i kilka dni potem włoskie media oraz politycy mówili tylko o jednym: wyborach lokalnych w Umbrii, gdzie do urn poszło zaledwie pół miliona osób. Dlaczego? Bo były to pierwsze wybory, od kiedy w Italii rządzi nieprawdopodobna koalicja kontestatorów z Ruchu Pięciu Gwiazd i kawiorowej lewicy establishmentu (czyli od 5 września). Ponadto oba

lewica i Kościół straszą dzieci, aż 57 proc. Słowem ciężki nokaut. Co więcej, w „czerwonej” od pokoleń Umbrii w 86 ze wszystkich 92 gmin władzę będzie teraz sprawować Liga.

Jak skrupulatnie wyliczył dziennik „Libero”, lewica i Ruch Pięciu Gwiazd od wyborów parlamentarnych w marcu 2018 r. przegrali wszystkie, ale to dosłownie wszystkie wybory różnych szczebli, które od tego czasu odbyły się w różnych częściach Italii – od Sycylii do Piemontu i Wenecji. W sumie, wraz z głosowaniem w Umbrii, aż 25 sztuk. Te wszystkie wybory, w tym siedem regionalnych, wygrała centroprawica. A kto rządzi Italią? Przegrani rewolucjoniści – kawiorowi i siemieni. Tłumaczy, że naród pobłądził, bo dał się omamić Salviniemu. Naród twierdzi, że, owszem, dał się omamić, ale sporo wcześniej Ruchowi i lewicy.

Rządząca koalicja przegranych jest nie do ruszenia, bo ma większość w parlamencie, a koniec kadencji dopiero w 2023 r. Rok wcześniej upłynie kadencja Sergia Mattarelli, więc przegrani chcą wybrać „swojego” prezydenta (w Italii wybiera go parlament i delegaci regionów) oraz przyjąć korzystną dla siebie ordynację wyborczą. Czekają nas więc w Italii kilka dobrych lat sytuacji „naród swoje, a rząd swoje”. Demokracja? Może poczekać. ©



ugrupowania stworzyły koalicję na potrzeby wyborów lokalnych. Wszyscy z zapartym tchem czekali, jak lud umbryjski zareaguje na te kuriozalne alianse.

Polityczny eksperyment zakończył się katastrofą. Koalicja zdobyła 37 proc. głosów, a sojusz centroprawicowy na czele z Ligą Matteo Salviniego, którym



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Twitter murem podzielony

Miały być uspokojenie i powyborcze katharsis, gdy w końcu okaże się, jakim poparciem cieszą się poszczególne partie – tymczasem Twitter jak zwykle murem podzielony. Zaczniemy od strony medialnej. „Reportaż »Czarno na białym« o wyborach na Podkarpaciu pokazał, jak głęboka przepaść dzieli tamten region i Wielkopolskę. Jako poznaniak nie czuję z tymi ludźmi żadnego związku. Mentalnie i cywilizacyjnie obca nacja! Nigdy nie marzyłem o autonomii Wielkopolski jak teraz” – napisał po seansie TVN24 Witke Długosz.

W konkurencyjnym Polsacie występował były premier z wnuczką. „Serdecznie dziękujemy za moc gratulacji i życzeń, jakie otrzymaliśmy po naszym występie w »Tańcu z gwiazdami«”. To dla nas niezwykle i wzruszające przeżycie” – pochwalił się Leszek Miller. „Krzysztof Szmagryk, na kolanach, w błocie, pod śmietnikami, po lasach i zatęchłych piwnicach szukający kości polskich bohaterów zamordowanych przez ludzi PZPR. Człowiek ścisłych władz PZPR rozradowany, brylujący w świetle kamer na parkiecie w telewizyjnym show. Polska roku 2019” – skomentował internauta.

Spojrzenie komunikacyjne. „Tak podróżuje Premier kraju. Odwrócona od wszystkich. Trudno spojrzeć ludziom w oczy” – doniósł jeden z #SilnychRazem, wrzucając zdjęcia Beaty Szydło w Brukseli. I faktycznie, zamiast zrobić sobie selfie w autobusie, europosłanka stojąc, spoglądała w szybę. Skandal stulecia.

À propos odwrótów. „To nie jest Wiosna, do której wstępowałam, ale będę pamiętała tę, do której wstąpiłam. Jest tam wiele osób, które cenię i liczę na współpracę z nimi. Dziś zrezygnowałam z członkostwa w Wiośnie. Będę niezależną posłanką SGD w PE. Wartości, program, cele są bez zmian. Dziękuję!” – wyznała Sylwia Spurek. Jedną z teorii, dlaczego mogło dojść do dramatycznej wolty, zaprezentował Napalony Wikary. „Podobno Biedroń zjadł pierogi z mięsem i popił szklanką mleka”. Niewybaczalne.

I na koniec podziały piłkarskie. „Pierwsze 30 minut to lanie takie, że Marcin Makowski i Jarosław Gowin szybko się w Warszawie nie pokażą” – napisał Marcin Fijolek, komentując mecz Legia – Wisła. „Wisła weźmie odwet składem rządu” – pogroził mu Jarosław Gowin. Trzymam za słowo. ©

Hekatomba Polaków



Spotkanie otworzyło przemówienie Zbigniewa Ziobry, ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego FOT. BARTEK MOLGA

Kiedy Grzegorz Górny, dziennikarz i publicysta, szukał wydawcy dla swojej książki „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”, poświęconej Polakom ratującym Żydów, usłyszał od przedstawicieli kilku wydawnictw warunek – tyle samo miejsca musi poświęcić szmalcownikom. – Gdy książka się ukazała i już za „dobrej zmiany” została przetłumaczona na język angielski, wysłano ją do ambasad. Jak się dowiedziałem, w dwóch z nich nierozpakowane paczki z książkami zostały schowane w piwnicach – opowiadał Górny. O „Polskiej hekatombie i walce z polonofobią”, o tym, jak bronić prawdy historycznej i promować polską historię w świecie, na konferencji zorganizowanej przez Fundację Strażnik Pamięci debatowali Zbigniew Ziobro, minister sprawiedliwości, Paweł Lisicki, redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy”, Piotr Zychowicz, szef „Historii Do Rzeczy”, historycy: prof. Bogdan Szlachta, prof. Andrzej Nowak, prof. Bogdan Musiał, prof. Wojciech Roszkowski, dr Ewa Kurek, dr Leszek Żebrowski, dr Piotr Gontarczyk, prof. Maciej Szymanowski, Adam Hlebowicz, Piotr Gursztyn, Tadeusz Płużański, prawnicy: Lech Obara i Jerzy Kwaśniewski oraz publicyści: Rafał A. Ziemkiewicz, dr Tomasz Sommer i Grzegorz Górny. Specjalne nagranie przesłał też prof. Marek Chodakiewicz.



Wojciech Wybranowski

Jak bronić prawdy historycznej oraz dobrego imienia Polski i Polaków w kontekście II wojny światowej i nieprawdziwych oskarżeń o współudział w Holokauście – o tym na specjalnej konferencji naukowej zorganizowanej przez Fundację Strażnik Pamięci dyskutowali historycy, publicyści i politycy

Spotkanie otworzyło przemówienie ministra sprawiedliwości prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry. – Kluczowe znaczenie dla kształtowania świadomości ma nie tyle rząd, ile elity i szeroko pojęta kultura. Rząd powinien wspierać te działania, ale prawo ma zawsze charakter wtórny w stosunku do siły debaty i siły kultury – podkreślał szef resortu sprawiedliwości.

MÓWMY O GEHENNIE POLAKÓW

Większość diskutujących zgodziła się z pomysłem Pawła Lisickiego, że pilnie potrzeba stworzyć hasło, które objęłoby ogół zbrodni popełnionych na Polakach nie tylko w okresie II wojny światowej, lecz także podczas tzw. operacji polskiej, co pozwoliłoby lepiej niż dotychczas pokazywać, że Polacy byli podobnie jak Żydzi ofiarami niemieckiej i sowieckiej nienawiści.

– Mamy kilkanaście historii, z których każda jest ważna, ale one się razem nie

łączą w coś jednego. Tym powinno być jedno pojęcie, moim zdaniem „hekatomba”, które opisywałoby ogół zbrodni dokonanych na Polakach pomiędzy rokiem 1937 i 1953 – mówił Paweł Lisicki, redaktor naczelny „Do Rzeczy”.

Sporo dyskusji wywołała kwestia, czy określenie „hekatomba Polaków” należy odnosić wyłącznie do Polaków czy do wszystkich obywateli II RP. – To jedno z pytań, na które musimy sobie odpowiedzieć. Warto pamiętać, że o pamięć o gehennie Żydów obywateli polskich upomnieli się i pamiętają sami Żydzi, natomiast o Polakach zapomniano. To na nich musimy się skupić, jednak nie wolno nam tego robić w sposób konfrontacyjny, zderzając pamięć o nich z pamięcią o ofiarach Holokaustu – przestrzegają prof. Wojciech Roszkowski.

– Nie można określenia „hekatomba Polaków” odnosić wyłącznie do etnicz-



Podczas jednego z paneli dyskutowano o tym, czy określenie „hekatomba Polaków” należy odnosić wyłącznie do Polaków czy do wszystkich obywateli II RP. FOT. BARTEK MOLGA



Sporo emocji wśród obserwujących konferencję wywołała dyskusja o tym, czy bierność, także wśród ludności żydowskiej, nie spowodowała, że Zagłada przyjęła tak straszliwe rozmiary. FOT. BARTEK MOLGA

nych Polaków, ale szerzej do wszystkich obywateli II RP. Trzeba mówić o dramatach lat 1937–1953 – zwracał z kolei uwagę prof. Bogdan Szlachta.

Z kolei Rafał A. Ziemkiewicz zauważył, że dzisiaj historia II wojny światowej stała się mitem walki dobra (aliantów i Sowietów) ze złem (Niemcami), w którym nie ma już miejsca na opowieść o bohaterstwie i cierpieniu Polaków. Aby to zmienić, należy mit rozbić. – Pisano, budowano tę narrację II wojny światowej przez kilkadziesiąt lat po wojnie. Nas wtedy nie było, byliśmy częścią Związ-

ki Sowieckiego, nikt nie dbał o nasze interesy. Mit został ustalony pomiędzy zwycięzcami, a naszej opowieści nie miał kto dodać – mówił Ziemkiewicz.

HOLOKAUST I ANTYPOLONIZM

Sporo emocji, zwłaszcza wśród obserwujących relację z konferencji na portalu Dorzeczy.pl wzbudził panel poświęcony skali Holokaustu i dyskusja o tym, czy bierność i posłuszeństwo, także wśród ludności żydowskiej, nie spowodowały, że Zagłada przyjęła tak straszliwe rozmiary.

– Bierność Żydów polskich stała się tematem zapomnianym, wielu historyków udaje, że nie ma problemu. Z jednej strony ta bierność wynikała z postaw, które wytworzyły się przez stulecia mieszkania Żydów w diasporze, czyli np. zasada przez nich przyjęta: nie mieszać się w konflikty zbrojne krajów zamieszkania – mówiła dr Ewa Kurek. Zwracała też uwagę na współpracę władz i wpływowych środowisk żydowskich np. w getcie łódzkim z władzami okupacyjnymi.

– Gdyby Żydzi byli tak pasywni i bierni, jak niektórzy mówią, to wymarliby w ciągu 1940 r., ponieważ przydzielali żywności niemieckiej dla nich były po 80–100 kalorii. A jednak potrafili się organizować i wspierać. Stawiali bierny opór – ripostował prof. Bogdan Musiał. – Ten opór mogli jednak stawiać wyłącznie we współpracy z Polakami – dodawał.

O wsparciu Polaków dla Żydów często dzisiaj się zapomina, a jednym z kluczowych narzędzi antypolonizmu jest oskarżanie nas o współudział w Zagładzie. Kwestia skutecznej walki z antypolonizmem była tematem innego z paneli konferencji.

– Trzeba rozróżniać polonofobię od zwykłych napięć etnicznych – mówił Piotr Gursztyn, zwracając uwagę, że w przypadku środowisk rosyjskich i niemieckich często mamy do czynienia z celowymi działaniami o takim charakterze. Z kolei Leszek Żebrowski wskazywał, jak ważną rolę w kreowaniu antypolskich postaw odgrywają media społecznościowe. – Wobec skali zjawiska trzeba spróbować precyzyjnie określić strategię zachowania – postulował prof. Andrzej Nowak.

I tu też pojawiło się pytanie, czy polskie prawo wystarczająco broni polskiej pamięci. Próbowali na to odpowiedzieć uczestnicy kolejnego panelu. Mecenass Lech Obara zwracał uwagę na problem nierespektowania przez instytucje innych krajów wyroków polskich sądów nakazujących publikację przeprosin za użycie określenia „polskie obozy koncentracyjne”. Z kolei prof. Maciej Szymanowski podkreślał, jak ważne jest reagowanie na sytuacje, w których postacie znane na europejskiej scenie politycznej próbują nieprawdźliwie przedstawiać Polskę jako kraj, w którym wpływy mają środowiska faszystowskie czy neonazistowskie.

Pełną relację z konferencji „Hekatomba Polaków” przedstawimy w jednym z najbliższych wydań „Do Rzeczy”, a nagranie wideo z konferencji można oglądać na profilu YouTube tygodnika „Do Rzeczy”.



KALIFORNIA W OGNIU

Tysiące strażaków walczy z pożarami, które rozprzestrzeniają się na kolejne części Kalifornii. Pracę utrudnia im wiatr, którego prędkość przekracza w porywach 140 km/godz. Gwałtownie rozprzestrzeniający się ogień w okolicach Los Angeles i San Francisco zmusił do ewakuacji ponad 200 tys. osób. Wśród ewakuowanych w środku nocy gwiazd byli m.in. aktor Arnold Schwarzenegger i słynny koszykarz LeBron Raymone James. Ogień zmusił też do ewakuacji wiele szpitali, a także strawił wiele popularnych obiektów (na zdjęciu: winnica Soda Rock Winery). Z powodu tragicznych w skutkach pożarów bez prądu zostało ponad 2,2 mln mieszkańców Kalifornii. Sytuacja jest tak niebezpieczna, że gubernator stanu ogłosił stan wyjątkowy. **(jap)** © ©



FOT. JOSH EDELSON/APP/EAST NEWS

CAŁKIEM NIEZŁA INWESTYCJA

Aktorka Anna Dereszowska postanowiła pochylić się nad swoją przyszłością, i to tą dalszą, bo emerytalną. Doszła do wniosku, że jeśli teraz nie zacznie oszczędzać, to kiedyś będzie tego żałować. – Może dlatego, że za oknem jest jesień, pomyślałam o jesieni mojego życia. Chciałabym, żeby była kolorowa, żebym mogła poświęcić ten czas dzieciom i wnukom. Ale żeby tak było, muszę mieć poczucie bezpieczeństwa, również finansowego – tłumaczy. I już mieliśmy jej przyklasnąć za zdroworozsądkowe podejście, nie tak częste wśród aktorów, gdy doczytaliśmy, że aktorka zrobiła to w ramach jakiejś sponzorowanej kampanii. Chociaż na koniec zapewniła, że angażuje się tylko w projekty, które szczerze popiera. – Angażuję się jedynie w projekty, które szczerze popieram, w sprawy, które są mi bliskie. Udział w akcji promującej oszczędzanie jest jednym z takich projektów. W końcu problem tego, z czego będziemy żyć na emeryturze, dotyczy wielu z nas. I wielu z nas, podobnie jak ja, potrzebuje czasem impulsu, żeby zacząć poważnie o tym myśleć. Dotyczy to w szczególności kobiet. Żyjemy dłużej od mężczyzn, a zarabiamy mniej. Mamy więc mniej zgromadzonych pieniędzy na emeryturę – stwierdziła. Domyślamy się, że po udziale w kampanii akurat Anna Dereszowska ma ich ciut więcej.

NEWSY ZNAD TALERZA SUSHI

Blogerka modowa i influencerka Maffashion rozstała się z chłopakiem! To podobno jeden z newsów tygodnia. Liczy się też sposób, w jaki poinformowała o tym świat. Zrobiła to na żywo, siedząc ze swoim ukochanym (teraz już byłym) nad talerzem sushi. Oznajmiła z uśmiechem, że to koniec i już. Formuła zerwania wywołała jednak u fanów mieszane uczucia. Część uznała to za żenadę i dziecinadę, inni za przejaw dojrzałości. – Bo kiedy ludzie mają do siebie szacunek i są swoimi przyjaciółmi... nie może być inaczej. W życiu jednak bywa różnie :) A czasem lepiej, jak (związek) drogi się rozejdą – skomentowała Maffashion. A krytykom odpowiedziała, że zależało jej na tym, by to ona sama poinformowała o rozstaniu, a nie robiły to za nią tabloidy czy inne plotkarskie media. – A lepiej, aby portale weszły i pisały bzdury? Uważam, że najlepiej, jak coś wyjdzie u źródła... niż potem mam się odnosić do plotek. Będąc osobą publiczną i mając taką możliwość wypowiedzi, dobrze z niej skorzystać – wyznała. My tam wolelibyśmy, aby nie korzystała z żadnej



FOT. TAWEL GROMADA

możliwości wypowiedzi. W ogóle. Ale na to już chyba za późno. Niestety.

SYMBIOZA Z GLEBĄ

Tymczasem celebryta i juror programu „Top Model”, zwanego też „Tap Madl”, musi mierzyć się z oskarżeniami o hipokryzję. Z jednej strony bowiem Piróg kreuje się na osobę, której na sercu leżą sprawy świata, zwłaszcza te związane z ekologią i dbałością o los oraz przyszłość naszej planety. Z drugiej internauci wytykają mu, że w programie, w którym bierze udział, nagminnie marnuje się masę żywności do sesji zdjęciowych. Ostatnio na przykład jedna z uczestniczek podczas sesji musiała cała oblać się mlekiem. „Najpierw promuję ekologię, aby zadbać o planetę (oczywiście bardzo popieram), po czym podczas kolejnych sesji wylewają jedzenie i nim rzucają” – napisała Michałowi jedna z internutek na jego profilu w mediach społecznościowych. Piróg zareagował bardzo emocjonalnie. „Wylewanie mleka, o tym mówisz? Wszystko, co nasze, jest w symbiozie z glebą... Poza tym, było to... E tam, nieważne, szkoda mi pisać” – odpowiedział. Podsumowując, jeśli ktoś marnuje jedzenie, to jest ignorantem, faszystą, nieukiem (niepotrzebne skreślić), ale jak robi to samowolny obrońca planety, to jest to symbioza z glebą! Brak symbiozy z rozumem nikomu tu nie przeszkadza.

PERFEKCYJNE MĄDROŚCI

Perfekcyjna Pani Domu Małgorzata Rozenek-Majdan coraz mocniej angażuje się w politykę i coraz śmielej zabiera głos w sprawach, o których głośno w debacie publicznej. Ostatnio bardzo na sercu leży jej sprawa edukacji seksualnej i praw kobiet. Uważa, że edukacją seksualną powinni zajmować się profesjonalści (cokolwiek to znaczy). – Obcym osobom jest łatwiej rozmawiać z dziećmi o seksie niż mamie. Oczywiście prowadzę takie rozmowy z synami, ale to się kończy zawsze: „Mamo, przestań” – opowiedziała Lady Rozenek w rozmowie z One-tem. Potem przeszła do praw kobiet. – Trochę się władza przestraszyła czarnych protestów. Trzeba będzie do nich wrócić. To jest szczególnie ostre traktowanie kobiet, nawet jeśli to tak nie wygląda – stwierdziła. – Szczególnie prawa kobiet są dosyć drastycznie ograniczane. Edukacja seksualna i znowu raban. Nic się nie dzieje bez przyczyny, wszystkie tematy światopoglądowe pojawiają się, żeby coś ukryć – dodała. A gdyby tak ukryć gdzieś Lady Rozenek razem z jej mądrościami na każdy temat? Świat show-biznesu stałby się choć odrobinę znośniejszy. ©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, jaki przypał! Ledwo PiS wygrał wybory i już nastąpiła zmiana czasu, w wyniku której doba trwa o godzinę dłużej. Nie sądziliśmy, iż zamach na podstawowe wartości demokratyczne, takie jak czas, władza zdecyduje się przeprowadzić tak szybko, i to jeszcze w swoim stylu – w środku nocy. No i teraz musimy codziennie o godzinę dłużej sprzedawać pakiety Internet + telefon w korpo, o godzinę dziennie dłużej po prostu żyć w tym kraju rządzonym przez fashystów.

W dodatku zmiana czasu spowodowała, iż wcześniej robi się ciemno, a jak jest ciemno, na ulice wychodzą kler i agenci Kamińskiego w poszukiwaniu ostatnich wyborców Koalicji Obywatelskiej i Lewicy Razem, iżby przemocą zaciągać ich na nabożeństwa w ciemnych kościołach oświetlonych świecami. A świeca to jakby taka mała pochodnia, a kto chodził z pochodniami, to my już dobrze wiemy. Z kolei Nowemu z Tarnowa tak się to spodobało, że sam cofnął sobie zegarek o dwie godziny, iżby mieć jeszcze dłuższy dzień pod rządami Kaczafiego.

No i jak tam, odbyliście tradycyjny coroczny grob-bing połączony z paleniem

zniczy, które odpowiadają według europejskich naukowców za 154 proc. rocznej światowej emisji dwutlenku węgla?

W ogóle strasznie nas to drażni, iż cały postępowy świat obchodzi kolorowe i radosne Halloween, połączone z wegańskim obrzędem przyrządzania dyni, a w tym kraju trzeba zapalać znicze na cmentarzu i zwiększać tym samym globalne ocieplenie i w dodatku, jakby tego było mało, wywoływać smog.

Mamy nadzieję, iż do tematu odniosą się najważniejsi bohaterowie walk ze zmianami klimatu, np. prezydent Macron, Bono czy Al Gore. No bo tak nie może być, iż cały świat zmniejsza emisję, redukuje, a potem Janusz z Grudziądza zapali wielkiego znicza 1 listopada i cały wysiłek idzie gdzieś.

Jak wiecie, naszym zdaniem historia jest czymś, co już było, i w związku z tym nie ma potrzeby, aby się nią więcej zajmować. Czasem jednak zdarzają się takie okazje, iż nie możemy skorzystać z okazji, aby milczeć, i musimy się wypowiedzieć.

Otóż, jak wiecie, Holandia leży na Zachodzie, a jej mieszkańcy są postępowi i uprzejmi. W związku z tym wspominają, jak żołnierze z tego kraju w czasie II wojny

wyzwolili Brede i pewnie jeszcze jakieś inne holenderskie miasta, nie wiemy, nie znamy się. W każdym razie prawica w tym kraju się cieszy, że pamiętają o nas na Zachodzie.

Jednocześnie ta sama prawica alergicznie reaguje na przypomnienie, jak w czasie tej samej wojny Armia Czerwona wyzwoliła ten kraj. No powiedzcie sami, to nie są takie właśnie typowe prawicowe podwójne standardy? :/

Cieszymy się, iż Lewica dostała się do Sejmu. Oznacza to, iż najślabi będą mieli swoją reprezentację, a ich los nie będzie obojętny wrażliwym posłom i posłankom, którzy potrafią celnie zidentyfikować najpilniejsze problemy społeczne w tym kraju.

W związku z tym jedna z posłanek postanowiła przeprowadzić walkę o używanie waginopozytywnych końcówek wyrazów, a niektórzy posłowie zaangażowali się w wybory mistera Sejmu.

Tak, zdecydowanie obecność Lewicy w parlamencie podniesie standardy polityczne w tym kraju.

© ©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

30 lat RMF FM

Zawsze tam, gdzie dzieje się coś ważnego

DZIĘKUJEMY, ŻE JESTEŚCIE Z NAMI

Dni mijają, a Sąd Najwyższy odwała kolejne protesty wyborcze PiS. Co wprawia w konfuzję tych, którzy głosili, że PiS sobie stworzył w tym sądzie specjalną, posłuszną izbę do załatwiania takich spraw pozytywnie. A tu nic. Okazuje się, że sądownictwo mamy w najwyższym stopniu niezależne. Po co w takim razie – pytają niektórzy – w ogóle składano te protesty? Odpowiadamy: ano właśnie po to, żeby zostały odwołane. Tak przynajmniej opowiadają wiewiórki.

Tymczasem w koalicji rządzącej. Sprawy główne omówiono w zaprzyszłym tygodniu. W tygodniu minionym obradowano nad ważnymi. Na przykład: Czy nowe-stare Ministerstwo Skarbu ma objąć spółki energetyczne? Jeśli tak, to co ma robić Ministerstwo Energii? A może połączyć resort energii z resortem środowiska? A gdyby tak za walkę ze smogiem odpowiadał specjalny pełnomocnik w kancelarii premiera, coś jak ten od budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego? I tak dalej.

Rekonstrukcja czeka również służby specjalne. Nasze wiewiórki twierdzą, że Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego ma mieć niebawem nowego szefa. Profesor zwany również Pogonem powoli zaczął żegnać się ze współpracownikami. Zmiany nie ominą jednak również służb wojskowych. Ze stanowiskiem ma się więc ponoć pożegnać gen. Andrzej Kowalski.

Opowieści „jak to z tym Senatem było” ciąg dalszy. Żli ludzie z PiS narzekają na rozmaitych kandydatów, że się nie bardzo starali, kandydaci obrażają się na naszą rubrykę albo nawet piszą listy (odsyłamy do rubryki „Listy” w bieżącym numerze „Do Rzeczy”). Mamy w tej kwestii nowe wieści. Szczególną uwagę sztabu zwrócił pewien kandydat na senatora, który nie odbył żadnego, słownie – żadnego spotkania

z wyborcami. Pytany dlaczego, odparł: „Bo mnie przecież wszyscy znają”. Było to w Krakowie. I my to rozumiemy. Przecież w Krakowie naprawdę wszyscy wszystkich znają.

Tymczasem w Eine Totalopposition. My w sprawie Artura W. Wpływowego platformersa, burmistrza dzielnicy Włochy, którego CBA zatrzymało na gorącym uczynku, gdy brał

200 tys. łapówki. Plotki o tym, że sprawa ma charakter rozwojowy, są prawdziwe. Widzicie, to nie jest tak, że Biuro na początek robi coś spektakularnego, a potem zbiera długo okruszki. Nie. Najpierw bardzo długo zbiera się okruszki, które prowadzą do czegoś spektakularnego. A teraz najlepsze: nie ma żadnych przeciwskażeń, by coś spektakularnego nie prowadziło do czegoś jeszcze bardziej spektakularnego.

dwaj panowie **g**

Wielkie emocje u członków PeŁo wywołuje to, że Grzegorz Skorpion Schetyna chce jak najszybciej przeprowadzić prawyborczy prezydenckie. Jeszcze większe, że chciałby dopuścić do procesu „sympatyków PO”, czyli każdego, kto skończy 16 lat i ogłosi, iż zgadza się z celami PeŁo. A największe, że rozważany jest podobno pomysł, by



FOT. ROBERT CARDZIŃSKI

sympatycy PeŁo mogli także wybierać władze partii. Bo właściwie dlaczego nie?

Apropos władz PeŁo. Musimy chyba znowu zmienić ksywę Grzegorza Schetyny. Odkryliśmy bowiem, że na oficjalnej stronie PeŁo w zakładce „Historia” ostatnim wpisem jest ten z 26 stycznia 2016 r. O tym, że wybory na przewodniczącego wygrał „Schetyna, uzyskując 91 proc. poparcia”. Kolejnych wpisów brak. Zatem powinniśmy mówić: Grzegorz Koniec Historii Schetyna. Po jego wyborze już nic. W sumie racja.

Zły Donald z Brukseli zapowiedział tymczasem wydanie książki niby o polityce, ale tak naprawdę satyrycznej. Żart zaczyna się już od tytułu, który brzmi „Szczere”. Lubimy się śmiać, ale nie lubimy, kiedy ludzie się zmuszają do robienia rzeczy, które nie są ich pasją. A przecież Donald wyznał już w poprzedniej książce „Solidarność i duma”: „Pisanie nie jest moją pasją. Polska jest moją pasją”.

Książkę Tuska wydaje wydawnictwo Agora. Poprzednią wydał Janusz Palikot. Szczere mówiąc, sami nie wiemy, co gorsze.

Skoro już mowa o Agorze. Na pierwszej stronie wtorkowej „Wyborczej” z minionego tygodnia znalazł się taki oto wdzięczny tytuł: „Jak odzyskać emeryturę po dezubekizacji”. A wewnątrz, zgodnie z zapowiedzią, całostronicowy poradnik dla ubeków. Czekamy na dalsze poradniki. Na pierwszy ogień proponujemy: „Byłeś gestapowcem? To nie koniec świata!”.

Żli ludzie opowiadają oczywiście, że chodzi tylko o to, żeby okleić Polskę plakatami reklamującymi niby-książkę, a tak naprawdę Tuska marzącego o prezydenturze. Uważamy,

Żli ludzie opowiadają oczywiście, że chodzi tylko o to, żeby okleić Polskę plakatami reklamującymi niby-książkę, a tak naprawdę Tuska marzącego o prezydenturze

Tusk? Szczere?!



że jest jeszcze jeden powód. Ekspiacja. W końcu w tamtej książce Tusk pisał: „Gdy zaczynamy mówić o potrzebie mocnej władzy, padają oskarżenia o to, że chcemy łamać demokrację, że tylnymi drzwiami chcemy wprowadzać jakieś formy autorytarne”. To ohydne wsparcie dla PiS musi zostać z pamięci historycznej wymazane.

Tymczasem w Peezelu. Nie jest łatwo. O ile kierownictwo partii naszych zielonych braci próbuje balansować między PeŁo a PiS i udawać rozsądne centrum, o tyle partyjne doły mają własny pomysł na rozsadek. Dyktuje on, ich zdaniem, cichą współpracę z PiS w parlamencie w zamian za równie ciche porozumienia z kaczystami w terenie, gdzie wciąż zostało wielu peezelowców do wyrzucenia z rozmaitych posad. A tak można by ich nie tylko nie wyrzucać, lecz także zatrudnić nowych.

Kojarzycie niejakiego Pawła Mitera? To facet, który za czasów PeŁo wydzwonił w ramach prowokacji niejakiego sędziego Milewskiego z Gdańska, który okazał się chętny do pomocy rządzącym naonczas ludziom Tuska. Z tego powodu przez kilka lat Miter robił za bohatera dziennikarstwa wcieleniowego. Po skazaniu zaczął robić za męczennika. Od dawna twierdzymy, że Miter to żaden dziennikarz, tylko zwykły, no ten teges, wiecie... Wpadł nam w ręce wyrok sądowy w jego sprawie. Okazuje się, że Paweł próbował naciąć na 17 tys. Marcina Plichtę, tego od Amber Gold.

Rekonstrukcja czeka również służby specjalne. Nasze wiewiórki twierdzą, że Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego ma mieć niebawem nowego szefa

Wysłał do niego SMS z żądaniem kasy za ochronę przed wymiarem sprawiedliwości.

Najbardziej nas jednak rozbawiły tłumaczenia Pawełka przed sądem. Twierdził, że to nie on wysyłał SMS. Według jego wersji w klubie nocnym narąbał się jak szpadel, a jego telefon przejął niezidentyfikowany funkcjonariusz ABW, który chciał kasę od Plichty. Licząc zapewne na łagodniejszy wymiar kary przed sądem, Miter dokonał coming outu, ujawniając, że jest gejem. Niestety. Sędziowie okazali się homofobami. Skazali Mitera.

Na koniec oświata. Wiadomo już, co znajduje się w słynnej puszcze z Pandora. Są to prochy spalonego na stosie przez papieża Brunona Schulza. Dziękujemy Pawłowi Rabiejowi oraz Wandzie Nowickiej. Bez was polski samorząd oraz polski parlament nie byłyby takie same. Przy okazji – nie znamy lepszego dowodu na to, że polska szkoła potrzebuje reformy. No, może poza sześcioma królami. ©©

Mitotwórstwo Olgi Tokarczuk

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS



Krzysztof Masłoń

W tym, co pisze Tokarczuk, nie-Polacy są ważniejsi od Polaków, niekatolicy od katolików, a zwierzęta od ludzi. Co nam serwuje nowa noblistka?

Trwa nieustający festiwal ku czci Olgi Tokarczuk, w trakcie którego ledwie ktoś napomknął, że Komitet Noblowski przyznał w tym roku w dziedzinie literatury dwie nagrody: pierwszą, niejako zaległą, za rok 2018 polskiej pisarce i za rok 2019 austriackiemu autorowi, prozaikowi, ale chyba przede wszystkim dramaturgowi – Peterowi Handkemu. Nie minęło wiele godzin od oznajmienia werdyktu, a Handke już zapowiedział, że nie odpowie na żadne pytania dziennikarzy, jest bowiem głęboko rozczarowany ich postawą, jako że bez przerwy stawiają mu pytania o przekonania polityczne i o to, czy podtrzymuje swoje zdanie sprzed ćwierć wieku, że Serbia była także ofiarą wojny w Jugosławii, a Slobodan Milošević nie zasłużył na wyrok Trybunału ONZ w Hadze. On tymczasem, ewentualnie, skłonny byłby porozmawiać o literaturze, twórczość jego nie wywodzi się bowiem z tabloido-wych czołówek, lecz w prostej linii od Cervantesa i Tołstoja. Nobla dla Handkego zdążyli już oprotować m.in. Salman Rushdie i Hari Kunzru, robiący za wzorce pisarskiej przyzwoitości.

Olga Tokarczuk, przeciwnie, na pytania żurnalistów odpowiada – na razie – raczej chętnie, nie unika też spotkań z czytelnikami; spotkań, które przybierają formę wieców, a politycznych tematów w nich się nie omija. Noblistka nie rozwodzi się zresztą zbytnio nad kwestiami pozaliterackimi, ale zdążyła już, poza skomentowaniem wyników wyborów w Polsce – szczególnie ją satysfakcjonujących, ze względu jednak na sukces lewej strony sceny politycznej napawających niejakiim optymizmem, gdyż przyszłość należy do lewicy – podtrzymać słowa wypowiedziane po otrzymaniu w 2016 r. nagrody Nike za „Księgi Jakubowe”: o Polakach, którzy w swoich dziejach robili „straszne rzeczy” jako „kolonizatorzy Ukraińców, właściciele niewolników, czyli chłopów, i mordercy Żydów”. Nie żaliła się przy tym specjalnie, ale zaznaczyła, że spotkała ją za tę wypowiedź fala hejtu, z którą niełatwo było jej żyć. Teraz rozumie, że stało się tak

dlatego, gdyż po prostu była przekonana, iż wszyscy myślą jak ona. A tu, ot, siurpryz, „okazało się, że nie dosyć, że to nie jest prawda powszechna, to prawdy tej ludzie nie chcą przyjąć”. Tego, że może błąd tkwi w samym założeniu i w ogóle nie jest to prawda, noblistka, naturalnie, nie bierze pod uwagę. I oczywiście tego, że dla kogoś innego to jej wywody są czymś, co wprawdzie hejtem się nie nazywa, ale po staremu – kłamstwem.

Zdaniem pisarki to powieść historyczna powinna nas nieustannie interesować, ponieważ – powiada Olga Tokarczuk: „Świat i formy przekazu się zmieniają, i stare historie trzeba na nowo opowiadać”. I znów, na nowo, to znaczy jak: czarne nazywać białym, a białe czarnym? Autorka „Ksiąg Jakubowych” pytała kiedyś: „Czy dobrze robię, że opowiadam? Czy nie lepiej byłoby spać umysł spinaczem, ściągnąć lejce i wyrażać się nie historiami, ale prostotą wykładu, gdzie w zdaniu po zdaniu klaruje się jedna myśl, a w następnych paragrafach fastryguje się ją z innymi? Mogłabym używać cytatów i przypisów, mogłabym w porządku punktów czy rozdziałów

Noblistka zdążyła już podtrzymać swoje słowa, że Polacy w swoich dziejach robili „straszne rzeczy” jako „kolonizatorzy Ukraińców, właściciele niewolników, czyli chłopów, i mordercy Żydów”

zawrzeć konsekwencję dowodzenia krok po kroku, o co mi chodzi, weryfikowałabym wcześniej postawioną hipotezę i w końcu mogłabym wywieść argumenty, jak prześcieradła po nocy poślubnej, na ludzki widok. Byłabym panią własnego tekstu, mogłabym uczciwie wziąć za niego wierszówkę.

A tak zgadzam się na rolę akuszerki, ogrodniczki, której zasługą jest co najwyżej posianie i późniejsze nudne plewienie chwastów.

Opowieść ma swoją bezwładność, nad którą nie można nigdy do końca zapanaować. Domaga się takich jak ja – niepewnych sobie, niezdeterminowanych, łatwych do wywiedzenia w pole. Naiwnych” („Bieguni”).

JAK NAKŁADAĆ PREZERWATYWĘ

Oj, bo się popłaczę... Akurat w opowiadaniu, w krótkiej formie prozatorskiej, Tokarczuk czuje się najlepiej. Jej zbiór opowiadań z 2001 r. „Gra na wielu bębenkach” w dalszym ciągu uważam za książkę bardzo dobrą, a miejscami wybitną. Opowiadanie „Profesor Andrews w Warszawie” o stanie wojennym w Polsce ma w sobie uniwersalność, perspektywę, a nawet – co wydaje się nieprawdopodobne – humor. Z satysfakcją odnotowałem niedawno, że wśród „Opowieści bizarnych” w zeszłorocznym tomie pod tym samym tytułem znajduje się bliźniacza – nie tylko dlatego, że jej bohaterem jest też profesor – „Prawdziwa historia”. Tyle że tym razem rzecz dzieje się, powiedzmy, wszędzie, czyli nigdzie.

Od dłuższego już czasu opowiadania Olgi Tokarczuk powstają jednak jakby przy okazji, na marginesie tworzenia dzieł wielkich. Przyznaję, że obrona przez nią strategia sprawdza się, niekoniecznie jednak przysparzając odbiorcy czytelniczej radości. W „Opowieściach bizarnych” odnajdują się gdzieś tam odpryski wcześniejszej, nagrodzonej Bookerem, pisanej przez trzy lata książki „Bieguni”. Przypomnę, że miało to być – używając słów autorki – zagłębienie się w istotę podróży, a mianowicie przyjrzenie się temu, co to znaczy podróżować czy w ogóle poruszać się, jaki ma ono sens, co nam daje. W istocie filozofuje o tym samym, o czym wprost pisze w swojej publicystyce. Kiedy np., tak jak w roku 2009, relacjonowała z Amsterdamu o ot takim, wdzięcznym zdarzeniu:

„Odsłonięcie pomnika prostytutki odbyło się w niedzielne słoneczne popołudnie tuż przy kościele Oude Kerk. Mała brązowa figurka kobiety opartej o latarnię ma przypominać ludziom o tym zawodzie, podobno najstarszym, a jednak wstydlivym i ignorowanym. Także o niewolnictwie kobiet, wykorzystywaniu seksualnym, demonizowaniu seksu albo



bagatelizowaniu problemu. Ale sama uroczystość była radosna. Grała barwna orkiestra dęta, tłumnie stały się prostytutki obojga płci oraz przedstawicielki i przedstawiciele ich związku zawodowego. Przyszły też rodziny z dziećmi, ciekawcy, jak ja, i trochę turystów. Rozdawano broszury o bezpiecznym seksie, także w formie bajek dla dzieci. Pod samym kościołem można się było nauczyć na specjalnym urządzeniu, jak właściwie nakładać prezerwatywę.

W końcu uświetniając całe wydarzenie orkiestra dęta w swoim przemarszu

wokół kościoła natknęła się na parę nowożeńców wychodzących właśnie po ślubnej ceremonii z Oude Kerk. Z równym zapałem, jak przedtem przygrywała sex-workerkom, kapela obdarowała teraz nowożeńców spontanicznym koncertem. Korowody na chwilę połączyły się i zmieszały.

No tak, u nas to nie do pomyślenia. Zresztą pyta pisarka: „Co Polska może wnieść do UE? Umiejętność radzenia sobie w trudnych sytuacjach (patrz: Stan Ustabilizowanego Kryzysu). Talent do

szukania dziur w prawie podatkowym. Puszcze Białowieską. Trochę zamieszania”. Z Puszczy Białowieskiej po działaniach bliskich sercu noblistki ekologów pewnie niedługo zostanie klomb w Hajnówce, ale zamieszanie może istotnie nie zmaleje. Chociaż... Z tegoż samego Amsterdamu przed 10 laty Olga Tokarczuk meldowała: „W 2006 roku holenderska Partia Obrony Zwierząt zdobyła dwa miejsca w parlamencie i jest to jedyny taki przypadek w historii demokracji świata. Dzięki tym dwóm miejscom uda-



Powitanie Olgi Tokarczuk przed Narodowym Forum Muzyki we Wrocławiu, 20 października 2019 r. FOT. KRZYSZTOF KANIEWSKI/REPORTER

wiekem mięsożercy wyciągnęli skądś fotografię noblistki, która w najlepsze opieka kielbaskę w ognisku. Może tak, może nie. W końcu każdy piec może sobie, co chce, np. chlebek, a pisarka też przecież – jak podejrzewam – kiedyś zjadła się pokarmem niepoprawnym politycznie i z całą pewnością bardzo się tego teraz wstydzi. Ja na nią nie doniosę, kiedy bowiem ładnych kilkanaście lat temu w jakże miłej sercu noblistki Szwecji, a dokładnie w Göteborgu, bankietowaliśmy wspólnie na targach książki, spożywaliśmy wyłącznie wspaniałe ryby, głównie wędzone. Kto by tam psuł sobie smak!

Kościół katolickiego, szczególnie w jego polskim wydaniu, noblistka – jak to po wsiach polskich, ostojach tej zacofanej religii, mawiano – nie uważa

Ale dobra, jedzenie jedzeniem, a rzecz idzie – jak się okazuje – o sprawy fundamentalne. Otóż tak się jakoś składa, że w tym, co pisze Tokarczuk, nie-Polacy są ważniejsi od Polaków, niekatolicycy od katolików, a zwierzęta od ludzi. Na przykład męczeństwo zwierząt nazwać może noblistka drugim Holokaustem i włos jej z głowy nie spada, podczas gdy np. podobne zrównanie Zagłady Żydów ze zbrodniami dokonywanymi na ludności polskiej (oczywiście przez nazistów, bo i przez kogo innego) uznane zostałyby przez światową opinię publiczną co najmniej za bluźnierstwo.

Skądinąd u Tokarczuk opisy znęcania się ludzi nad zwierzętami są nadzwyczaj sugestywne. Na przykład w powieści „Bieguni” mamy wyliczankę: „[...] psy miotają się w upale na zbyt krótkich łańcuchach, czekają na wodę jak na zbawienie, szczeniaki przypinane są do półmetrowego łańcucha, w drugim miesiącu życia w ogóle nie potrafią chodzić; owce kocą się na polach zimą, w śniegu; jedyne, co farmerzy robią w tej sprawie, to załatwiają wielkie samochody do wywożenia zamrażniętych jagniąt; w restauracyjnych akwariach trzyma się homary, żeby palec klienta skazał je na śmierć we wrzątku, w innych na zapleczech hoduje

się psy, posiłek z psiego mięsa przywraca przecież męską potencję; kury w kłatkach zdefiniowane są liczbą jaj, które zniosą, popędzane chemią w krótkim swoim żywocie; psy wystawiane są do walki; małpom wstrzykuje się zarazki; na skórze królików testuje się kosmetyki; futra robione są z płodów owiec...”.

A osoba przywoływana w tej samej książce w charakterze wyroczni odnośnie do praw zwierząt orzeka: „Prawdziwy Bóg jest zwierzęciem. Jest w zwierzętach, tak blisko, że aż go nie dostrzegamy. Codziennie się za nas poświęca, wielokrotnie umiera, karmi nas swoim ciałem, odziewa w swoją skórę, pozwala na sobie testować lekarstwa, żebyśmy mogli żyć dłużej i lepiej. Tak okazuje nam przywiązanie, obdarza nas przyjaźnią i miłością”.

INNY KOLOR ŻAŁOBY

Kościół katolickiego, szczególnie w jego polskim wydaniu, noblistka – jak to po wsiach polskich, ostojach tej zacofanej religii, mawiano – nie uważa. Ma do niego pretensje o to, co było wczoraj, i o to, co jest dziś. Na przykład po katastrofie smoleńskiej pisała z przekonaniem: „Od razu najważniejszą rolę w dysponowaniu żałobą narodową zaczął odgrywać Kościół katolicki. Hierarchowie kościelni byli obecni wszędzie. To oni witali trumny, dyskutowali w mediach, wygłaszali kazania w kościołach, czasami bardzo kuriozalne, jak homilia prałata z Przemyśla, który pozwolił sobie zauważyć, że katastrofa samolotu zamiast w sobotę mogła wydarzyć się w środę, kiedy w drodze do Katynia był premier Tusk, a zamordowanych w Katyniu przyrównał do »niemowląt aborcyjnych«. Mając niejako patent na takie »teatralizowane« formy rytuałów wspólnotowych, Kościół katolicki zgarnął natychmiast przestrzeń zbiorowego przeżycia, sprowadzając je do religijnej, polsko-katolickiej retoryki i zapominając przy tym, że istnieją też inne, pozareligijne formy przeżywania żałoby. Nikt nie pomyślał o tych ofiarach katastrofy, które były agnastykami czy ateistami. Ich także hurtowo włączono do »czuwań modlitewnych«, mszy i modlitw. Sale koncertowe i teatry, gdzie niekatolickie Polacy mogliby dać wyraz swojemu smutkowi, pozostały zamknięte”.

Towarzyszko Olgo! Nie obawiajcie się, już niedługo młodzi junacy odwołują

to jej się w zeszłym roku uchwalić ustawę o zakazie hodowli zwierząt na futro. Zastanawiam się, czy moje praprawnuki będą miały okazję głosować kiedyś na taką partię w Polsce. Założywszy, że za te sto lat będzie jeszcze coś takiego jak Polska i coś takiego jak wybory”.

Tego to akurat nie wiemy. Za to wiadomo już nam, z ust samej noblistki, że za pół wieku wstydzic się będziemy za to, że jedliśmy mięso. Nie doczekam tego, więc się nie martwię, jednak jacyś nieprzejednani, a pewnie młodzi

■ siedziby partyjnych komitetów i będziecie sobie mogli wystawiać tam trumny tak długo, jak wam się spodoba. I śpiewać będziecie „Międzynarodówkę”, i machać czerwonymi flagami na zmianę z tęczowymi. I wyśmiewać się z takich dinozaurów politycznych i społecznych jak przywoływany dostojnik Kościoła. Zresztą był to, zmarły dwa lata później, arcybiskup przemyski Ignacy... Tokarczuk.

A wracając jeszcze do katastrofy smoleńskiej, tak oto przyszła noblistka ją analizowała: „Jesteśmy świadkami powstawania mitu i w tym sensie mamy szczęście. Może pozazdrosczą nam tego przyszli socjologowie. Widzimy, jak dzień po dniu wyłaniają się jego kolejne elementy, z których jedna część nawiązuje wprost do romantyzmu, druga zaś do prawicowych narodowych tradycji. A wszystko dzieje się na ekranie telewizorów, bo jedynym naprawdę wpływowym medium stała się telewizja, która już dawno porzuciła swój medialny cel – informowanie. Ona dziś aktywnie, na naszych oczach, tworzy rzeczywistość.

Mit jest ten sam, właściwie od lat nic się nie zmieniło i wygląda na to, że wszelkie wydarzenia historyczne w przeszłości tylko go umocniły. Nie mamy mu nic do przeciwstawienia, nie wypracowaliśmy niczego nowego. Nasza zbiorowa świadomość tkwi w tym samym miejscu nigdy nieprzepracowanej krzywdy, niezabliźnionego ofiarstwa, celebrowania klęski.

Sytuacja smoleńska pokazuje też, na jak bardzo kruchych i anachronicznych fundamentach jest zbudowane nasze

zabliźnione, a celebra klęsk wywołuje jedynie odruch wymiotny. No to pozostaje mi tylko pogratulować dobrego samopoczucia!

PALENIE TALMUDÓW

Olga Tokarczuk, jako się rzekło, zagłębia się też w nasze dzieje. Wiele lat temu w „Prawieku” oswajała, z pewnym powodzeniem, tzw. Ziemię Odzyskaną, tym razem z całym ich niemieckim rodowodem. Koroną twórczości, jej opus magnum miały stać się jednak dopiero „Księgi Jakubowe”, których przetłumaczenie na szwedzki otworzyło pisarce drogę do Nagrody Nobla. W końcu Komitet miał parę piszących pań do wyboru (bo że jedną z dwóch przyznanych nagród otrzyma kobieta, było więcej niż pewne): a to Kanadyjkę Anne Carson, a to Can Xue z Chin, to znów z Gwadelupy Maryse Condé. „Księgi Jakubowe” mogły stać się w tym momencie decydującym argumentem – pierwszej wagi, i to niemałej, bo księga ta – rzeczywiście, bardziej księga niż książka – waży cały kilogram. A opowiada historię Jakuba Franka, żydowskiego mesjasza z Podola, który w połowie XVIII w. doprowadził swoich wyznawców do konwersji na katolicyzm. W sumie za jego sprawą ochrzciło się kilka tysięcy starozakonnych. Ruchem frankistów interesowano się po latach w Polsce tyle o ile, najczęściej, gdy komuś przypisać chciano skrywane przez niego żydowskie pochodzenie. Ostatnimi laty temat pojawiał się znacznie częściej w literaturze (m.in. „Moliwda” Andrzeja Żuławskiego), a nawet w kinie („Daas”

wiezionemu do Kaługi, skąd powrócił dopiero po sześciu latach. Domagał się on opuszczenia przez wojska rosyjskie ziem polskich, wzmocnienia wojsk Rzeczypospolitej, a porwany, zdążył jeszcze wydać manifest wzywający do modlitw o całość wiary i utrzymanie wolności narodowych.

Pisarkę obchodzi to wszystko niczym zeszłoroczny śnieg, ważny jest bowiem dla niej jedynie biskupi antysemityzm. A szedł on w parze z hazardową żyłką, nader rozwiniętą u Sołtyka. Tak rzeczywiście było. W tamtym czasie gra w karty niejednemu zawróciła w głowie, o czym niedawno ciekawą powieść „Chack (Gracje. Opowieść o szulerach)” napisał Włodzimierz Bolecki.

Czytamy u Tokarczuk: „Biskup Sołtyk ma naprawdę wielki kłopot. Nawet modlitwa, szczerą i głęboką, nie potrafi zmyć tych myśli. Pocą mu się ręce, budzi się zbyt wcześnie, kiedy zaczynają śpiewać ptaki, a chodzi spóźno z wiadomymi przyczyn. Dlatego jego nerwy nigdy nie odpoczywają. Dwadzieścia cztery karty. Rozdaje się po sześć kart, a jedną wyświęca się i ta stanowi kozere, czyli kolor najstarszy, atu, bijący inne. Biskup uspokaja się dopiero, kiedy siada do gry [...]. W mariasza biskup gra z równymi sobie. Ostatnio, gdy tu peregrynował kanonik przemyski, grali do rana. Gra z Jabłonowskim, Łabęckim, Kossakowskim, lecz to nie wystarcza”.

Przebiera się i chodzi po karczmach grać w faraona na pieniądze. I zadłuża się: „Nikt jeszcze nie wie, że zastawił insygnia biskupie, by spłacić kolejne długi. U Żydów żytomierskich. Nie chcieli przyjąć, musiał ich przekonać [...] podniósł głos, wystraszył ich. Wzięli i wypłacili mu czystą gotówkę. Biskup, jako że gotówki z kart nie odzyskał, chce teraz Żydom te insygnia odebrać, naśląc na nich jakichś zbrojnych – ponoć trzymają je w chałupie pod podłogą. Gdyby się ktokolwiek o tym dowiedział, nie miałby już biskup życia. Dlatego gotowy jest zrobić wszystko, by insygnia wróciły znów do domu biskupiego. Tymczasem jednak próbuje odegrać się w faraona, licząc ufnie na pomoc Boską”. Pomoc nie nadchodziła jednak, więc desperowany o pożyczkę jął prosić bp. Dembowskiego, narzekając przy tym co niemiara na Żydów żytomierskich, którzy mają czelność domagać się od niego jakichś pieniędzy. Pisał zatem: „[...] w bezczelności swojej umiaru oni nie mają, potrzebowalby

Komitet miał parę piszących pań do wyboru (bo że jedną z dwóch przyznanych nagród otrzyma kobieta, było więcej niż pewne).

„Księgi Jakubowe” mogły stać się w tym momencie decydującym argumentem – pierwszej wagi, i to niemałej, bo księga ta – rzeczywiście, bardziej księga niż książka – waży cały kilogram

społeczeństwo. Obraz demokratycznego, nowoczesnego społeczeństwa wydaje się być tylko cienką warstwą, pod którą buzują irracjonalne energie plemienne, które na dodatek zaczynają być wykorzystywane do bezwzględnej politycznej walki”.

A, jak rozumiem, Szanowna Pani czy też Towarzyszka uważa, że polskie krzywdy są przepracowane, ofiarstwo

w reżyserii Adriana Panka z Olgierdem Łukaszewiczem w roli Franka), co nie dziwi, jako że generalnie wraz z wolnością zawitała w nasze granice moda na noszenie Żydów na rękach.

Olga Tokarczuk, rzecz jasna, jest w tej materii prymuską, zgola zbyt mocno jednak robi czarny PR bp. Kajetanowi Sołtykowi, w 1767 r. porwanemu przez carskiego ambasadora Repnina i wy-



Robert Biedroń i Joanna Scheuring-Wielgus na przedwyborczej konferencji w Toruniu. FOT. ŁUKASZ PIEKCY/REPORTER

tych pieniędzy jak najszybciej. Dziwi, że w naszej Rzeczypospolitej Żydzi tak jawnie urągać mogą prawom i dobremu obyczajowi. Nie na darmo papież: Klemens VIII, Innocenty III, Grzegorz XIII i Aleksander III nakazywali bezustannie palenie ich Talmudów, i kiedyś my to chcieli w końcu uczynić tutaj, to nie tylko nie mieliśmy poparcia, ale nawet władze świeckie stawiały nam opór. Rzecz to szczególna, że wypędzono Tatarów, arian, husytów, a o wypędzeniu Żydów jakoś się zapomina, choć oni krew naszą wysysają. A przecież na granicy mają już na nas swoje przysłówie: Polonia est paradus Judaeorum...”

KTO POSTRADAŁ ZMYŚŁ

Najgorsze jednak dopiero się stanie. W 1753 r. Kajetan Sołtyk, będąc koadiutorem kijowskim, wszczął proces w Żytomierzu przeciw 33 Żydom o dokonany w Markowej Woli rzekomy mord rytualny chrześcijańskiego dziecka. Trzynastu z nich skazano na

męki i śmierć. Jaki był związek między procesem Żydów a biskupimi długami i rzekomym zastawieniem przez niego pastorałów, tego nie wiem, ale pisarka jest o jego istnieniu przekonana. Co jednak począć z jego kartą patriotyczną, nie do zakwestionowania? Autorka „Ksiąg Jakubowych” nie traci bp. Sołtyka z pola uwagi niemal do końca. W wyrazistej scenie pokazuje jego powrót z zesłania w roku 1773: „[...] gdy powóz staje, lud kłęka na środku rzeki, prosto w śniegu. [...] Tylko przez krótką chwilę widać twarz biskupa – zmienioną, dziwnie szarą. Zaraz idzie szept, że był tam męczony, dlatego tak wygląda. Potem jego postać znika w powozie, powóz rusza po lodzie w stronę Starego Miasta.

Od razu po Warszawie roznoszą się plotki, że biskup Sołtyk tam, na Kołymie, w tym mroźnym piekle, postradał zmysły i jasność umysłu wraca mu tylko czasami. Niektórzy, co go znali wcześniej, twierdzą, że już wtedy, gdy go Rosjanie pojmali, nie był zdrow na umyśle.

Ci mówią, że istnieją tacy, których mniemanie o sobie samych jest tak wysokie, że ich zupełnie zaślepia i wszędzie wokół widzą tylko siebie. I przekonanie o własnej ważności odbiera im rozsądek i władzę sądenia. Z pewnością biskup Sołtyk do takich ludzi należy i nieważne, czy zmysły postradał, czy nie”.

Kościelny hierarcha wychodzi przy tym na idiotę, bo nie potrafi odróżnić dwóch słów hebrajskich różniących się jedną literą, że jednak krew niewinnych (z założenia!) Żydów splamiła jego ręce, to i nie ma dwóch zdań odnośnie do jego oceny.

Jeśli ktoś uważa, że bez znajomości sprawy Franka, nie Hansa – Jakuba, trudno mu się będzie rozeznac w świecie dawnym i współczesnym, ten niech zgłębia tajemnice „Ksiąg Jakubowych”. Ktoś w końcu te zakupione egzemplarze powieści powinien przeczytać. Bo tak tylko stoją na półkach i porastają kurzem, a to się nie godzi noblowskim dziełom.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



**Z Michałem Dworczykiem,
szefem Kancelarii
Prezesa Rady Ministrów
rozmawia Maciej Pieczyński**

Tusk nie zaryzykuje starcia z Dudą

MACIEJ PIECZYŃSKI: „Minister Ziobro nigdy nie formułował oczekiwania, że sam chciałby być wicepremierem. Co do kwestii obsady stanowiska premiera – nie jest tajemnicą, że bliscy współpracownicy ministra Ziobry formułowali publicznie takie przekonanie, że premierem powinien być Jarosław Kaczyński” – stwierdził Jarosław Gowin w rozmowie z Konradem Piaseckim...

MICHAŁ DWORCZYK: Nie chcę komentować wypowiedzi naszych koalicjantów. Sprawy wewnątrzkoalicyjne powinno się załatwiać nie za pośrednictwem mediów, tylko w ramach koalicji. Oczywiście premierem będzie Mateusz Morawiecki. Zapowiadał to prezes Jarosław Kaczyński jeszcze przed wyborami. Rozpoczynanie dziś w przestrzeni medialnej dyskusji na ten temat może oznaczać kwestionowanie zdania lidera naszej formacji, czyli Zjednoczonej Prawicy.

Tak czy inaczej, nie da się ukryć, że Porozumienie i Solidarna Polska wprowadziły dość znaczącą liczbę posłów do Sejmu. Bez nich PiS straciłby większość. Co więc Jarosław Gowin i Zbigniew Ziobro otrzymają w zamian?

Przypomnę tylko dla porządku, że wszyscy startowali z list Prawa i Sprawiedliwości, a nie pod własnymi szyldami. Nasi koalicjanci wprowadzili do Sejmu kilkanaście osób więcej w porównaniu z 2015 r. i w związku z tym liderzy Porozumienia oraz Solidarnej Polski w sposób naturalny oczekują, że wzrost poparcia przełoży się na realizację ich postulatów programowych oraz większą liczbę powierzonych kompetencji w ramach struktur nowego rządu. W tej chwili toczą się rozmowy. Mówienie o szczegółach negocjacji w trakcie ich trwania byłoby jednak nie na miejscu. Nie będę się wypowiadał w sprawach koalicji dopóty, dopóki dyskusja na temat jej ostatecznego kształtu nie zostanie zakończona.

Jarosław Gowin twierdzi, że gdyby w większym stopniu uwzględniano postulaty Porozumienia – głównie gospodarcze – wynik Zjednoczonej Prawicy mógłby być większy.

Po zakończeniu kampanii i po wyborach stosunkowo łatwo jest mówić o tym, co można było zrobić lepiej. Prowadziliśmy kampanię jako Zjednoczona Prawica. Wszystkie punkty programu były ustalane wspólnie. Dlatego publiczne rozważania o tym, co by było, gdybyśmy przesunęli akcenty w tę czy inną stronę, wydaje się całkowicie niepotrzebne i jałowe. Przypomnę, że wygraliśmy te wybory. Osiągnęliśmy znakomity wynik.

Po raz pierwszy w historii jedna partia zdobyła ponad 8 mln głosów w wyborach. Średnia europejska dla zwycięskiej partii w ostatnich wyborach w poszczególnych krajach UE wynosi niespełna 32 proc., my zdobyliśmy ponad 43 proc. poparcia. I właśnie dlatego trzeba się przede wszystkim cieszyć z tego zwycięstwa. Oczywiście ewaluacja jest potrzebna. Zawsze warto zastanawiać się nad ewentualnymi zmianami programowymi czy organizacyjnymi na przyszłość. My potrafimy wyciągać wnioski, zarówno ze zwycięstw, jak i potknięć.

W czasie kampanii zapowiedzieliście, że w ciągu pierwszych 100 dni po wyborach zostaną uchwalone ustawy albo programy rządowe dotyczące małego ZUS, 13. i 14. emerytury, pakietu kontrolnych badań profilaktycznych, budowy 100 obwodnic i planu dojścia do równych dopłat dla rolników. Dzień po wyborach stwierdził pan, że wdrożenie wszystkich pięciu projektów może się w zapowiadany termin nie udać. Zadeklarował pan natomiast, że w ciągu pierwszych 100 dni zostanie rozpoczęta realizacja tych programów. Skąd te problemy w spełnianiu obietnic?

Fragment mojej wypowiedzi został instrumentalnie wykorzystany przez niektóre media. Czy ktoś rozsądny uważa, że w ciągu 100 dni można zbudować 100 obwodnic?! Wyraźnie przecież zaznaczyłem, że w ciągu tych 100 dni zostanie rozpoczęta realizacja wszystkich pięciu programów. Nie mówiłem nic o ich zakończeniu. W zapowiadany termin przedstawię dokładny program i harmonogram działań w sprawie każdej z tych obietnic. Nie ma żadnych wątpliwości, że zrealizujemy te obietnice. To jednak będzie wymagało czasu. Sama budowa 100 obwodnic potrwa kilka lat. Z pewnością natomiast w 100 dni przygotujemy podstawę prawną, harmonogram prac i rozwiązania organizacyjne, które pozwolą na realizację tych zapowiedzi. Nie ma na razie decyzji, który z tych pięciu kluczowych punktów programowych zostanie zrealizowany jako pierwszy. Być może wystartujemy jednocześnie ze wszystkimi pięcioma projektami. Szczegóły przedstawi już niebawem premier Morawiecki w exposé.

W mediach trwają spekulacje na temat planów dotyczących składu nowego rządu. Giełda nazwisk jest bogata. O kim może pan powiedzieć na pewno, że znajdzie się w nowym gabinecie Mateusza Morawieckiego?

Sytuacja jest bardzo dynamiczna. Od chwili naszego spotkania do momentu

ukazania się tego numeru „Do Rzeczy” może się wiele zmienić.

Ale na pewno wiele już wiadomo. Może np. potwierdzi pan, że Jacek Czaputowicz pozostanie na czele polskiej dyplomacji? Czy może trafne okazać się przewidywania, że w nowym rozdaniu fotel szefa MSZ przypadnie Krzysztofowi Szczerskiemu?

Nie będę ani potwierdzał, ani dementował pogłosek w sprawie poszczególnych nazwisk. Nie będę mówił o tym, kto konkretnie zostanie, a kto odejdzie z rządu. Mogę jednak potwierdzić, że rekonstrukcja nie będzie bardzo głęboka, ale zarazem będzie miała sporo świeżości. Mam też nadzieję, że tuż po 12 listopada, w trakcie pierwszego posiedzenia parlamentu, zostanie przedstawiona panu prezydentowi przez premiera Morawieckiego propozycja nowego składu rady ministrów. Chcielibyśmy, aby proces tworzenia nowego rządu przeszedł sprawnie i bez zakłóceń.

A jednak komentował pan już konkretne personalia. Wszystko wskazuje na to, że nowo odtworzone Ministerstwo Skarbu obejmie Jacek Sasin.

Jacek Sasin jest bardzo doświadczonym urzędnikiem i politykiem, co niewątpliwie predestynuje go do objęcia wysokich stanowisk w administracji publicznej. Jestem przekonany, że sprawdziłby się na czele każdego resortu zajmującego się szeroko pojętymi sprawami gospodarczymi.

Skoro nic więcej nie powie pan o składzie nowego rządu, to może pomówmy o giełdzie nazwisk wymienianych w kontekście honorowej funkcji marszałka seniora. Janusz Korwin-Mikke, Iwona Śledzińska-Katarasińska, Jarosław Kaczyński, a może Antoni Macierewicz?

Tu już decyzja należy do pana prezydenta. Trudno oczekiwać, aby wypowiadał się w tej sprawie szeregowy poseł, obecnie jeszcze szef Kancelarii Prezesa Rady Ministrów...

No to może Michał Dworczyk zdradzi chociaż, czy będzie dalej szefem KPRM?

Jeśli chodzi o mnie, to zależy to przede wszystkim od decyzji pana premiera i kierownictwa partii.

Czarnym koniem wyborów okazała się Konfederacja. Zdaniem Adama Hofmana formacja ta ma szansę „dojechać” do 10 proc. poparcia. Wtedy jednak, według byłego rzecznika PiS, partia Kaczyńskiego „schrupie” Konfederację. Jak panu smakowałaby taka przystawka?

Nieszczególnie trafiają do mnie tego typu kulinarne porównania. My, jako

■ PiS, będziemy się koncentrować przede wszystkim na realizacji naszego programu. Pozostałe ugrupowania będą nas interesować o tyle, o ile będą się merytorycznie włączać w prace nad naszymi propozycjami programowymi. Dla nas punktem odniesienia są oczekiwania Polaków, a nie harce opozycji. Niestety, z zapowiedzi niektórych liderów Konfederacji wynika, że zamierzają raczej dążyć do konfrontacji z PiS, a styl prowadzonej przez nich polityki będzie miał więcej wspólnego z happeningiem niż z poważną debatą. Mimo wszystko liczę, że w sprawach kluczowych dla państwa polskiego uda się nawiązać współpracę, niezależnie od barw politycznych.

Konfederacja zapewne będzie was atakować z prawej strony. Żeby nie stracić wyborców na ich rzecz, będziecie zmuszeni udowodnić, że jesteście prawdziwą prawicą w sprawach światopoglądowych: walki z aborcją, pedofilią czy w sprawach obrony wizerunku Polski za granicą, pewnie wróci też temat „ustawy 447”...

My na pewno nie damy się wciągnąć w żadne wyścigi w tej sprawie. Nie będziemy się licytować, kto jest większym patriotą, kto jest prawdziwym konserwatystą... Mamy własny, konkretny program, który Polacy poparli, obdarzając nas tak wysokim poparciem przy urnach. Będzie my partią normalności, a nie skrajności.

Zmienimy temat. „Szef NIK nie jest o nic oskarżony, nie ma postawionych żadnych zarzutów” – podkreślał pan niedawno, dodając, że wszelkie wątpliwości trzeba wyjaśnić. A jednocześnie nazywał pan Mariana Banasia „człowiekiem, który ma piękną kartę, piękną historię”...

Wszystko w tej sprawie odbywa się zgodnie z procedurami. Nie zakończył się etap badania oświadczenia majątkowego. Poczekajmy na decyzję CBA, ona jest kluczowa.

Jeśli CBA nie zadowolili się tłumaczeniami Mariana Banasia i skieruje sprawę do prokuratury, to prezes NIK powinien pańskim zdaniem ustąpić?

Przypominam, że w Polsce obowiązuje domniemanie niewinności. Jeśli sprawa prezesa Banasia trafi do prokuratury, to on sam będzie musiał podjąć decyzję, co dalej robić. Dziwi mnie, że niektórzy dziennikarze, publicyści czy politycy, nie czekając na wyjaśnienia, formułują postulat ustąpienia szefa NIK ze stanowiska. Co ciekawe, wielu z nich nic zdrożnego nie dostrzegало w dużo poważniejszej sytuacji Krzysztofa Kwiatkowskiego. Przypomnijmy, że po-

przednik Mariana Banasia nie zrezygnował z pełnionej przez siebie funkcji, pomimo że miał postawione zarzuty karne.

A teraz nawet został senatorem.

To prawda, dlatego jeśli ktoś odsądza od czci i wiary prezesa Banasia, nie potępiając jednocześnie byłego prezesa Kwiatkowskiego, to znaczy, że stosuje podwójne standardy.

Skoro mowa o Senacie – był pan negocjatorem lokalnych koalicji po wyborach samorządowych. Teraz zapewnia pan, że nie ma mowy o żadnym „handlu”, kupowaniu senatorów przez PiS. Jednocześnie dodaje pan: „Zdarzają się posłowie, senatorowie, którzy uznają, że warto poprzeć inną opcję, z którą nawet do tej pory byli w jakimś sporze czy polemizowali”. To który z senatorów niezrzeszonych czy opozycyjnych poprze waszą opcję?

Nie prowadziłem żadnych rozmów w tej sprawie. Odsyłam z tym pytaniem do pana marszałka Karczewskiego i pozostałych kilkudziesięciu naszych senatorów.

„Umówiliśmy się, że Senat na pewno nie będzie izbą zadymy, obstrukcji, walki, tylko poprawiania ustaw. Tych, które są dobre, na jeszcze lepsze, a te, które są złe, muszą być radykalnie zmieniane” – zapowiada Władysław Kosiniak-Kamysz.

Ewentualna większość opozycji w Senacie nie będzie dla nas większym problemem. Nie zahamuje procesu legislacji, ewentualnie nieco spowolni.

Może to i lepiej. Trudniej będzie przepychać niedopracowane ustawy.

Jeśli rzeczywiście opozycja uczyni z Senatu izbę refleksji, to będzie to tylko z korzyścią dla procesu legislacyjnego.

Wierzy pan w to?

Patrząc na skład nowego Senatu, gdzie znalazło się kilku polityków opozycji, którzy w poprzedniej kadencji zasiadali w ławach poselskich i zajmowali się głównie awanturnictwem, mam poważne obawy.

Za nami pierwsze spotkanie trzech liderów opozycyjnych partii w sprawie wyboru prezydium Senatu. Przed nami – kolejna tura rozmów. Dlaczego tak trudno im się porozumieć?

Po pierwsze, nie ma jednego, oczywistego lidera opozycji...

Nie ma nawet jednego oczywistego lidera Platformy Obywatelskiej.

Patrząc na anty-PiS jako całość, widzimy więc, że brakuje tam polityka, który

małby autorytet wystarczający, aby dać wiążącą odpowiedź na pytanie: „Kto powinien być marszałkiem Senatu w razie uzyskania wymaganej liczby głosów?”. Inną kwestią jest wciąż nierozstrzygnięta walka o fotel lidera opozycji. To rywalizacja na dwóch poziomach – między partiami oraz wewnątrz najsilniejszego z ugrupowań. PO jest w stanie rozkładu.

Pańskim zdaniem dni Schetyny jako szefa PO są policzone?

Schetyna jest jednym z najbardziej doświadczonych, najbardziej zdeterminowanych i chyba najbardziej bezwzględnych polityków na polskiej scenie. Skreślanie go dziś byłoby nieroztropne i przedwczesne. Trzeba to jednak powiedzieć: u nas przywództwo jest jasne, po stronie opozycji – coraz bardziej mgliste.

„Jestem gotowa i mam pomysł, jak pokonać Andrzeja Dudę” – zapowiada Małgorzata Kidawa-Błońska. Prezydent ma się czego bać?

Prezydent Andrzej Duda jest świetnie przygotowany do kolejnej kampanii, dobrze reprezentuje nasz kraj zarówno na forum wewnętrznym, jak i zewnętrznym. Badania poziomu zaufania jednoznacznie wskazują na to, że Polacy doceniają jego prezydenturę. Dlatego, niezależnie od pomysłów opozycji, to Andrzej Duda jest faworytem nadchodzących wyborów. Jednak tylko wspólna ciężka praca pana prezydenta i całego obozu Zjednoczonej Prawicy może zagwarantować zwycięskie poparcie społeczne w przyszłorocznych wyborach.

Myśli pan, że w szranki z nim stanie Donald Tusk? Część komentatorów twierdzi, że zapowiedź wydania książki pod wiele mówiącym tytułem „Szczerze” autorstwa szefa Rady Europejskiej to właśnie preludium do powrotu na polską scenę polityczną, akurat na kampanię prezydencką.

Moim zdaniem Donald Tusk nie zaryzykuje starcia z Andrzejem Dudą. W ostatnich miesiącach zamiast być – zgodnie ze swoim stanowiskiem – niezależnym unijnym urzędnikiem szef RE angażował się w politykę wewnątrz krajową po stronie jednej ze stron sporu. Gdyby to jego zaangażowanie było jeszcze owocne, mógłby rozważać powrót. Jednak każda z interwencji Donalda Tuska w sytuację polityczną w Polsce kończyła się raczej spadkiem niż wzrostem poparcia dla opozycji. Były lider Platformy z pewnością zdaje sobie z tego sprawę.

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LIŚCICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

**DO
RZECZY** TYGODNIK
„DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKA

T. KOWALIK I P. SŁOWIŃSKI
„DRAGI I WOJNA”

~~633~~ zł



242,00 zł



OSZCZĘDNOŚĆ
391 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmppg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl



Gra o Senat

PiS zaczął składać pierwsze protesty wyborcze dotyczące wyborów do Senatu w poszczególnych okręgach równo tydzień po wyborach parlamentarnych. Do tego czasu nikt z partii rządzącej nie zgłaszał żadnych uwag co do przebiegu wyborów, liczenia głosów czy liczby głosów nieważnych. To sprowokowało pytania o to, dlaczego po tylu dniach ktoś w kierownictwie partii doszedł do wniosku, żeby pójść akurat w tym kierunku.

W ciągu kilku dni PiS złożył sześć protestów wyborczych. Dotyczyły one tych okręgów senackich, w których kandydat opozycji wygrał z kandydatem Zjednoczonej Prawicy, a różnica w wyniku między kandydatami była mniejsza niż liczba oddanych głosów nieważnych. Tak było m.in. w okręgu nr 100 (Koszalin), gdzie mandat senatorski wywalczył Sta-



Kamila Baranowska

PKW negatywnie zaopiniowała większość protestów wyborczych PiS. Podobne stanowisko zajmuje Sąd Najwyższy. Po co zatem było całe to zamieszanie?

nisław Gawłowski (były polityk PO, teraz startował z własnego komitetu). Różnica między nim a kandydatem PiS Krzysztofem Nieckarzem wyniosła tylko 320 głosów, przy 3344 głosach nieważnych.

Reakcja opozycji była natychmiastowa i przewidywalna. – Mamy wielki skandal w Polsce, decyzja PiS o złożeniu protestów wyborczych jest decyzją polityczną, PiS nie akceptuje werdyktu wyborczego, nie akceptuje woli Polaków,

którzy przy bardzo wysokiej frekwencji oddali większość Senatu w ręce opozycji – grzmiał lider Koalicji Obywatelskiej Grzegorz Schetyna jeszcze tego samego dnia, gdy PiS złożył pierwsze dwa protesty wyborcze. Dodał też, że „jesteśmy w miejscu, w którym możemy bardzo wyraźnie powiedzieć: demokracja i zasady są zagrożone w Polsce”. Po czym jakby nigdy nic następnego dnia Koalicja Obywatelska złożyła własne

trzy protesty wyborcze, także dotyczące okręgów senackich.

CICHE WSPARCIE

Opozycja przez wiele dni podkreślała także okoliczność, że decyzję o ewentualnym przeliczeniu głosów ostatecznie podejmie Izba Kontroli Demokratycznej Sądu Najwyższego. Izba, jak mówił Schetyna, „powołana przez większość PiS-owską, przez KRS, który został powołany nielegalnie przez większość PiS-owską”. Jeśli sprawa protestów wyborczych miała być testem dla nowego Sądu Najwyższego, to opozycja powinna być zadowolona. W sprawie czterech protestów sąd postanowił pozostawić je bez dalszego biegu. – Nie wskazano żadnych dowodów, że były nieprawidłowości w ustalaniu liczby głosów. Takim dowodem nie mogą być oględziny i ponowne liczenie przez sąd głosów nieważnych – uzasadniał Sąd Najwyższy odrzucenie pierwszych dwóch protestów.

Wcześniej w podobnym tonie wypowiedziała się PKW, która pięć z sześciu złożonych przez PiS protestów uznała za bezzasadne i rekomendowała Sądowi Najwyższemu pozostawienie ich bez dalszego biegu.

Od początku wskazywano, że wszystkie złożone przez PiS protesty wyborcze mają tę samą zasadniczą słabość, czyli brak przekonującego uzasadnienia, że mogło dojść do nieprawidłowości. Samo przypuszczenie albo sama chęć przeliczenia głosów dla pewności to w tym wypadku za mało.

Wicereczenik PiS Radosław Fogiel, komentując w Polskim Radiu 24 pierwszą niekorzystną dla PiS decyzję sądu, mówił o absurdalności zarzutów kierowanych pod adresem PiS w sprawie protestów wyborczych. – Przypisywanie Prawu

i Sprawiedliwości intencji, których tam nie było od początku, tworzenie jakiejś narracji o próbie zawłaszczenia Senatu drogą sądową, pozawyborczą, i oczywiście te czarne wizje sądów, które orzekną tak, jak na Nowogrodzkiej się im poleci, ta cała narracja pada – stwierdził.

I tu rozpoczyna się pole do spekulacji, czemu miało służyć całe to zamieszanie związane z protestami wyborczymi. Pojawiła się już teoria dotycząca tego, że od początku chodziło o uwiarygodnienie nowego Sądu Najwyższego, który orzekł nie po myśli PiS. Bardziej prawdopodobnie brzmią jednak inne wyjaśnienia tej sytuacji. Z rozmów z politykami PiS wynika, że chodziło głównie o czas, którego PiS potrzebował, by zorientować się w nowej sytuacji w Senacie.

PiS od wielu dni prowadzi rozmowy z senatorami opozycji, by zbudować większość potrzebną do powołania własnego marszałka Senatu. Dzisiaj większość, uwzględniając także senatorów niezależnych sympatyzujących z Platformą, ma opozycję, ale że jest to większość niewielka (52 do 48), to PiS liczy na przejście senatorów opozycji. Już nie głośne i w świetle reflektorów na miarę transferu radnego Wojciecha Kałuży, który swoim przejściem z Nowoczesnej do PiS dał tej ostatniej partii władzę w śląskim sejmiku, lecz nieformalne i polegające na cichym wsparciu.

WIĘKSZOŚĆ I MARSZAŁEK

To o tyle realne, że kluczowe głosowanie w sprawie marszałka Senatu jest tajne. Później taka cicha współpraca miałyby polegać, jak słyszymy, np. na nieobecnościach podczas ważnych dla PiS głosowań, bo to odbierałoby opozycji większość. Dyskusja o protestach wyborczych skutecznie zaś przekiero-

wała uwagę opinii publicznej i samej opozycji gdzie indziej. Politycy PiS dziś w nieoficjalnych rozmowach sugerują, że od początku nie mieli zbyt wielu złudzeń, że PKW czy sąd wydadzą decyzję o przeliczeniu głosów. Ale u części wyborców udało im się zasiać pewne wątpliwości co do uczciwości wyborów i wprowadzić kolejne zamieszanie wokół sytuacji w Senacie.

Podobnie można odczytywać ostatnie publiczne wypowiedzi ważnych polityków obozu rządzącego, którzy mówią wprost, że większość PiS w Senacie jest jak najbardziej możliwa. – Większość opozycji jest bardzo chybota i te wszystkie dość agresywne wystąpienia polityków opozycji, którzy mówią o korupcji politycznej, wskazują, że oni doskonale zdają sobie sprawę, iż nawet jeśli 12 listopada [wtedy zaplanowane jest głosowanie nad wyborem marszałka Senatu – przyp. red.] będą mieć 51 głosów, to biorąc pod uwagę przebieg zarówno po naszej pierwszej kadencji w latach 2005–2007, jak i tej ostatniej, nasz klub w Sejmie i Senacie zawsze się zwiększał. Jestem przekonany, że ta opozycyjna większość szybko się wykruszy. Znam dobrze wielu z tych ludzi i myślę, że opozycja nie może być pewna tych 51 głosów – mówił tydzień temu w wywiadzie dla „Do Rzeczy” europoseł Adam Bielan ze Zjednoczonej Prawicy.

Nawet jeśli to tylko polityczny błąd, mający ośmielić być może wahających się senatorów opozycji, to jego słowa wywołały konsternację po obu stronach politycznej barykady. Pierwsze posiedzenie nowo wybranego Senatu i to, kto ostatecznie zostanie wybrany na marszałka Senatu, do końca będzie niewiadomą. Zarówno dla opozycji, jak i PiS.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



Instytut Pamięci Narodowej
zaprasza na
prezentację książki

6 listopada (środa)
godz. 17:30

Przystanek Historia Centrum Edukacyjne IPN
ul. Marszałkowska 21/25, Warszawa



Udział wezmą:

dr MARCIN PRZEGIĘTKA
– Instytut Pamięci Narodowej

dr Christhardt Henschel
– Niemiecki Instytut Historyczny
w Warszawie

dr PAWEŁ KOSIŃSKI
– redaktor naukowy, Biuro Badań
Historycznych IPN

Prowadzenie: **dr JĘDRZEJ LIPSKI**

Organizatorzy

Patronat medialny





Rafał A. Ziemkiewicz

Grzegorz Schetyna rządzi PO dlatego, że nie ma tam lepszego kandydata ani żadnego pomysłu, który nowy lider mógłby wyborcom zaproponować

Grzegorz Schetyna toczy walkę o przetrwanie. I wszystko wskazuje na to, że raz jeszcze ocali swą pozycję. Okazał się wprawdzie za słaby, by poprowadzić PO do zwycięstwa czy nawet do sprawienia rządzącym jakichś poważniejszych kłopotów, ale wystarczająco silny, by nie dopuścić do jej rozpadu lub zepchnięcia z pozycji największej partii opozycyjnej.

Siłą Schetyny wydają się: jego osadzenie w partyjnym aparacie, ćwiczona latami biegłość w politycznych intrygach i klub poselski, który dzięki sprytnemu ułożeniu przez przewodniczącego list wyborczych zdominowany jest przez ludzi zawdzięczających wszystko właśnie jemu. Chyba największym jego atutem jest dziś jednak słabość wewnątrzpartyjnej opozycji, której łatwo przychodzi oskarżanie Schetyny o przegraną, znacznie gorzej wskazanie konkretnych błędów, za które on właśnie by odpowiadał, a jego przeciwnicy nie, najgorzej zaś wskazanie kontrkandydata do przywództwa.

TUSK NIE WRÓCI

Donald Tusk, na którym w największym stopniu opierają oni swe nadzieje, gra ze swoimi zwolennikami równie nieczysto i cynicznie jak w czasach, gdy poświęcił ich dla zdobycia prestiżowego stanowiska w Brukseli. Stanowisko szefa Europejskiej Partii Ludowej, które wedle licznych przecieków otrzyma po zakończeniu kadencji w Radzie Europy, wydaje się dla niego idealne – dużo pieniędzy, mało obowiązków i wygodne życie w najwyższym standardzie. Jedyne, co wydaje się go interesować w kraju, to niedopuszczenie do rozliczenia ciemnych stron jego rządów, w tym szczególnie okoliczności tragedii w Smoleńsku i sprawy Amber Gold. Nie może być przypadkiem, że Tusk uaktywnia się



Przywódca z braku lepszego

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

z zapowiedziami „powstrzymania PiS” wyłącznie wtedy, kiedy na tapetę wraca ta druga sprawa. W istocie sygnał, który w ten sposób wysyła, znaczy co innego, niż to, w co chcą wierzyć sfrustrowani nieskutecznością Schetyny antypisowcy: coś w rodzaju „jeśli chcecie mnie tam w PiS przyciskać, to wróć i wam zaszkodzi, więc zostawcie mnie w spokoju, to i ja was zostawię”.

Sam Tusk więc do przywództwa nad opozycją aspirować nie będzie. Może naturalnie kogoś namaścić – choć sam zawsze powtarzał, że władzę ma ten, kto potrafi ją sobie wziąć, a nie ten, kto sądzi, że można ją od kogoś otrzymać. Tylko że na razie same plotki o byciu przez Tuska wskazanym, delikatnie mówiąc, szczęścia nie przynoszą. Za niemal pewnego „delfina” przez długi czas uchodził w PO,

właśnie z tytułu rzekomego wskazania przez Tuska, Rafała Trzaskowskiego. Dzisiaj, dzięki wystawieniu go przez Schetynę w Warszawie, musi tłumaczyć się na każdym kroku ze starych i z nowych wtop warszawskiego ratusza i nawet zawsze wierna „Gazeta Wyborcza” kręci nosem na jego „reaktywną” prezydenturę.

Otwarte wyzwanie Schetynie rzucili Borys Budka i Joanna Mucha. Nie są to politycy bardziej charyzmatyczni od obecnego przewodniczącego i podobnie jak on oboje zdolni są jedynie obsługiwać emocje „żelaznego elektoratu”, nikogo nowego do PO nie przekonując. Więcej być może w tej kwestii mógłby osiągnąć skonfliktowany ze Schetyną od dawna Bogdan Zdrojewski, ale ten z kolei wydaje się wyobcowany z mającego w wewnętrznych procedurach wyborczych istotne znaczenie partyjnego aparatu. I na tym praktycznie lista kontrkandydatów do przywództwa nad PO się kończy.

PLATFORMA BEZ POMYSŁU

Brak konkretnej osoby, którą wewnątrzpartyjną opozycja mogłaby przeciwstawić Schetynie, to tylko część problemu. W istocie nikt w PO – a tym bardziej w pochłoniętych przez nią „przystawkach” – nie ma pomysłu na inną PO niż PO Schetyny. Platforma potrafi być tylko partią władzy trwale odstawioną od władzy i jojczącą, że ci, którzy tego dokonali, są podli i nie mieli moralnego prawa dwukrotnie wygrać wyborów, bo to prawo przysługuje Platformie jako politycznej emanacji oświeconych europejskich elit.

Wewnątrzpartyjna opozycja zdaje się tego nie rozumieć – Platformę ciągnie w dół nie to, że jej przewodniczący jest nieporadny w wystęпах publicznych czy ma zły zgryz. Platforma płaci za to, że ubiegając się o identyfikację obrońców demokracji, ugrzęzła w antydemokratycznej formule „opozycji totalnej”. Formule ograniczającej się do jałowej negacji, sprowadzającej wszystkie działania opozycji do groteskowego „jak oni tak, to my nie, jak oni nie, to my tak”.

Hasło: „Będziemy opozycją totalną” było ze strony Grzegorza Schetyny wyrazem podziwu dla Jarosława Kaczyńskiego. Lider PO chciał dokładnie skopiować drogę, którą przeszedł jego przeciwnik po przegranej w roku 2007, a zwłaszcza po 2010 r., kiedy to Kaczyński odmówił legitymizowania wyborczego zwycięstwa

Komorowskiego i zaczął mówić o państwie rządzonym niepodzielnie przez PO i PSL jako o „kondominium niemiecko-rosyjskim”, podczas gdy sprzyjające mu media powtarzały w kółko żart o Angeli Merkel mówiącej do Władimira Putina: „Wasz prezydent, nasz premier”. Schety na nie wziął jednak pod uwagę, że tragedia w Smoleńsku, w przeciwieństwie do „łamania konstytucji”, wydarzyła się naprawdę i że, w przeciwieństwie do cynicznie kreowanej histerii „zagrożenia demokracji”, upokorzenie Polski, którym było potraktowanie śmierci prezydenta, za zgodą Tuska i jego ekipy, mniej poważnie niż przeciętnego wypadku samochodowego, naprawdę wstrząsnęło rzeszą Polaków.

PO i jej medialna „otulina” uwierzyły jednak, że opierając się na wydumanej koncepcie „praworządności”, można przenieść na jej stronę sceny politycznej te same mechanizmy, które utrzymały spoiwość PiS i przywództwo Kaczyńskiego po Smoleńsku, i że postraszanie Polaków gniewem Europy wstrząśnie nimi i wpłynie na masową zmianę ich postaw. Teraz, gdy rzeczywistość udowodniła, że były to fantasmagorie, okazuje się, iż „opozycja totalna” tkwi już zbyt głęboko w swej totalności, by przyznać się sama przed sobą do błędu.

Wmawianie sobie, że jeśli wymieni się Schetynę na kogoś ładniejszego, bardziej elokwentnego i niepopelniającego tak grubych błędów jak uczynienie centralną postacią ostatniej przedwyborczej konwencji nieobliczalnego Wałęsy, to ze strony PO klasyczna, znana doskonale psychologom ucieczka przed problemem w urojenia. Powiedzmy, że Grzegorz Schety na ugnie się pod wywieraną nań presją i ustąpi stanowisko, dajmy na to, Borysowi Budce. Nowy przywódca być może na chwilę tchnie otuchę w serca aparatu i skłoni PO do intensywniejszego zaangażowania w kampanię wyborczą Kidawy-Błońskiej. Co jednak nowego mógłby powiedzieć Polakom? Czym mógłby ich przekonać, że powinni znowu życzliwie spojrzeć na partię, którą już dwukrotnie odrzucili?

PSL PO NOWEMU

Tymczasem nową narrację ma do zaproponowania wyborcom PSL. Sukces tej formacji był skutkiem odcięcia się – po traumatycznym dla niej doświadczeniu wyborów do Parlamentu Europejskiego – nie tylko od LGBT i kursu na

lewo, przyjętego przez PO pod naciskiem lewicowo-liberalnych salonów i mediów, lecz także od formuły „opozycji totalnej”. Wraz z powrotem PSL (przez chwilę rozpaczliwie walczącego o życie, to znaczy o pozostanie w parlamencie) wróciła do polskiej polityki polityka rozumiana jako gra, a nie okładanie się cepami przy wtórze pryncypialnych zapewnień o swej moralnej wyższości i absolutnej niedopuszczalności wchodzenia w jakiekolwiek alianse z ucieleśniającym czyste zło wrogiem. Władysław Kosiniak-Kamysz, zamiast, tak jak Lewica, licytować się z PO w retoryce „żadnych rozmów z gwałcicielami konstytucji”, postawił na przekaz odwrotny: dobre pomysły PiS będziemy popierali, przeciw złym będziemy protestowali, nie przewidujemy koalicji z PiS, ale też nie wykluczamy współpracy w konkretnych sprawach, w imię dobra wspólnego.

Na pewno jest to komunikat dużo chętniej przyjmowany przez Polaków niż powtarzane od czterech lat deklaracje trwania w „totalnej opozycyjności” w oczekiwaniu, aż „przywrócona zostanie demokracja”. Wyborca raczej nie oczekuje pryncypialności, tylko „rozwiązywania problemów”. PO wygrywała, gdy jawiła się jako partia pragmatyków, którzy – jak głosiły jej zwycięskie wyborcze hasła – zamiast robić politykę, budują mosty, drogi i stadiony. Zabrnąwszy teraz w sekiarstwo, zostawiła puste pole, w które wchodzi dawny koalicjant. Ten proces wydaje się nieodwracalny i nie dziwi, że wspomniany już Tusk, polityk niezwykle cwany i skuteczny, wydaje się wskazywać jako przyszłego przywódcę opozycji nie żadnego z pretendentów do następstwa po Schetynie, ale właśnie lidera PSL.

Czy to oznacza koniec PO? Nie, ta partia będzie przecież przez całą kadencję dostawać blisko 20 mln zł subwencji budżetowej rocznie, nawet gdyby spadła w sondażach poniżej progu wyborczego. Być może, jak oskarżali ją o to już dawno co bardziej ideowi działacze antypisu, stanie się tylko „funduszem emerytalnym” dla partyjnego aparatu, ale taki fundusz emerytalny będzie miał zawsze swoje znaczenie w przyszłych koalicjach. A czy ktoś może zarządzić nim lepiej niż doświadczony w gabinetowych grach i rozgrywaniu aparatu Schety na? Nie widać takiego. Po co więc właściwie miałyby PO zmieniać przywódcę?



Łukasz Warzecha

Nie miejmy złudzeń: pozorne szaleństwo prozwierzęcych organizacji ma naturę równi pochyłej, tak samo jak postulaty środowisk homoseksualnych. Gdyby został wprowadzony zakaz hodowli zwierząt futerkowych, byłby to tylko początek

Następne byłyby naciski na zakaz hodowli klatkowej jakichkolwiek zwierząt, a potem – na ograniczenie lub zakaz hodowli zwierząt na mięso w ogóle. Szczególnie że zgrywa się to idealnie z wariactwem klimatystów, którzy walkę z domniemanym globalnym ociepleniem zgrabnie łączą właśnie z hodowlą bydła.

Tym bardziej dziwi, że antyfutrarscy lobbyści dostają tak silne wsparcie z prawej – podobno – strony.

Zaraz po wyborach wrócił temat zakazu hodowli zwierząt futerkowych. Wrócił za sprawą rozmowy z Radosławem Foglęm, wicerecznikiem PiS. Pytanie, czy taka była intencja samego Fogla, czy też jego dość ogólnikowa wypowiedź została mocno rozdmęta przez dziennikarzy „Gazety Polskiej Codziennie” – Wojciecha Muchę i Jacka Liziniwicza, od dawna agitujących za wprowadzeniem zakazu. Fogiel powiedział bowiem jedynie: „Kierownictwo Prawa i Sprawiedliwości jest w dalszym ciągu zarówno za rezygnacją z tego rodzaju działalności, jak i wszelkich innych, opierających się na założeniu, że Polska jest krajem, w którym ochrona różnych praw, w tym praw zwierząt, miałaby stać na niższym poziomie niż w krajach Europy Zachodniej”.

LEWICA NA JĘZYKU

Nawet w tej krótkiej wypowiedzi zwraca uwagę, że wicerecznik z niepojętych powodów uznaje, iż normy ochrony zwierząt, wprowadzone na Zachodzie z przyczyn przeciwieństw ideologicznych, są jakimś wzorem do naśladowania, podczas gdy w przypadku innych norm światopoglądowych tam właśnie obowiązujących sam prezes PiS grzmi, że nie mamy powodu ich przyjmować. Zagadką jest, dlaczego w oczach kierownictwa rządzącej partii złe są zachodnie rozwiązania, dotyczące



Komu futra niewygodne

ograniczeń wolności słowa czy uprawnień homoseksualistów, ale już te dotyczące „praw” zwierząt są znakomite i godne naśladowania. Wszak ideologiczny korzeń jednych i drugich jest tożsamy.

Inna ciekawa kwestia to samo sformułowanie „prawa zwierząt”, używane bez zająknięcia nie tylko przez Fogla, lecz także wielu innych polityków PiS, o wspomnianych dziennikarzach nie mówiąc. Z punktu widzenia chrześcijańskiej antropologii – a do tej, jak rozumiem, odwołują się politycy Prawa i Sprawiedliwości – zwierzę, nie mając samoświadomości pozwalającej podejmować decyzje świadomie dobre lub złe, nie może też mieć praw. Te przysługują tylko człowiekowi. Objęcie zwierząt pojęciem „praw” na zasadzie analogii do praw człowieka to operacja lewicy na języku i pojęciach, w dużej mierze niestety skutecznie przeprowadzona w ciągu ostatnich 30–40 lat. Zadziwiające jest jednak, że bezrefleksyjnie powtarzają to pojęcie rzekomi konserwatyści. Co oczywiście nie

znaczy, że zwierzęta można dręczyć czy prześladować. Aby temu zapobiegać, nie jest jednak potrzebne uznanie, że mają one swoje „prawa”. Nie jest też ich dręceniem ani prześladowaniem wykorzystywanie ich tak, jak zawsze się to działa. To dotyczy również produkcji futer.

Tu często pojawia się argument, że futra naturalne nie są niezbędne, otóż pomijając fakt, że futro w pewnych szczególnych okolicznościach i klimatach jednak jest niezbędne, a produkcja futer sztucznych jest bardzo uciążliwa dla środowiska (co jakoś ekologów nie martwi) – argument o zbędności jest niezwykle niebezpieczny. Kto bowiem ma decydować o tym, czy coś jest zbędne czy nie? Na futra są klienci – i nie ma znaczenia, czy są to klienci w Polsce czy poza nią. Tak samo jak są klienci na przykład na luksusowe sportowe samochody – a przecież i tu ekolewica mogłaby argumentować, że należy zaprzestać ich produkcji, bo są „zbędne”. W ogóle katalog produktów „zbędnych”, a uciążliwych dla



Na protestach przeciwko przemysłowi futrzarskiemu używane są zabiegi psychologiczne, jak np. pokazywanie działających na emocje zdjęć ze zwierzętami. **FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER**

środowiska, może być rozszerzany bardzo mocno. I znów – klimatystyczne szaleństwo daje do tego świetny pretekst.

DOBRY BIZNES

Wartość eksportu polskiego przemysłu futrzarskiego to dzisiaj dwukrotnie mniej niż jeszcze cztery lata temu – trochę ponad 800 mln zł, ale to wciąż dużo. Inna sprawa, że niewiele w porównaniu z duńską produkcją, której wartość eksportowa to ok. 0,5 mld euro. Dlatego między bajki można włożyć opowieści o tym, że hodowla na futra miałaby u siebie zakazać także Duńczycy – to w Danii trzecia najbardziej dochodowa z punktu widzenia eksportu gałąź rolnictwa hodowlanego.

Gdyby hodowla zwierząt na futra przestała się opłacać, zniknęłyby w naturalny sposób hodowle i w Polsce, i w Danii, i na Ukrainie – gdzie można jedynie pomarzyć o tak wyśrubowanych normach, jak te obowiązujące w Polsce. Jeśli natomiast nie z powodu braku popytu, ale regulacji ustawowej zamknięty zostanie jedynie przemysł w Polsce, przejmą go inne kraje – w tym Ukraina. Stąd zasadne staje się pytanie, w czym interesie działają organizacje i osoby, lobbujące za zamknięciem polskich hodowli.

Pytanie *qui prodest* wskazuje również na Niemcy, tam bowiem mają siedziby największe firmy, zajmujące się utylizacją odpadów z innych działów hodowli. Dziś te odpady polscy hodowcy mogą sprzedawać hodowcom zwierząt futerkowych, bo z nich produkuje się karmę dla norek. Jeśli ferm zabraknie, hodowcy innych zwierząt

nie tylko nie będą mogli odpadów sprzedać, lecz także – przeciwnie – będą musieli płacić za ich utylizację. Zarobią niemieckie firmy. Dlatego zamknięcie tej gałęzi rolnictwa w Polsce oznaczałoby fatalne skutki dla opłacalności również innych dziedzin hodowli.

W tle sprawy są nie tylko pytania o to, w czym interesie działają zwolennicy zamknięcia hodowli futrzarskich, ale jest także pytanie o skutki polityczne. Wiele wskazuje na to, że upodobanie PiS do lewicowej retoryki w kwestiach ekologicznych i zwierzęcych ma wiele wspólnego z poglądami Naczelnika. Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla dziennika „Życie” (już nieistniejącego) w 1996 r. mówił tak:

„A co pan myśli o oblewaniu farbą prawdziwych futer z lisów czy norek?”

Jak najlepiej. Moja bratanica uczestniczy regularnie we wszelkich tego typu manifestacjach antyfutrarskich.

Sam pan też by się przyłączył czy to już forma zbyt drastyczna?

To nie chodzi o drastyczność, ale o to, że moja bratanica ma lat 16, a ja trochę więcej. Ale samo takie działanie jest jak najbardziej pożądane.”

Tak, dobrze państwo widzą: prezes PiS popierał w 1996 r. niszczenie cudzej własności w imię prozwierzęcej ideologii. Nie wiadomo, czy dziś powtórzyłby te słowa, ale wiadomo, że dwa lata temu wystąpił w internetowym spocie jednej z najbardziej fanatycznych, lewicowych prozwierzęcych organizacji – Vivy, wygłaszając pogląd, że zakaz hodowli zwierząt na futra to „europeizacja Polski”.

Vivie Polska powodzi się całkiem nieźle. W sprawozdaniu za 2017 r. zadeklarowała ogólne przychody na poziomie 10,5 mln zł, z czego blisko pół miliona z działalności gospodarczej oraz prawie 2,5 mln zł z jednego procenta. Propaganda z działającymi na emocje futrzaczkami, spoglądającymi ze zdjęć smutnym wzrokiem, jak widać działa. A przecież to banalny wręcz zabieg psychologiczny. W tymże 2017 r. koszty administracyjne Vivy wyniosły aż milion złotych – czyli blisko połowa tego, co zebrano z jednego procenta, poszła na utrzymanie samej organizacji. Walka o „prawo” zwierząt – podobnie jak walka o klimat – jest po prostu dobrym biznesem.

Jednak nie tylko o poglądy Jarosława Kaczyńskiego tu idzie, ale i o to, kogo można zyskać, a kogo stracić wśród wyborców. PSL, które w 2015 r. ledwo

prześliznęło się nad progiem wyborczym, w tym roku wyraźnie zwiększyło poparcie – z 5,13 proc. do 8,55 proc. Wprawdzie część z tego przypadła na większe ośrodki, ale walka o poparcie na wsi wciąż trwa. Jeśli PiS będzie ulegał pomysłom ekologów – a przecież w grze jest nie tylko zakaz hodowli zwierząt futerkowych, lecz też niosąca z sobą nawet poważniejsze skutki „ustawa odorowa” (określająca minimalną odległość budowy obiektów inwentarskich m.in. od zabudowy mieszkaniowej), która może zakończyć wielu polskich hodowców, zamykając im możliwość inwestowania – PSL będzie mieć otwartą drogę do odzyskiwania pola na wsi. Również dlatego, że rządząca partia na każdym kroku podkreśla swoją niechęć do dużych gospodarstw rolnych i przemysłowej produkcji, tymczasem tego typu gospodarstwa to domena młodych, planujących i działających z rozmachem rolników. Były już minister rolnictwa Krzysztof Jurgiel na początku poprzedniej kadencji nazywał ich nawet obszarnikami, sięgając po terminologię z głębokiej komuny.

POLITYCZNE ZYSKI I STRATY

Można sobie wyobrazić, że taktyczny sojusz przeciwko adoptującemu lewicową strategię PiS zawiązują w tych sprawach PSL i Konfederacja. Wprawdzie wybory parlamentarne już za nami, ale przed nami prezydenckie, a w nich z pewnością wystartuje Władysław Kosiniak-Kamysz. PiS może sądzić, że idąc w głównym nurcie ekowariatwa, netto więcej poparcia zyska, niż straci, bo siła ekopropagandy jest potężna. Z drugiej jednak strony ci, którzy są gotowi zabijać za skrzywdzenie pieska czy norki, na ogół nie są i nigdy nie będą wyborcami PiS.

Anegdotyczne dowody (szczegółowych sondaży w tej sprawie z podziałem na elektoraty nie ma) – przeglądanie profili takich osób w mediach społecznościowych – wskazują, że to w większości osoby o wyraźnie lewicowych poglądach, a zatem wyborcy Lewicy czy PO, którzy na partię rządzącą swoich głosów nie przetrzucają, nawet gdyby ta zakazała hodowli nie tylko zwierząt futerkowych, lecz także uchwaliła ustawę kazającą trzymać kury na atlasowych poduszkach i puszczać im na zmianę Bacha, Mozarta i Beethovena. Większość zajądła prozwierzęcego elektoratu na swoich profilach deklaruje zarazem niechęć do Kościoła czy brak sprzeciwu wobec aborcji. PiS naprawdę chce się o nich starać? © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Szpieg in pectore



Wojciech Wybranowski

ABW zatrzymała mężczyznę, który chciał rosyjskim służbom dostarczać informacje o wojsku i szeroko pojętej zbrojeniówce. Według informacji „Do Rzeczy” ulokowano go w instytucji współpracującej z MON

Do zatrzymania Piotra Ś. doszło 24 października, jednak informacje o tym zostały przekazane opinii publicznej dopiero w ubiegłym tygodniu. Mężczyzna został już tymczasowo aresztowany na trzy miesiące. – Zatrzymany jest podejrzany o zgłoszenie gotowości działania na rzecz obcego wywiadu przeciwko Rze-

czypospolitej Polskiej, tj. o czyn z art. 130 § 3 kk – mówi tygodnikowi „Do Rzeczy” Stanisław Żaryn, rzecznik prasowy ministra koordynatora służb specjalnych.

Chodzi o pobieranie i gromadzenie, także za pomocą systemu informatycznego, danych mogących zaszkodzić bezpieczeństwu Rzeczypospolitej, by przekazać je obcemu wywiadowi. Grozi za to kara pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do ośmiu lat.

Jak poinformował Żaryn, w trakcie przeszukania mieszkania mężczyzny oraz miejsca jego pracy funkcjonariusze ABW znaleźli także broń palną, na której posiadanie Piotr Ś. nie posiadał zezwolenia, dokumenty i nośniki cyfrowe. Według informacji „Do Rzeczy” wstępna analiza ma wskazywać, że są wśród nich dokumenty, do których mężczyzna nie powinien mieć dostępu.

Przedstawiciele prokuratury i ABW niechętnie udzielają informacji o zatrzymaniu podejrzanego. Wiadomo tylko, że Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego

rozpracowywała Piotra Ś. co najmniej od wiosny tego roku. – Wszystkie sprawy kontrwywiadowcze są bardzo delikatne i długotrwałe. To nie jest tak, że pracuje się rachciach, były rozpoznawane poszczególne informacje. Była to żmudna, wielomiesięczna praca służb potwierdzona przez prokuraturę postawieniem zarzutu – ucina minister Maciej Wąsik, sekretarz Kolegium ds. Służb Specjalnych.

W mediach dało się słyszeć głosy ekspertów i komentatorów sugerujących, że zatrzymanie szpiega było błędem, bo takie działanie prowadzone jest w ostateczności. Część z nich przekonywała, że szpiega należało „odwrócić”, ewentualnie wykorzystać w roli nieświadomego słupa przekazującego spreparowane informacje. Nasze źródła mówią, że w tym przypadku „odwrócenie” Piotra Ś. nie wchodziło w grę.

NIEDOSZŁY „SZPION”

– Przypadek zatrzymanego jest dość kuriozalny dlatego, że nie nawiązał on kontaktu z żadną z obcych służb. Stąd nie



FOT. JACEK WĄSZCZAK/REPORTER

ABW pod nadzorem Mazowieckiego Wydziału Zamiejscowego Departamentu ds. Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej. Pewne jest, że nie był pracownikiem MON, ale miał dostęp do części informacji o wojsku i tzw. zbrojeniówce. W mediach pojawiły się natomiast informacje, jakoby Piotr Ś. był funkcjonariuszem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. To nieprawda. Z kolei portal TVP Info poinformował, jakoby mężczyzna był pracownikiem Agencji Mienia Wojskowego. Tej informacji zaprzeczyła jednak Małgorzata Weber, rzeczniczka AMW, w komunikacie przesłanym portalowi TVP Info.

– Był pracownikiem jednej z instytucji współpracujących na co dzień z siłami zbrojnymi i resortem obrony narodowej. Czy był pracownikiem tzw. zbrojeniówki? Można powiedzieć, że tak, ale w szerokim rozumieniu tego słowa – mówi nasze źródło.

Zatrzymanie Piotra Ś., podejrzanego o chęć współpracy z rosyjskim wywiadem, wzbudziło umiarkowane zainteresowanie mediów w Federacji Rosyjskiej. O sprawie informował m.in. kremlowski portal propagandowy Sputnik. Rosyjska Tsargrad TV kpiąco ironizowała, że Polakom udało się w końcu znaleźć swojego Rusłana Boszyrowa [naprawdę Anatolija Czepiga, podejrzanego o próbę otrucia Siergieja Skripala – przyp. red.]. Z kolei portal Kommersant.ru przypominał, że również czeskie służby specjalne niedawno ogłosiły ujawnienie rosyjskiej sieci wywiadowczej. W tym kontekście rosyjskie media przypominały też, że latem tego roku obywatel Polski Marian Radzajewski został skazany na 14 lat kolonii karnej za szpiegostwo. Miał, jak twierdzą Rosjanie, próbować pozyskać części do systemów rakietowych S-300.

ŁOWY NA SZPIEGÓW

Piotra Ś. dzisiaj trudno nazywać szpiegiem sensu stricto – był najprawdopodobniej gotów dopuścić się zdrady kraju, jednak nie zdążył tego zrobić.

Znacznie poważniejsze zagrożenie dla bezpieczeństwa – szczególnie energetycznego Polski – stanowił Marek W., pracownik Ministerstwa Energii, zatrzymany w 2018 r. pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Federacji Rosyjskiej. Jak informował wówczas tygodnik „Do Rzeczy”, Marek W. nie tylko przekazywał oficerom rosyjskiego wywiadu informacje o polskich projektach dotyczących m.in. dywersyfikacji

dostaw gazu, lecz także przygotowywał profile osobowe pracowników resortu energii i osób zajmujących się bezpieczeństwem energetycznym. W tym celu organizował spotkania, a także założył w mediach społecznościowych specjalne forum dyskusyjne, na które zaprosił ludzi z branży energetycznej. Zyskując ich zaufanie, zdobywał dostęp do prywatnych informacji, które publikowali o sobie na Facebooku, o np. ich sytuacji rodzinnej, finansowej i zawodowej, a następnie przekazywał je Rosjanom. Marek W. został w lipcu tego roku skazany przez Sąd Okręgowy w Warszawie na trzy lata więzienia za działalność szpiegowską na rzecz rosyjskiego wywiadu wojskowego GRU.

Z kolei w styczniu tego roku ABW zatrzymała Polaka – Piotra D., byłego pracownika Agencji, i Chińczyka – Wejinga W., byłego konsula ChRL w Gdańsku, w momencie aresztowania pracującego w jednym z dużych koncernów elektronicznych – byli podejrzani o szpiegostwo na rzecz Chin. Zostali tymczasowo aresztowani.

Wcześniej, w grudniu 2016 r., Służba Kontrwywiadu Wojskowego zatrzymała Piotra C., byłego pilota 36. Specjalnego Pułku Lotnictwa Transportowego poszukiwanego za szpiegostwo na rzecz Rosji.

Natomiast jesienią 2014 r., funkcjonariusze służb zatrzymali prawnika Stanisława Sz., stałego bywalcę posiedzeń sejmowych komisji, eksperta ds. energetyki, podejrzanego o współpracę z rosyjskim wywiadem. W grudniu 2017 r. został on skazany na karę siedmiu lat więzienia. Zdaniem sądu Stanisław Sz. przekazywał Rosjanom istotne dane o polskim bezpieczeństwie energetycznym.

W 2015 r. na wniosek ABW wydaloną z Polski rosyjskiego dziennikarza Leonida Swiridowa, korespondenta agencji MAI Rossija. Według nieoficjalnych informacji Agencja zebrała materiały wskazujące na współpracę Swiridowa z rosyjskimi służbami. Kilkanaście lat wcześniej w podobnych okolicznościach został wydany z Czech.

Rok później na wniosek Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego z Polski wydany został Dmitrij K., naukowiec Rosyjskiego Instytutu Studiów Strategicznych (RISS) w Moskwie, który według nieoficjalnych informacji miał brać udział w wojnie informacyjnej przeciw Polsce.

do końca można nazwać go szpiegiem. Natomiast był bardzo zainteresowany taką współpracą – opowiada nasz informator z kręgów śledztwa. Dodaje, że mężczyzna z racji zatrudnienia miał dostęp do informacji, które mogłyby być interesujące dla obcych wywiadów – w części dotyczące m.in. przetargów w wojsku. Prawdopodobnie część z nich skopiował (nośniki danych, które zabezpieczono w jego mieszkaniu, będą teraz poddawane analizie) i zaczął szukać drogi do ludzi związanych z rosyjskimi służbami. I to go zgubiło, wpadli na jego ślad ludzie z polskiego kontrwywiadu. – Nie doszło do przekazania przez niego żadnych danych Rosjanom. Natomiast niestety był on potencjalnym zagrożeniem z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa. Dlaczego? Ponieważ był pracownikiem szeroko pojętego resortu obrony i miał dostęp do różnych informacji – twierdzi nasz rozmówca.

Gdzie pracował Piotr Ś.? To dziś tajemnica postępowania prowadzonego przez

Tuż przed zimą ludzie sprzątają przydomowe ogrody. Pełne worki liści i gałęzi czekają na firmy zabierające śmieci. Co roku ogródki zostają „łyse”. Jednak w tym roku pełne są nowych sterczących kikutów, z których nic już nie odróżni. Czasem tkwią jeszcze całe żywopłoty szarych listków. Ich właściciele postanowili z nadzieją czekać wiosny. To bukszpany. Na Mazowszu (a także w innych regionach kraju) zaczęły nagle niknąć w oczach – a dokładniej w układzie pokarmowym ćmy zawleczonej do nas z Azji.

SKRZYDLATA KATASTROFA

Trudno było tegoroczną katastrofę zauważyć. Ci, którzy w ogródkach cieszyli się swoimi bukszpanami, wieczorami siedząc przed domem, mogli zauważyć zbliżające się do światła ćmy. Bardzo ładne motyle. Białe, z szeroką ciemną obwódką wokół końców skrzydeł. Ich morderczą postać – zielono-czarną gąsienicę – dostrzegano dopiero, gdy bukszpanowy żywopłot zaczynał przypominać szarą masę gałązek ze skręconymi liśćmi, pokrytą nitkami podobnymi do pajęczych sieci. Jednak wtedy było już często za późno na ratunek. W krzakach kłębiły się setki gąsienic. To one, po czterech tygodniach pałaszowania liści, rozwijały się w skrzydlatą formę.

Ćma bukszpanowa (*Cydalima perspectalis*) w ekspresowym tempie zjadała bukszpany w wielu miejscach Polski. Prawdziwe spustoszenie uczyniła w województwie mazowieckim. Jednak pałaszowała

też rośliny np. w powiecie krakowskim. Ludziom nie udało się uratować bukszpanów w Krzeszowicach, Zabierzowie, Rudawie, Oświęcimiu czy Trzebini.

To motyl uznany za gatunek inwazyjny w Polsce. Naturalnie występuje w subtropikalnych obszarach wschodniej Azji – w Indiach, Chinach, Korei, Japonii aż do dalekiego wschodu Rosji. W południo-

wo-zachodniej Europie po raz pierwszy znaleziono go 12 lat temu w Niemczech. W dekadę dotarł do większości krajów Europy Zachodniej i Południowej. Od południa leciał do nas, zajmując Węgry, Czechy, Słowację. W 2012 r. po raz pierwszy zaobserwowano ćmę na Dolnym Śląsku. Trzy lata później była już w województwach małopolskim i opolskim.

Obcy atakują



Łukasz Zboralski

Bukszpany znikają z ogródków i parków. Pożera je szkodnik z Azji. Grono inwazyjnych gatunków obcych znów się powiększyło. A i tak jest spore



FOT. ADRIAN STOK

Naukowcy twierdzą, że choć dobre lata, tak szybko sama Europa nie podbiła. Przewożono ją na sadzonkach. „Opłano-
wanie przez *C. perspectalis* tak rozległego obszaru w okresie zaledwie kilku lat było wynikiem przede wszystkim zawlekania stadiów preimaginalnych [jaja, gąsienice i poczwarki – przyp. red.]. Prawdopodobnie w ten sam sposób gatunek dotarł także do Polski” – twierdzą Tomasz Blaik, Grzegorz Hebda, Janusz Maślowski („*Cydalima perspectalis* (Walker, 1859) – inwazyjny gatunek motyla w faunie Polski (*Lepidoptera: Crambidae*)”, „Przyroda Sudetów”, 2016). I zakładają, że w dalszym rozprzestrzenianiu się pomogą motylowi już jego własne możliwości.

Co nas czeka na wiosnę? Walka w każdym przydomowym ogrodzie. Ćma bukszpanowa nie ma w Polsce naturalnych wrogów. I zapewne zostanie tu na długo, tak jak inne niebezpieczne dla naszej fauny i flory gatunki przywleczone z zagranicy.

BIEDRONKI I BABKA

Publikowana przez Generalną Dyрекcyję Ochrony Środowiska lista obcych gatunków zwierząt i roślin w Polsce jest bardzo długa. Ta europejska – jeszcze dłuższa. Część z tych zwierząt i roślin jest poważnym zagrożeniem, bo wypiera rodzimą faunę i florę.

Wśród wszystkich zwierząt, które wyginęły od XVII w. i których przyczyną wyginęcia jest znana, aż 40 proc. stanowiły te, do których zniknięcia przyczyniły się obce gatunki inwazyjne. Szacuje się, że koszty spowodowane przez inwazyjne gatunki obce roślin i zwierząt w Unii Europejskiej sięgają co najmniej 12 mld euro rocznie.

W całej Europie próbuje się walczyć z takimi gatunkami, ale to bardzo trudne. Jednym z dobrze widocznych i kłopotliwych intruzów w Polsce jest biedronka azjatycka. Wygląda inaczej niż nasze rodzime siedmiokropki (*Coccinella septempunctata*). Ta z Azji może nie mieć kropek w ogóle albo mieć ich nawet ponad 20. Może być żółta, pomarańczowa, czerwona lub czarna. Je to samo co nasza rodzima – mszyce. Jednak nie pogardzi też jajami i larwami innych biedronek. A przez to, że rozmnaża się dość szybko, zaczyna wypierać europejską siedmiokropkę. Czy to źle? O tym przekonać może się każdy, kogo taka biedronka ugryzie. Bo w przeciwieństwie do naszego gatunku azjatyckie owady gryzą. Ich ugryzienia, a także wydzielana substancja, mogą wywołać poważne reakcje u alergików. Właśnie te-

raz owad szuka miejsc na przezimowanie, może więc wykorzystywać każdą ze szpar, by wpełznąć się do naszych mieszkań i domów.

W Morzu Bałtyckim od dekad polskie gatunki ryb wypiera m.in. babka śniadogłowa. Prawdopodobnie dostała się do nas przez wody balastowe wypuszczone przez statki. Zakłada się, że w Bałtyku znalazła się przed 1987 r. w okolicach Gdyni. W latach 90. można było już mówić o inwazji. Jest świetnie przygotowana do przetrwania – znakomicie toleruje zmienne zasolenie, dobrze sobie radzi z małą ilością tlenu, dużo rzeczy może służyć jej jako pokarm. Pomogło jej też niewątpliwie przełowienie naszych wód z drapieżników, dla których mogła stanowić pokarm – szczupaków, węgorzy i okoni. Niszczenie szuwarów i zabudowa brzegów tylko wspierają ją w ekspansji, a zadowolone mogą być jedynie kormorany czy czaple, które ryb do zjedzenia mają w bród. Ludzie też mogliby zjadać babkę i dzięki połowom ograniczać jej wpływ, ale wciąż jakoś się w tym gatunku nie rozsmakowaliśmy.

SZKODNICY W LESIE

Do niektórych zwierząt „z importu” zdążyliśmy już tak przywyknąć, że traktujemy je jak nasze, choć są tylko zadomowione. Nikogo nie zaskakują np. daniela, które występowały naturalnie w obszarze śródlądowym, a w Polsce introdukowano je w XIII w. Dużo później, bo w latach 50. ubiegłego wieku, w polskich lasach pojawił się azjatycki jenot. Zwierzę z Dalekiego Wschodu sprowadzono do Związku Sowieckiego, skąd przeniknęło do Puszczy Białowieskiej.

Jeszcze inaczej trafiła do nas norka amerykańska. Dzisiaj rozpowszechniona w przyrodzie rozpoczęła ekspansję po tym, jak zwierzęta uciekały z hodowli futerkowych. Nie ma u nas naturalnych wrogów. Za to sama niebezpieczna jest dla ptaków, ryb, a nawet zająców.

A wciąż pojawiają się nowe zagrożenia. To m.in. zwierzęta porzucane przez amatorskich hodowców.

– W naszych zbiornikach wodnych, nie tylko w lasach, od lat 90. obserwujemy różne gatunki inwazyjnych żółwi – mówi Małgorzata Czyżewska z Wydziału Ochrony Zasobów Przyrodniczych Generalnej Dyrekcji Lasów Państwowych. – To m.in. żółwie ozdobne, czerwonołice, żółtołice, żółto brzuche. Można je spotkać w Wiśle i innych rzekach. Możliwa jest obserwacja w zbiornikach w Warszawie. Również

można je obserwować w jeziorach. Zwłaszcza tam, gdzie blisko są działki rekreacyjne i tereny turystycznie popularne. Są one zagrożeniem dla żółwia błotnego – opowiada.

Wśród inwazyjnych gatunków obcych wymienia się też bizona, który jest zwierzęciem hodowanym. Może on krzyżować się z żubrem, którego przywróciliśmy na naszych ziemiach 90 lat temu i którego otaczamy szczególną troską. Oprócz zakłócenia czystości gatunkowej bizon mógłby też być źródłem chorób dla żubra.

Ćma bukszpanowa w dekadę skolonizowała Europę Środkową. A w polskich rzekach i jeziorach częste są już żółwie ozdobne

– Jeśli chodzi o gatunki leśne, to oświadczenie bardzo bym nie chciała, żeby pojawiały się u nas wiewiórka szara – mówi Czyżewska. – Ona naturalnie występuje w USA, a została introdukowana na Wyspach Brytyjskich i we Włoszech. Szybko się rozmnaża, zasiedlając tereny leśne i miejskie. Stanowi konkurencję gatunkową dla naszej rudej wiewiórki, a przecież każdy je lubi, prawda? – podkreśla. Wiewiórka szara mogłaby nie tylko wypierać rudą, lecz także przenosić zagrażające jej patogeny. – W Wielkiej Brytanii niszczy korę drzew, powodując ich obumieranie – dodaje Małgorzata Czyżewska. – Bywa ona niestety zwierzęciem hodowanym w domach i gdyby, nie daj Boże, ktoś ją w Polsce uwolnił, może zacząć ekspansję.

Usuwanie inwazyjnych gatunków obcych nie jest proste. Myśliwi mogą np. bez ograniczeń polować na norki amerykańskie, ale rzadko są tym zainteresowani. – Prowadzi się za to specjalne projekty eliminacji – opisuje Czyżewska. – Był taki duży projekt prowadzony przy Parku Narodowym Ujście Warty. Eliminowano norki, bo mają negatywny wpływ na gatunki lęgowe ptaków wodno-błotnych. Eliminuje się je też w ostojach cietrzewia i głuszcza.

W ochronie polskiej przyrody może pomóc każdy – odpowiedzialnie (dla części potrzebne są zezwolenia) hodując obce gatunki i nie wypuszczając ich na wolność. Warto też zgłaszać przyrodnikom i leśnikom zaobserwowane obce dla naszego ekosystemu zwierzęta.



Marcin Makowski

Dwa nowe seriele przemycają problemy związane z imigrantami. Jeden wskazuje na nie, ale podszyty jest fałszem. Drugi to toporna propaganda

Fantastyka politycznie poprawna

Tak jak wiek XX był w kulturze masowej epoką filmu, tak obecne stulecie, a przynajmniej jego początek, ma innego hegemon – seriele. Ulegając wszechobecnemu trendowi, nawet kinowe superprodukcje z domkniętych historii zamieniły się płynnie w wieloodcinkowe sagi o superbohaterach. Siłą rzeczy, wraz z przejściem pozycji lidera w gospodarowaniu zbiorową wyobraźnią, seriele odziedziczyły również moralizatorską oraz społeczną rolę zarezerwowaną do tej pory dla srebrnego ekranu. Zaczęły tłumaczyć, kreować i aktywnie komentować rzeczywistość, nie stroniąc przy tym od polityki. Na tym tle – pozytywnie

i negatywnie – wybijają się dwie premie-ry HBO: „Przybysze” oraz „Strażnicy”.

„OSOBY POCHODZENIA PRANORDYCKIEGO”

Warta uwagi jest szczególnie pierwsza norweska produkcja amerykańskiego koncernu medialnego, autorstwa Anne Bjørnstad i Eilifa Skodvina. „Przybysze” (bardzo udana gra słów w angielskim tytule: „Beforeigners”) to z pozoru klasyczny skandynawski kryminał o morderstwie, damsko-męskiej parze niedobrych charakterem policjantów i próbie rozwiązania „wielkiej intrygi” z jednym, stawiającym fabułę na głowie zwrotem akcji. Otóż pewnego dnia w wodach zatoki wpływającej

do Oslo pojawiają się tajemnicze rozbłądki światła. Chwilę później w tych samych miejscach wynurzają się zdeorientowani ludzie, którzy okazują się... Norwegami z trzech różnych okresów historycznych. Dzikimi i brutalnymi ludźmi z epoki kamienia, dumnymi i walecznymi wikingami oraz tradycjonalistycznymi i momentami zblazowanymi mieszkańcami z XIX stulecia.

W tym momencie fabuła pilotażowego odcinka przenosi widzów kilka lat do przodu, gdy borykający się z depresją, narkotykami i rozpadem rodziny detektyw Lars Haaland otrzymuje od szefostwa zadanie zaopiekowania się pierwszą „przysposobioną” do życia w teraźniejszości „wikinż-



Przykładów, że mówimy o serialu z kluczem, jest aż nadto. Zaczynając od tego, że podróżnicy z czasów minionych pojawiają się i często topią w wodzie – niczym imigranci w Morzu Śródziemnym, przez szok kulturowy współczesnych względem wikingów akceptujących stosunki seksualne z nieletnimi do braku asymilacji, brudu na ulicach i wzrostu przestępczości. Czy mogło jednak być inaczej, gdy do w miarę poukładanego i tolerancyjnego społeczeństwa nagle i niezrozumiale – tak samo jak w przypadku wybuchu masowej fali migracyjnej w 2015 i 2016 r. – „wprowadzają się” osoby, które niejednokrotnie kwestionują zastany porządek? W pierwszym odruchu serialowi Norwedzy robią niemal to samo co inni zachodni Europejczycy, „otwierając drzwi”, organizując obozy przejściowe, zapewniając podstawową opiekę zdrowotną, ubrania i społeczną introdukcję do teraźniejszości. „Dzisiaj w Norwegii żyjemy w zgodzie, każdy może kochać każdego” – mówi narrator filmu pokazującego wikingom, którzy krzywią się i otwierają szeroko oczy, widząc dwóch całujących się mężczyzn. Po prostu nie dorośli do zdobyczy cywilizacyjnych następnego millennium.

„NIE ZATRUDNIAMY ZABÓJCÓW ŚWIĘTYCH”

Przyznam szczerze, że z całego wątku fabularnego fragmenty poprawnościowo-polityczne w „Przybyszach” są zdecydowanie najciekawsze. O ile sprawa morderstwa gmatwa się niemiłosiernie, odkrywając wielopiętrowe machinacje oraz odsłaniając przyczyny zagadkowych przeskoków w czasie, o tyle obserwowanie, jak mogliby sobie poradzić dzisiaj ludzie, dla których elektryczność stanowi czarną magię, i jak my moglibyśmy sobie poradzić z nimi – intryguje. Śmieszno-straszne są zwłaszcza te sceny, które aż za nadto przypominają obecne problemy. Rząd staje na głowie, aby nikogo nie urazić, zabraniając używania „słowa na w”. Wikingów tytułuje się zatem mianem „osób pochodzenia pranordyckiego”. Promuje się integrację poprzez wchodzenie w relacje „multitemporalne”, w wyniku których żona głównego bohatera odchodzi z córką do XIX-wiecznego poety i dżentelmena. Innym razem widzimy rozpuszczoną i żyjącą w luksusie vlogerkę, która wdaje się w związek z nieokrzesanym i polującym nago na zwierzęta jaskiniowcem. Poruszenie wśród gości w ich luksusowej willi gwarantowane.

ką” – Alfhildr Enginnssdottir. Ich zadaniem będzie pokazanie, że władze państwa nie bagatelizują losu niespodziewanych „multitemporalnych” imigrantów, i właśnie jedna z nich u boku doświadczonego funkcjonariusza – przy świetle kamer – zajmie się rozwikłaniem motywów morderstwa kobiety z tajemniczymi ranami, przybyłej z wczesnego średniowiecza.

Jeśli już w tym pierwszym, pobieżnym opisie fabuły wyczuli państwo mało subtelne analogie ze współczesnymi problemami trapiącymi Skandynawię, trafili państwo w sedno. Reżyserzy serialu nawet nie ukrywają, że za pomocą satyry (bo „Przybysze” mają wątki humorystyczne) i przeniesienia narracji w rejony science

fiction de facto opowiadają o kryzysie tożsamości Norwegii i samych Norwegów, skonfrontowanych z masowym napływem pochodzących z odmiennych kultur i kręgów religijnych „obcych”. Dyskusje pod stroną dotyczącą serialu na popularnym forum Filmweb pełne są zresztą komentarzy w podobnym duchu. „Widzę dużo analogii do uchodźców z Afryki (i pewnie nie tylko) w serialowych przybyszach. Co myślicie o tej teorii? Czy nie jest to artystyczny, wykonany w białych rękawiczkach względem poprawności politycznej wyraz tego, co się obecnie dzieje w Norwegii? Chaos, niezrozumienie się dwóch stron, podejmowane próby odnalezienia się w nowej sytuacji...” – zapytała jedna z internautek.

FOT. MATERIAŁ PRASOWE

Pomimo pewnej dozy afirmacji, do której jeszcze przejdę, w „Przybyszach” jest też element demaskowania hipokryzji, która wylewa się z podobnych sytuacji. W końcu Alfhildr nie jest wybijającą się policjantką, która ciężką pracą dosłużyła się awansu na stanowisko detektywa, ale po prostu maskotką lokalnego komendanta, która ma udowodnić wścibskim mediom, że ludzie z różnych epok mogą pokojowo współistnieć.

Natury nie da się jednak oszukać, nawyków nie można tak szybko zmienić. Stąd nieustanne konflikty między pracownikami, docinki w stylu wyśmiewania używania mchu zamiast podpasek z jednej strony oraz braku wojowniczości współczesnych kobiet i zniewieścienia mężczyzn, którzy zamiast ginąć z mieczami w rękę, boją się „jakiegoś glutenu”. W Oslo funkcjonują również programy zatrudniania osób „z przeszłością temporalną”, ale gdy okazuje się, że jeden z pracowników rozwołujących jedzenie na rowerze to słynny Tore Hund – pogromca chrześcijańskiego króla Olafa II Haraldssona – na odchodne wraz ze zwolnieniem słyszy od pracodawcy następujące słowa: „Przykro mi, ale zatrudnianie zabójcy świętych kłóci się z polityką naszej firmy”.

„NORWEGIA DLA WSPÓŁCZESNYCH!”

Trudno się dziwić, że w podobnym świecie nie wszystko wygląda jak w bajce. Pomimo tego, że część nowinek technologicznych udało się przyswoić, wikingowie umawiają się na miód w bawolich rogach w „transtemporalnych barach”, a przygodnego seksu szukają przez Tindera, w większości przypadków nie chcą się zmieniać. Spadkobiercy epoki industrialnej czują się lepsi od zepsutych XXI-wiecznych Norwegów, prowadzą gazety „dla swoich”, jeżdżą po mieście dorożkami i ubierają się we fraki. Wikingowie nie potrafią zrozumieć, w jaki sposób ich ojczyzna mogła pozwolić na zwycięstwo znienawidzonego „białego Chrystusa”, wypasają kozy w centrach miast, urządzając nocami sowicie opłacane pojedynki między wojownikami. Najgorzej mają jednak osoby prehistoryczne, które przesiadują całymi dniami na drzewach, chodzą w otepieniu po tętniącej życiem metropolii, w większości nie będąc w stanie dogonić uciekającej im teraźniejszości. Stąd, czego serial nie pudruje, rosnące w siłę konflikty społeczne. Na murach pojawiają się napisy w stylu:

„Wracajcie do siebie!” i „Norwegia dla współczesnych!”. Tylko co począć wtedy, gdy ktoś odpowiada: „Ja jestem u siebie. Mieszkam tu 10 tys. lat temu”?

Właśnie w tym momencie do ciekawych skądinąd „Przybyszów” wkrada się fałsz. Przecież dzisiaj Zachód nie stoi przed problemem zrozumienia różnic wewnątrz etnicznie jednolitych struktur społecznych, lecz tych, które dotyczą głębszych rozbieżności: rasy, religii, modelu rodziny, obyczajów i bycia nie tylko „z innego czasu”, ale przede wszystkim – miejsca.

Przybysze „multitemporalni” są przecież stąd. Nie mają gdzie pójść, nie mają innej ojczyzny, nikt nie pytał ich o zdanie, gdy pojawili się na brzegu Oslo, a większość z nich zapewne chętnie wróciłaby do odpowiedniej epoki. Dlatego morał pierwszego sezonu serialu, który można streścić do banału w stylu „różnice potrafią nas dzielić, ale ostatecznie ubogacają”, niespecjalnie przystaje do Norwegii Anno Domini 2019. Najbliżej jest jej być może do sytuacji ludzi „transtemporalnych”, którzy odkryli, że „urodzili się w złym czasie”, i poprzez operacje plastyczne i specjalne kursy zmieniają status swojego pochodzenia – przeistaczając się np. w „pranordyków”. Dodać można również, że topos przenikania się ras nie jest w science fiction niczym nowym, a podobne rozterki przechodzili bohaterowie serialu „Alien Nation”, w którym występowała para policjantów, ziemianin i kosmita, czy filmu „Ward”, w którym Will Smith grał policjanta u boku – również wykorzystanego w roli maskotki – funkcjonariusza ogra w uniwersum przypominającym uwspółcześnioną i obdartą z magii wersję fantasy.

„SUPERBOHATEROWIE NIE POKONAJĄ RASIZMU”

Niestety to, co „Przybysze” lepiej czy gorzej przynajmniej starają się niuansować, flagowa produkcja HBO – „Strażnicy”, przekazuje z finezją ruchów tłuczka ubijającego kotlet schabowy. Podzielona na odcinki luźna adaptacja uniwersum komiksów Alana Moore’a i Dave’a Gibbonsa jest tak zła i przepakowana propagandą, że gdyby nie zdjęcia i montaż – nie dałoby się jej oglądać. W świecie „brudnych superbohaterów”, w którym nie uświadczy się patosu i świętoszkowatości Marvela, wszystko, co stanowiło o jego sile i pokazywaniu odcieni szarości, zostało rozmiennione na drobne do momentu, w którym stało się słabo roz-

poznawalne nawet w stosunku do debiutującego w kinach dziesięć lat temu filmu. Tutaj też mamy pozornie do czynienia ze sportretowaniem społecznych problemów na tle rasowym we współczesnej Ameryce. Również mieszają się one z entourage’em s.f., ale punkt wyjścia jest tak nieprzekonywający, że cokolwiek dzieje się dalej, nie sposób w tę historię uwierzyć.

Reżyser Damon Lindelof ukazuje bowiem pozornie te same Stany Zjednoczone, które bardziej niż pojawienie się sił nadprzyrodzonych zmieniła nagła eksplozja ludzkiej nienawiści. A dokładnie – i niczego tutaj nie koloryzując – krwiożercze i rasistowskie instynkty białej klasy średniej, która bez wyraźnego powodu (to pierwsze sceny pierwszego odcinka), masowo morduje żyjącą pokojowo i prosperującą ekonomicznie czarnoskórą populację miasta Tulsa w Oklahomie. Reżyser nawiązuje do wydarzeń z 1921 r., podczas których w tym samym mieście doszło do zamieszek na tle rasowym, ale pokazuje alternatywną wersję dalszego ciągu wydarzeń. O ile – według niego – państwo nie zadośćuczyniło ofiarom masakry i niewolnictwa, o tyle w serialu, w którym prezydentem zostaje aktor Robert Redford, wprowadzony zostaje zwyczaj tzw. redfordacji.

To dożywotnie zwolnienie z podatków i przeróżne ulgi dla pokrzywdzonych i bezpośrednich potomków osób, które ucierpiały podczas tamtych wydarzeń. „Co powoduje największe napięcie we współczesnej Ameryce? Dla mnie odpowiedzią są kwestie rasowe. I niestety to, czego się obawiam i co pokazuję w »Strażnikach«, to rzeczywistość, w której nawet superbohaterowie nie potrafią pokonać rasizmu” – powiedział Lindelof w wywiadzie dla NBC News. Efektem wciskania kolanem na siłę wątków politycznych i rasowych jest jednak krytyka fanów i niskie oceny dla produkcji, którą oskarża się o „odwrócony rasizm”, w którym niemal wszyscy biali ukazani są w rolach degeneratów i przestępców, a Afroamerykanie jako ciężko pracująca, uczciwa i nadal żyjąca w strachu mniejszość. Trudno uwierzyć, że można rozmiennić na drobne tak dobrą historię. Niestety to raczej „Strażnicy”, a nie „Przybysze” stanowią dzisiaj punkt odniesienia dla rozrywki, która rości sobie pretensje do stawiania diagnoz społecznych. Gdy zamieniają się one w propagandę, stają się po prostu niestrawne. To się nigdy nie zmieni.

EKIPA
URWISÓW
powraca!



KUPUJ
PRASĘ i KSIĄŻKI
ODBIERZ MASKOTKĘ ZA 1 ZŁ

Akcja trwa do 30.11.2019 r. lub do wyczerpania zapasów.
Szczegóły akcji na: www.czytamwszedzie.pl/ekipaaurwisow.

Akcja w sklepach:

inmedio

inmedio trendy

inmedio Café

RELAY.

eprasa.pl 395cb0c17b



Na wystawie w Louvre-Lens można zobaczyć m.in. „Rycerza wśród kwiatów” Leona Wyczółkowskiego FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Polska w obrazie



Joanna Bojańczyk
z Louvre-Lens

Wielka wystawa polskiego malarstwa w Louvre-Lens w północnej Francji – oddziale paryskiego Luwru, najnowocześniejszym muzeum w Europie

O muzeum Luwr słyszał każdy. O Luwrze w Abu Zabi też było głośno, przynajmniej podczas jego otwarcia w roku 2017. Gmach projektował w końcu słynny architekt Jean Nouvel. Jednak kto słyszał o Louvre-Lens?

Ta filia paryskiego Luwru, najnowocześniejsze muzeum w Europie, znajduje się w północnej Francji, w niewielkim mieście Lens. Otwarto je 4 grudnia 2012 r. Dzień Barbórki jest nieprzypadkowy, gdyż Lens

leży w okręgu, który jeszcze pół wieku temu był francuskim centrum przemysłu górniczego. Był także największym skupiskiem Polonii we Francji. W roku 1919 podpisano polsko-francuską umowę, która umożliwiła przyjazd do pracy w kopalniach Pas-de-Calais polskim górnikom. Między rokiem 1919 a 1928 przybyło ich tu prawie 300 tys. (m.in. rodzina Edwarda Gierka, który pracował w kopalni jako ładowacz). Z okazji setnej rocznicy tego porozumienia Louvre-Lens zorganizowało wielką perspektywę polskiego malarstwa XIX w. „Pologne 1840–1918. Zobaczyć ducha narodu” tworzy 120 obrazów. Organizatorami są Muzeum Narodowe w Warszawie i Krakowie oraz Instytut Adama Mickiewicza. Wydarzenie wpisuje się również w obchody 100-lecia odzyskania niepodległości.

Kuratorzy Iwona Danielewicz i Agnieszka Rosales z Muzeum Narodowego w Warszawie, Marie Lavandier, dyrektorka L.L., i jej zastępca Luc Piralla pracowali

nad wystawą trzy lata. Francuzi przygotowali się wspaniale. Czuje się, że włożyli w to serce. Luc Piralla przyjeżdżał do Polski wiele razy – czytał „Pana Tadeusza”, Kasprowicza, słuchał Szymanowskiego. – Zastanawiam się, co teraz wisi w polskich muzeach, skoro oddaliśmy nam wszystko, co najlepsze – zażartowała na wernisażu wzruszona Marie Lavandier w niezwykle serdecznym przemówieniu.

Istotnie, wszystko to, co tu oglądamy, tworzy briefing polskiej historii, a tę trzeba Francuzom wciąż tłumaczyć. W czasach migracji i poszukiwania tożsamości narodowej przybliżanie Polski potomkom emigrantów, którzy po polsku już nie mówią, ale czują związek z ojczyzną dziadków, ma sens. Wciąż żyje ich tu wiele tysięcy – na otwarcie wystawy przyszły tłumy. Jednak chodzi też o więcej niż dwa kraje. W zaniedbanym do niedawna regionie Francji skrzyżowały się historie Polski, Francji i Europy – ten region ucierpiał najbardziej podczas I wojny światowej.

Francuzi lubią się z niego podśmiewać. Kto widział komedię „Bienvenue chez les Ch'tis” („Jeszcze dalej niż północ”), opowieść o listonoszu oddelegowanym do pracy na północy kraju, ten zrozumie, czym dla mieszkańców południa kraju był region Pas-de-Calais. Mówiąc kolokwialnie – zadupiem. Zimno, dziko i dialekt ch'ti, którego się nie rozumie i nie ma sensu się uczyć. Oczywiście, jak to w komedii, następuje happy end – okazuje się, że w krainie ch'ti jest jeszcze fajniej niż w domu.

Dzisiaj ch'ti nie ma powodów do kompleksów. Lens w 2019 r. jest spokojnym, sympatycznym miasteczkiem, któremu Luwr dodał świeżej krwi i splendoru. Jednak w latach 60., kiedy zaczęto likwidować kopalnie, nie było tu wesoło. Tysiące bezrobotnych, bieda. Szyby zamykano przez całe lata 70., ostatnie padły w latach 80. I region pogrążył się w apatii.

ODCIAŻYĆ LUWR

W roku 2002 francuskie Zgromadzenie Narodowe przyjęło ustawę decentralizacyjną. Miała doprowadzić do aktywizacji zaniedbanych regionów – planowano uruchomić w nich dotowane przez państwo i UE instytucje kultury, sportu, centra edukacyjne. Przykład Galerii Guggenheima w Bilbao i Tate w Liverpoolu wskazywał, że jest to możliwe. Delokalizacja muzeum Luwru należała do tego projektu. Ogłoszono konkurs. Wystartowało pięć miast, m.in. Amiens z sąsiedniej Pikardii oraz historyczne Arras. Wygrało Lens. Jean-Jacques Aillagon, ówczesny minister kultury, Henri Loyrette, szef paryskiego Luwru, oraz władze regionu obiecali zapewnić projektowi wsparcie finansowe. Do inicjatywy entuzjastycznie odnieśli się również mieszkańcy – pod listem poparcia podpisało się 8 tys. mieszkańców. Dla miasta otworzył się nowy rozdział.

Zainteresowana była też centrala – paryski Luwr z 600 tys. posiadanych obiektów udostępnia zwiedzającym zaledwie jedną dziesiątą. Wypożyczenia mogą być nie kłopotem, lecz ulgą w tym embarras de richesse. Jeszcze jedno: jak wszystkie wielkie muzea Europy Luwr dyszy pod naporem turystów. Niestety, w większości nie są to entuzjaści sztuki. – Jedno, co ich interesuje, to „Mona Lisa”. Znaleźć sale, przedostać się przez tłum jak najbliższej obrazu, odwrócić się do niego tyłem i strzelić selfie. Inne sale są puste – mówi Heloise Ferrand z Louvre-Lens oprowadzająca nas po galerii głównej.

Długi, przejrzysty budynek Louvre-Lens (mówią o nim – Luwr Inaczej) wtapia się w horyzont. Jego szklane szyby jakby zanikają, stapiając się z 20-hektarowym ogrodem. Powstał na miejscu dawnej kopalni. Luksus przestrzeni, na jaki mogą sobie pozwolić tylko nowo powstające obiekty, które nie muszą wciskać się w miejską zabudowę. Architekci – japońska grupa SANAA we współpracy z nowojorską pracownią Imrey Culbert – umiejętnie wykorzystali tę rozrzutność. Oddech ma także park, który zaprojektowała wybitna francuska pejzażystka Catherine Mosbach. Kompozycja krzewów, kamieni, ścieżek jest niska, trawiaste pagórki symbolicznie przypominają hałdy węgla. Nakreślone kolistymi liniami trawy ścieżki prowadzą spacerujących po wielkim terenie, nie ograniczając ani widoków, ani swobody poruszania.

Zwiedzający wchodzi do olbrzymiej jasnej przestrzeni o powierzchni prawie 3 tys. mkw. To Galeria Główna – tu jest wszystko. Oświetlenie naturalne, z góry, szkło i anodowana stal. Jasna przestrzeń, pozbawiona koloru, kolor wnoszą tylko dzieła sztuki. Nie ma sal, działów, zachowano jedynie chronologię. Ekspozycja obejmuje 5 tys. lat historii sztuki, także zdobniczej. Mezopotamia, Egipt, Cyklady, Grecja, Rzym, średniowiecze, renesans. Nie czuje się tu natłoku obiektów, który przytłacza w starych muzeach – także w paryskim Luwrze, w British Museum. Rzeźby można obejść ze wszystkich stron. Są wielkie nazwiska malarstwa – Rafael, Rembrandt, Caravaggio, Botticelli.

Co roku w Louvre-Lens następuje rotacja dzieł. Galerię opuszcza 30 obiektów i przyjmuje się tyle samo nowych. Wymiana ma miejsce 4 grudnia.

POLACY I FRANCUZI

Polska wystawa mieści się w oddzielnej części, przeznaczonej na wystawy czasowe. Francuzi, jak wskazuje tytuł, chcieli pokazać ważne momenty historyczne, mity i tragizm polskiej historii, ale także bliskie związki między naszymi krajami. Otwiera monumentalny „Rejtan” Matejki. – O Matejce i Rodakowskim pisały francuskie gazety – mówi Luc Piralla. – Henryk Rodakowski uważany był za malarza francuskiego. Zwykłe bitwy nad imperium otomańskim maluje Józef Brandt – to Polska złotego, XVII w., dumna, wielka i bogata.

Bez znajomości historii nie sposób zrozumieć symboliki Malczewskiego. Jego malarstwo to pierwsza subiektywna próba przedstawienia polskiego charakteru

narodowego, sztuka z kluczem, trudna do rozwikłania dla cudzoziemca. Opisy obok obrazów na szczęście wyjaśniają szczegółowo metafory.

Pod koniec XIX w. styl malarstwa się zmienia. Tematy romantyczne i narodowe zostają porzucone. Pojawia się pejzaż, folklor, sceny rodzajowe z życia wiejskiego, portrety. Obrazy Chełmońskiego, Witkiewicza, Ruszczyca, Fałata. Kameralna, psychologiczna sztuka portretu Boznańskiej wpisuje się w nastrój malarstwa zachodnioeuropejskiego przełomu wieków.

W ostatnich salach kuratorzy wskazują kierunki, którymi miała podążać sztuka XX w. Wyspiański i jego „Planty nocą”, grafiki Wojtkiewicza przedstawiające nieznaną Francuzom rewolucję 1905 r. Talent tego malarza odkrył André Gide – to jeden z francuskich wątków wystawy. W ostatniej sali „Rycerz” Wyczółkowskiego z Tatrami w tle, obraz symbolizujący zdolność Polaków do odradzania się. Ekspresjonistyczny obraz Krzyżanowskiego ma stworzyć zamykające wystawę wrażenie, że sztuka polska nie ogranicza się akademickiego realizmu, że w XX w. otworzy się na nowoczesność.

Powie ktoś, że ta wystawa to utrwalanie mitów narodowych. Polskiej martyrologii, bohaterstwa, krzywdy. Jednak jak inaczej to zrobić? Taką mamy historię i nic tego nie zmieni. Trzeba Polskę tłumaczyć młodym pokoleniom. Czy mamy pokazywać kraj galerii handlowych i biurowców?

Niezwykle wartościowym aneksem do wystawy, również w gmachu Louvre-Lens, jest prezentacja setki zdjęć Kazimierza Zgoreckiego. Emigrant z Polski przybył w 1922 r. do Rouvroy w Pas-de-Calais i początkowo pracował jako górnik. Odkrywszy w sobie pasję fotografii, szybko zrezygnował z kopalni i został zawodowym fotografem rejestrującym życie polskiej diaspory w tym regionie. W latach 90. zdjęcia znalazł na strychu mąż wnuczki Zgoreckiego – Frédéric Lefebvre.

Cóż to za wzruszające fotografie! Czarne-białe, statyczne portrety paszportowe, sceny z upozowanymi zgodnie z ówczesną modą grupami rodzin, portrety robotników, sklepikarzy, górników w chwilach bardziej uroczystych, ale i codziennych. Jakaś godność w tych prostych ludziach! Jaka elegancja, niesalonowa, lecz wyrażająca szacunek dla samych siebie i otoczenia. Naprawdę piękny i mocny polski akcent na tej wystawie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa będzie czynna do 20 stycznia 2020 r.



Tomasz Rowiński

Fundacje polskich arystokratów sprowadziły część polskiej kolekcji sztuki z Peru

Spotykamy się w nowoczesnym biurze na warszawskim Powiślu, w jednej z wielu sal konferencyjnych przeznaczonych do spotkań i szkoleń. W takich okolicznościach słucham opowieści Macieja Radziwiłła, prezesa Fundacji Trzy Trąby (trzy trąby znajdują się w herbie rodu Radziwiłłów), i Michała Sobańskiego, prezesa Fundacji im. Feliksa hr. Sobańskiego, o kolekcji obrazów odzyskanych niedawno w Peru i przywróconych Polsce. Obrazy te pochodzą z majątku wywiezionego w 1944 r. z Łańcuta przez Alfreda III Potockiego, ostatniego tamtejszego ordynata. Wywózka ta miała miejsce tuż przed wkroczeniem do Łańcuta Armii Czerwonej, była więc udaną próbą ratowania majątku, a nie kradzieżą. Jednak obrazy – i to częściowo – wróciły dopiero teraz. Ponieważ pałac w Łańcucie szczęśliwie przetrwał przejście Sowietów i do dziś znajduje się tam wiele sprzętów, które stoją od kilkuset lat praktycznie w tych samych miejscach, odzyskiwanie brakujących elementów, tej perły polskiego dziedzictwa materialnego, jest działalnością szczególnie cenną. Ocalenie Łańcuta, jak mówi Maciej Radziwiłł, miało charakter niemal cudowny, jeden z pracowników pałacu napisał po prostu farbą na desce po rosyjsku „Muzeum Narodu Polskiego” i pomysł ten zadziałał. Czerwonoarmiejcy zostawili majątek w spokoju.

TWARZ KRÓLA

Przeglądamy na laptopie poszczególne dzieła z kolekcji. Dominują portrety ludzi związanych z polskimi rodami magnackimi. Jest choćby jedyny pochodzący z epoki portret Jana Potockiego, postaci barwnej i tragicznej, autora znanego najbardziej z dwóch dzieł: filozoficznej, szkatułkowej powieści „Rękopis znaleziony w Saragossie”, a także... szklanej kuli wieńczącej cukiernicę, którą ponoć szlifował przez wiele lat, by ostatecznie użyć jej jako pocisku, którym zakończył swój żywot. Jest też najstarszy znany wizerunek Marysienki, żony króla Jana



Najcenniejszy element kolekcji – dwustronny obraz będący własnością Jana III Sobieskiego. Z prawej: portret Marii Radziwiłł

FOT. PIOTR JAMSKI (2)

Powrót pamiątek

Sobieskiego, a także samego Sobieskiego. Oprócz tego oglądamy Henryka Lubomirskiego, Julię Potocką czy Elizę Radziwiłłówną, największą miłość cesarza niemieckiego Wilhelma I. Maciej Radziwiłł opowiada o każdym obrazie, ale nie są to po prostu opowieści historyka sztuki, tylko obszerne wyimki z dziejów ludzi, z którymi jest spokrewniony, a którzy w XVI, XVII czy XVIII w. „robili Polskę”. Zatem przeplatają się w tych opowieściach historie rodzinne Potockich, Radziwiłłów i innych rodów, które większość z nas zna z podręczników historii naszego kraju, państwa, narodu.

W pewnym momencie Maciej Radziwiłł przerywa swoją opowieść i wychodzi, mówiąc, że ma coś ciekawego do

pokazania. Przychodzi z grubą płócienną torbą, z której wyjmuje trzy obrazy. Dwa z nich to ciężkie, prostokątne fragmenty blachy. Już na pierwszy rzut oka widać, że są to portrety dwóch polskich królów, Stefana Batorego i Henryka Walezego. „Oba pochodzą z XVI w., to najstarsze zachowane wizerunki królów, można powiedzieć, że to portrety z epoki”. Trzymam te dość niepozorne, choć masywne kawały metalu, ważę je w dłoniach, myślę o losach tych obrazów, o korowodzie dłoni, które w przeszłości także trzymały je w rękach. Wrażenie jest niesamowite.

OCALENIE

Pytam o rok 1944. Jak to możliwe, że w takim momencie, pod niemiecką oku-

pacją, udaje się wywieźć ogromną część majątku zgromadzonego w Łańcucie? Niemcy podstawili pociąg. Nie rzuca to korzystnego światła na Alfreda Potockiego. Pan Maciej i pan Michał uśmiechają się nieco ironicznie. Cóż, Alfred Potocki był postacią niejednoznaczną. Należał do tej części rodziny – jakby to powiedzieć – najmniej spolszczonej. Miał liczne kontakty z arystokracją europejską, także z elitami niemieckimi, również z tymi dominującymi w latach 30. Jego matka pochodziła z linii Radziwiłłów berlińskich, była krewną Hohenzollernów i innych rodzin niemieckich, więc te niemieckie koligacje nie są zaskakujące. Zdaniem Macieja Radziwiłła nie będzie przesadą powiedzieć, że Alfred Potocki nie czuł się zapewne Polakiem w naszym rozumieniu, choć nie znaczy to, że nie czuł się nim w ogóle. Już traktowanie Łańcuta we wcześniejszych latach okupacji wskazuje na dobre układy Potockiego z okupantem. Naziści nie konfiskowali majątków w takich obiektach jak Łańcut, ale osadzali w nich swoich administratorów. Tutaj jednak ten zarząd miał prawdopodobnie charakter jedynie formalny, a przynajmniej mało uciążliwy. Potocki nie był jednak w żadnym razie kolaborantem, w czasie okupacji, korzystając ze swoich koneksji, wielu ludzi wyciągnął z niemieckich więzień czy obozów, pomagał też Żydom. Podobnie, a nawet na większą skalę działał kuzyn Alfreda, Maurycy Potocki z Jabłonny, któremu przypisuje się kilkaset takich interwencji.

Co jednak działo się z majątkiem Potockich i kolekcją dzieł sztuki przez ostatnie 70 lat? Latem 1944 r. kilkaset skrzyń z Łańcuta wypełnionych dziełami sztuki dojeżdża do Liechtensteinu, gdzie Potoccy także mieli koneksje rodzinne. Po wojnie majątek trafił do Szwajcarii, Francji i Stanów Zjednoczonych. W Waszyngtonie brat Alfreda – Jerzy Potocki, były adiutant marsz. Józefa Piłsudskiego, ambasador Polski w USA podczas II wojny światowej – połączył kolekcję Alfreda z pamiątkami Potockich z majątków w Pomorzach i we Lwowie. Po zakończeniu misji w USA Jerzy osiadł z żoną Susaną Iturregui i synem Stanisławem w Limie w Peru i tam też wraz z nim trafiła

kolekcja Potockich. Z uwagi na peruwiańską wersję reformy rolnej rodzina Potockich straciła swój majątek także w Limie i zaczęła wyprzedawać składniki kolekcji. Część trafiła do przyjaciółki rodziny, Włoszki mieszkającej w stolicy Peru. Ten właśnie fragment łańcuckiego dziedzictwa udało się Maciejowi Radziwiłłowi i Michałowi Sobańskiemu odkupić i przywieźć do Polski.



Sprawa z innymi fragmentami kolekcji jest trudna, polscy kolekcjonerzy mówią, że problemem jest to, jak wiele obrazów było sprzedanych do nieznanymi nabywców, ponieważ Potoccy wstydzieli się konieczności zdobywania środków w taki sposób. Dotarcie do różnych dzieł jest prawie niemożliwe, ponieważ nie istnieją w obiegu kolekcjonerskim.

Jaka jest wartość tych 20 obrazów? Ostatecznie nie są to wielkie dzieła wielkich malarzy. Często autorzy są nieznani, a osoby na nich przedstawione zapomniane. Zdaniem Michała Sobańskiego niezależnie od tego, ile takie obrazy są warte na rynku sztuki, trzeba je sprowadzać do Polski, choćby

z tego powodu, że zostały wywiezione. Ich wartość należy raczej szacować tak, jak szacuje się wartość ważnych pamiątek rodzinnych, ale w tym przypadku także narodowych. Są miejsca w pałacu w Łańcucie, które czekają, żeby te obrazy mogły znów zawisnąć tam, gdzie powiesili je ich właściciele, czasem kilkaset lat temu.

MALOWIDŁO SOBIESKIEGO

Najcenniejszy element kolekcji, która w całości kosztowała niespełna 200 tys. zł, jednocześnie najlepiej oddający jej symboliczny, niepodlegający realnej wycenie charakter, to dwustronny obraz będący w przeszłości własnością Jana III Sobieskiego. Z jednej strony przedstawia on Świętą Rodzinę, a z drugiej śpiącego Chrystusa. Nie mamy tu do czynienia z wielkim dziełem, jego twórca także pozostaje nieznany, jak się nieraz jednak podaje, obraz ten król miał przy sobie pod Wiedniem i wierzył, że daje mu ochronę. Historia tego obrazu jest prawdopodobnie nieco inna, jak mówi Maciej Radziwiłł, ale także dramatyczna. Wskazuje na to znajdujące się w nim przebicie, prawdopodobnie po kuli. Podczas jednej z bitew pod Parkanami, kilka tygodni po zwycięstwie wiedeńskim, król Jan znalazł się w niebezpieczeństwie, ponieważ jego koń zaparł się, odmawiając dalszej współpracy. Wtedy wierzchowca oddał mu jeden z towarzyszących mu rycerzy. Istnieje przypuszczenie, że był to Heliodor Dyamentowski herbu Dryja. Ten pomysł wziął się z tego, że ów obraz jest ozdobiony tym właśnie herbem, a wiemy, że tylko dwóch noszących go ludzi brało udział w kampanii króla Jana przeciwko Turkom. Jeden z nich zginął pod Wiedniem, a drugi właśnie pod Parkanami. To wyjaśniałoby, dlaczego taki niepozorny obraz trafił w ręce Sobieskiego i miał dla niego tak wielkie znaczenie.

To wszystko tylko wycinek zaangażowania, które wkładają Maciej Radziwiłł i Michał Sobański w odzyskiwanie i przywracanie polskiego dziedzictwa materialnego, kolejne misje trwają. Obrazy sprowadzone z Peru będzie można zobaczyć w połowie listopada w Muzeum-Zamku w Łańcucie, gdzie po renowacji zostaną odsłonięte na wystawie z okazji 75-lecia istnienia muzeum.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Stawka większa niż szachy



★★★★★

REŻ. ŁUKASZ
KOŚMICKI
„UKRYTA GRA”
POLSKA 2019

wyst. Bill Pulmann,
Lotte Verbeek,
Robert Więckiewicz

Młodopolscy wielbiciel dekadenta Stacha Przybylszewskiego zorganizowali mu pewnego razu spotkanie z Sienkiewiczem. Mistrz nie bardzo wiedział, jak się zachować i co powiedzieć. Opanowawszy panikę, podszedł do noblisty i szepnął mu do ucha: „Panie Henryku, napijmy się wódki”. Ta pyszna – trzeba przyznać – anegdota przypominała mi się podczas seansu „Ukrytej gry”. Tutaj trunek również pomaga przełamać bariery: językowe, estetyczne i światopoglądowe.

Gdyby szefostwu TVP przyszło do głowy wrócić do tradycji czwartkowego „Teatru Sensacji”, Łukasz Kośmicki byłby idealnym kandydatem do odświeżenia formatu. Domyślałem się jednak, że jego ambicje sięgały dalej: chciał wykorzystać modę na „Zimną wojnę”, nakręcić

film zgodny z konwencją i zarazem wykraczający poza nią, dogodzić rodakom i zaintrygować etranżerów.

Na ekranie pojawiają się znajome figury: rudowłosa kusicielka, szpieg wytrawny i szpieg początkujący, hipnotyzer, diaboliczny przeciwnik i niespodziewany sojusznik. Postacią nieco mniej ortodoksyjną jest upadły naukowiec – szachista, który na trzeźwo pchły nie złapie, lecz w stanie wskazującym przestacza się w geniusza. Rzecz dzieje się jesienią 1962 r., w apogeum kryzysu kubańskiego. Komu pierwszemu puszcza nerwy, ten przegra. Pomysł, by losy świata zamiast na Morzu Karaibskim rozstrzygały się na polskiej ziemi, zasługuje na pochwałę. Trochę gorzej jest z wykonaniem.

Kośmicki nie oparł się pokusie obsadzenia w głównej roli sto-

łecznego Pałacu Kultury i Nauki. Budowli w swej genezie złowrogiej, lecz przecież oswojonej przez warszawiaków na długo przed upadkiem komunizmu. Wymyślił też bohatera, z którym widzowie mogliby się identyfikować. Alfred Ślęga jest jak rzodkiewka: czerwony tylko z wierzchu. Cwaniak kuty na cztery nogi, na rauszu już od śniadania, lecz w gruncie rzeczy swój chłop. Dla Więckiewicza zagrać kogoś takiego to bułka z masłem.

W „Ukrytej grze” PRL jest krainą, której ogarnąć rozumem nie potrafią ani Amerykanie, ani Sowieci. Ci pierwsi nadrabiają miną, ci drudzy są brutalni, zakłaman i źli do szpiku kości. Kośmicki (rocznik 1968) raczej wie, że za Gomułki KGB-ista nie mógł, ot tak sobie, torturować dygnitarza z bratniej Polski. Jednak coś by to był za dreszczowiec, w którym za bratanie się z wrogiem groziłaby nagana partyjna z wpisaniem do akt?

Ocenę filmu obniża wyjątkowo nachalna oprawa muzyczna. Rozumiem, że chciano w ten sposób podkreślić napięcie, lecz efekt jest odwrotny do zamierzeń. Czyżby Kośmicki zwątpił w jakość własnego scenariusza i umiejętności aktorów? Tak się w szachy nie gra. ©©

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „TERMINATOR: MROczne PRZEZNACZENIE”

35 lat po oryginalnym „Terminatorze” na ekrany wracają Linda Hamilton i Arnold Schwarzenegger. Zabawa jest przednia, z przyszłości przybywa nowe zagrożenie, a serca widzów ma szansę podbić ciekawe uzupełnienie obsady, którym jest Mackenzie Davis w roli superżołnierza. James Cameron był współautorem scena-

riusza, za reżyserię odpowiada Tim Miller, twórca pierwszego kinowego „Deadpoola”.
©©
Piotr Gociak

• „Terminator: Mroczne przeznaczenie”,
reż. Tim Miller, wyst. Linda Hamilton,
Arnold Schwarzenegger, Mackenzie Davis,
USA 2019

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

• „Midway”,
reż. Roland Emmerich,
USA 2019

• „Baranek Shaun Film. Farmageddon”,
reż. Will Becher,
Richard Phelan,
Wielka Brytania/USA 2019



To idzie młodość

Kto by pomyślał, że Ang Lee upadnie tak nisko, że nakręci film stuprocentowo schematyczny i kompletnie wyzuty z poczucia humoru. Wszystko to już było: zabójcy o miękkich sercach, szalone pościgi motocyklowe, niekończące się bijatki, próby stworzenia idealnego żołnierza, natrętne reklamowanie produktów i turystycznych kierunków (w tym wypadku Budapesztu i kolumbijskiej Cartageny). Główny bohater jest snajperem pracującym dla amerykańskich służb specjalnych. Mając pięćdziesiątkę na karku i 72 egzekucje na koncie, postanawia odejść na emeryturę, zostawiając świat bezpieczniejszy, niż go zastał. Nic z tego – nieljalni zwierchnicy

wrabiają naszego asa w mega-afere. Henry z myśliwego staje się zwierzyną. Dodatkowa atrakcja – na skalp kilera dybie jego młodsza wersja, wyhodowana w tajnym laboratorium. Sceny akcji są jeszcze znośne, lecz gdy zamiast strzałów padają teksty sentymtalne,



★★★★★
REŻ. ANG LEE
„BLIZNIAK”
(„GEMINI MAN”)
CHINY/USA 2019

wyst. Will Smith,
Mary Elizabeth
Winstead,
Clive Owen

humanistyczne i prorodzinne, doprawdy chce się wyć. Od zawodowego cyngla, który wstydzi się spojrzeć w lustro, narzeka na złe sny, a kiedy się wzruszy, to i łezkę uroni, wolę Johna Wicka. Ten przynajmniej nie jest hipokrytą. Mimo wszystko „Blizniak” ma szansę przejść do historii kina – jako zwiastun procederu polegającego na cyfrowym odmładzaniu aktorów. ©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CHŁOPAK NA DESCE

Reżyserski debiut popularnego aktora Jonaha Hilla wskrzesza klimat lat 90. nie tylko kapitalnym zestawem piosenek z tamtych czasów. To przede wszystkim słodko-gorzka (bardziej gorzka) opowieść o dorastaniu. 13-letni Stevie bierze regularny łomot od starszego brata, matka niespecjalnie zwraca na niego uwagę.



★★★★★
REŻ. JONAH HILL
„NAJLEPSZE LATA”
USA 2018

wyst. Sunny Suljic, Katherine Waterston,
Lucas Hedges, dystr. Dasan

Akceptację znajdzie w grupie starszych od siebie chłopców szalejących na deskorolkach. Wraz z wejściem w to towarzystwo rozpoczyna się także jego rytuał przejścia – alkohol, dziewczęta, łamanie prawa. Sunny Suljic w roli głównej jest bezbłędny (widzieliśmy go już w „Zabiciu świętego jelenia” i „Zegarze czarnoksiężnika”), równie mocna jawi się kreacja Lucasa Hedgesa jako jego przepełnionego gniewem brata. Hill nie jest tak drastyczny jak Larry Clark w słynnych „Dzieciakach”, ale nie idzie na łatwiznę kiczu pojednania. „Najlepsze lata” równoważy nostalgię kwestiami poważniejszymi, pokazując ciekawy kawałek ubogiej Ameryki i zwiastując narodziny ciekawego reżysera.

I ZNOWU TO SAMO

Bohaterowie są zmęczeni. Dwunasty kinowy film o mutantach zwanych X-Menami to ledwie bładzie cieni pierwszej odsłony serii, którą był film Bryana Singera z roku 2000. Po drodze zmieniali się obsada i tonacja, ale nie zmieniali się podstawowe elementy historii, więc niemal wszystko widzieliśmy już wcześniej. Nowością



★★★★★
REŻ. SIMON KINBERG
„X-MEN: MROCZNA PHOENIX”
USA 2019

wyst. Sophie Turner, James McAvoy, Michael Fassbender, dystr. Imperial

jest wyprawa X-Menów na misję ratunkową na orbitę, co daje na moment efekt świeżości, który jednak szybko mija. Rolę Jean Grey, tytułowej Phoenix, powierzono Sophie Turner, która bardziej jest obecna na ekranie, niż gra. Dwie dekady temu Famke Janssen dała tej postaci o wiele wyraźniejszy rys tragiczny, choć potrzebowała do tego o wiele mniej efektów specjalnych. Serię o mutantach czeka nowe otwarcie wiosną przyszłego roku (film „The New Mutants”). Nie warto czekać, zwłaszcza że na czarne charaktery wybrano chrześcijańskich fundamentalistów. ©

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „THE OUTER WORLDS”

O ile „Fallout 4” – kontynuacja słynnego postapokaliptycznego RPG – spotkała się z mieszanimi recenzjami, o tyle najnowsza część, „Fallout 76”, została przez krytyków zmieciona z powierzchni ziemi za liczne niedoróbki. A co, gdybym powiedział, że twórcy dwóch najlep-

szych odsłon serii zabrali się do swojej gry, ale przenieśli ją do retrofuturystycznego kosmosu i zrobili 10 razy lepiej? Właśnie takie, ale idące swoją ścieżką jest „The Outer Worlds”. To kolorowy świat zdominowany przez wielkie korporacje, którym można pomóc albo przeszkodzić w interesach.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Przy okazji wysadzając wszystko po drodze. ©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** RPG/FPP
- **Platforma:** PS4/XONE/PC
- **Producent, dystrybutor:** Obsidian Entertainment/Private Division
- **Klasyfikacja PEGI:** 16+

MOJA PÓŁKA

Broniewski na łonie rodziny

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

O Władysławie Broniewskim wciąż powstają nowe książki, wznawia się jego poezję, jest obecny w obiegu literackim. Tym bardziej należy zauważyć i docenić książkę jego wnuczki – urodzonej w 1948 r. Ewy Zawistowskiej, która jest córką tragicznie zmarłej w wieku 24 lat Joanny Broniewskiej-Kozickiej, adresatki porównywanego z „Trenami” Kochanowskiego cyklu wierszy „Anka”, który poeta napisał po jej śmierci.

Blisko 500-stronicowa książka Zawistowskiej złożona jest przede wszystkim z korespondencji, którą tytułowy dziadek Władek prowadził z jej matką. Komentarz autorki jest skąpy, ograniczający się do zarysowania tła opisywanych w listach wydarzeń. Z uznaniem należy odnotować, że nie pomija ona drażliwych tematów, bez których niepodobna zrozumieć meandrów życia i twórczości autora z jednej strony „Drzewa rozpaczającego”, z drugiej zaś sławnego czy raczej niesławnego poematu „Słowo o Stalinie”.

A że tajemnice rodzinne nie bardzo nadają się do publicznego ich roztrząsania, to inna sprawa, co wyraźnie widać w opisie okoliczności śmierci matki autorki „Dziadka Władka”. W swoim czasie wydarzenia nie można było zatuszować, zmarła była osobą znaną. „Chodziło – pisze Ewa Zawistowska – o córkę Broniewskiego. Jako przyczynę śmierci podano zatem zatrucie gazem, ale ukryto, że w tym domu (plac Konstytucji 3) od początku wadliwie działała instalacja. Za bezpośredni powód zgonu Anki uznano gaz, który ulatniał się po zalaniu palnika kawą. Jednak o tym, że całe mieszkanko było już wcześniej przesiąknięte trującym gazem i że w sąsiednich mieszkaniach zdarzyło się poprzednio kilka podobnych wypadków – nikt nie wspominał. Wygląda na to, że



FOT. DANUTA B. LOMACHOWSKA/EST NEWS

»zamieciono pod dywan« wadliwą instalację”.

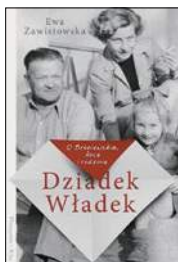
Autorka podkreśla, że nie wie, czy śmierć jej matki była efektem samobójstwa czy wypadku, i że tej pierwszej możliwości nie odrzuca. „Jednak wszystkie zapiski Anki, które znalazłam w skrzyni i tu przytoczyłam, oraz relacje rodziny – pisze – nie wskazują na śmierć samobójczą”. Konstatuje następnie, że „rzeczywistość podkolorowana plotką zazwyczaj bywa bardziej efektowna niż dokumenty”.

Płotek po śmierci Joanny Kozickiej było rzeczywiście wiele. Niestety, nie były to tylko plotki. Zainteresowanych szczegółami odsyłam do książki Joanny Siedleckiej „Biografie odtajnione. Z archiwów literackich bezpieki”, której kluczowy fragment odnosi się do faktu, że śmierć córki Broniewskiego nastąpiła wtedy, gdy dotarła do niej wiadomość, że Bohdan Czeszko, autor „Pokolenia”, w którym się zakochała i „dla którego zamierzała się rozwieść, przez cały czas romansu żył również z jej własną matką. Zdeprawowaną komunizmem, »wyzwoaloną« przeciwniczką tradycyjnej moralności Janiną Broniewską...”. Z domu Kunig, pierwszą żoną Władysława

Broniewskiego, serdeczną przyjaciółką Wandy Wasilewskiej, autorką wznawianego przez PRL na okrągło dzieła „O człowieku, który się kulom nie kłaniał”, czyli o gen. Świerczewskim.

Nie da się też ukryć, że obok ogromnej miłości do adresatek listów Broniewskiego – do córki i do wnuczki – przelewają się przez karty książki hektolitry wypitej przez poetę gorzały. To one m.in. sprawiają, że lektura „Dziadka Władka” jest w gruncie rzeczy niewiarygodnie smutna. Podobnie gdy budzi współczucie dzieciństwo autorki, w którym nie bardzo wiadomo, kto jest babcią, a kto ciocią, kto z kim aktualnie żyje, a kto nie i gdzie na pozór wszyscy się kochają, a naprawdę marzą o normalnych rodzinach.

Ewa Zawistowska wspomina, jak po 1956 r., gdy na krótko przywrócono w szkołach lekcje religii, we dwoje, z kolegą Żydem, opuszczali klasę i „w charakterze dwuosobowej żydokomuny sterczeliliśmy pod drzwiami przez 45 minut”. W trzeciej klasie dziewczynka marzyła o białej sukience i pierwszej komunii, do której przystąpi jak inne dzieci. Jasia (babcia Broniewska) orzekła jednak: „Mowy nie ma. To bzdura i kicz”. Podobnie kiczowaty był też krzyżyk, który Ewa gdzieś zdobyła i na przechowanie dała drugiej babci (Kozickiej). Ale i świecki kicz był w tym domu zwalczany, np. w postaci zakazanego stroju krakowskiego. „Rodzina – czytamy – wyśmiała również marzenia o szklanej kuli z domkiem i śniegiem wirującym wewnątrz, no bo... kicz oczywiście. Po latach, kiedy mój wnuk przyjechał do Grecji [gdzie od 19 lat Ewa Zawistowska mieszka na stałe – przyp. K.M.] i spodobała mu się kula, w której wokół miniaturowej Białej Wieży w Salonikach wirował okropnie kiczowaty złoty deszcz, kupiłam mu ją natychmiast z dziką radością”. ©



★★★★★

**EWA
ZAWISTOWSKA**
„DZIADEK
WŁADEK.
O BRONIEWSKIM,
ANCE I RODZINIE”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA 2019



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Te ostatnie niedziele

Można ją czytać po kolei, można na wyrwyki, grunt, by po nią sięgnąć, bo warta jest przeczytania. Jeśli szukacie dowodów na istnienie czegoś takiego jak magia pisania, oto ona: gazetowe zapiski Sándora Máraia, geniusza węgierskiej literatury. „Kronika Niedzielną” zawiera teksty z lat 1936–1943, kiedy to Márai mieszkał jeszcze na Węgrzech i z budapeszteńskich ulic przyglądał się światu.

Było na co patrzeć. Wojenne chmury zbierające się na horyzoncie, potem wybuch następnej wielkiej wojny, ale węgierski pisarz nie zamienił się w kronikarza codziennych komunikatów frontowych. Patrząc, jak stary świat umiera, pisał o tym, o czym i wcześniej. Snuł rozważania na temat losu Zachodu w ogóle, na temat europejskiej historii i kultury, nazywając Europę „ukochaną krainą, która była moją drugą ojczyzną”. Przedstawiał wrażenia z lektur – od podróży przez stronic dzieł klasyków do swoich zabawnych zmagania z literaturą jarmarczną, z którą pewnego dnia postanowił się zaznajomić, co zaowocowało jednym z najzabawniejszych tekstów w tomie.

Śpieszę od razu z wyjaśnieniem, że nie są to, broń Boże, zapiski wyniosłego i pogardliwego estety, Márai jednocześnie głęboko zanurzony

jest w codzienności, która, trawstując „Misia” Barei, otacza go coraz bardziej. Żegna zmarłych przyjaciół i podziwianych autorów, spaceruje wciąż gwarnymi ulicami, zatapia się w myślach w barach kawowych. I okazuje się, że jest Márai obdarzony niezwykłym darem – to, co podpatrzy, co mimochodem dostrzeże, pod jego magicznym piórem zamienia się w literaturę najwyższej próby. Bo nie mam wątpliwości, że „Kronika Niedzielną” jest znakomitą literaturą, a nie jakimś tam „kawałkami z gazet”, tak samo jak znakomitą, wybitną literaturą jest przecież „Dziennik” Máraia.

Zauważmy zresztą, że właśnie dla pisania „Dziennika” (a czynił to regularnie od roku 1943 do śmierci w roku 1989) węgierski twórca porzucił drobne roboty dla prasy. „Kronika...” z dzisiejszej perspektywy jest więc ważnym wstępem do arcydzieła. Zapiskami rozbitka, którego statek jeszcze płynie, ale katastrofa jest nieuchronna. „Niegdyś panowała tu siła rozumu i wiary. Wszak być Europejczykiem znaczy tyle, co pojąć pewne rzeczy i sprawy” – przypomina Márai. „Mieliśmy wszelką moc, by ten kontynent poprowadził świat ku nowemu tysiącleciu; i co poczęliśmy z tą mocą?”. Jak widać, jest to książka nie tylko o przeszłości. ©©



★★★★★
SÁNDOR MÁRAI
„KRONIKA NIEDZIELNA”
CZYTELNIK 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Poezje wybrane znakomitego czeskiego twórcy, laureata Literackiej Nagrody Nobla z roku 1984. Tom wzbogacony niemal stustronicowym esejem „Melancholijny czarodziej” autora przekładów i wyboru, Leszka Engelkinga.



JAROSLAV SEIFERT
„KSIĘGA POETÓW”
OFFICINA

Biografia walijskiego dziennikarza, który ukazał Zachodowi prawdę o straszliwej zbrodni Stalina: wielkim głodzie na Ukrainie. Stał się po tym ofiarą nagonki. To o nim opowiada film Agnieszki Holland „Obywatel Jones”.



MIROSŁAW WLEKŁY
„GARETH JONES”
ZNAK

Od czapki maciejówki do mebli art déco, od cyrku Staniewskich do m/s „Batorego”, od „Elementarza” Falskiego do pocztówki z Zaleszczyk – barwna i ciekawie ilustrowana opowieść o dwudziestoleciu międzywojennym.



ANDRZEJ FEDOROWICZ
„DRUGA RZECZPOSPOLITA W 100 PRZEDMIOTACH”
FRONDA

Szkoda, że ta biografia nie jest jeszcze obszerniejsza. Najbardziej pasjonujące jest w niej to, co mniej znane, czyli opowieści o latach sprzed powołania rządu Olszewskiego. Uzupełnieniem są kapitalne prywatne zdjęcia. ©©



JERZY KŁOSIŃSKI
„MACIEREWICZ. CZŁOWIEK DO ZADAŃ NIEMOŻLIWYCH”
BIAŁY KRUK

recenzuje Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Paulina Świsł**, „Sitwa” (Akurat) – bohaterowie „Karuzeli” powracają, nowa propozycja prozy kryminalno-erotycznej wątpliwej jakości.
 2. **Katarzyna Puzyńska**, „Pokrzyk” (Prószyński Media) – 11. tom sympatycznej i popularnej serii o policjantach z Lipowa.
 3. **Christel Petitcollin**, „Jak mniej myśleć” (Wydawnictwo Feeria) – „Dla analizujących bez końca i wysoko wrażliwych” – głosi podtytuł poradnika.
 4. **Kelsey Miller**, „Przyjaciele” (SQN) – „ten o najlepszym serialu na świecie”, czyli rzecz o sitcomie „Friends” i jego wpływie na popkulturę.
 5. **Remigiusz Mróz**, „Wyrok” (Czwarta Strona) – 10. tom serii z Joanną Chyłką w roli głównej, znanej też jako serial produkcji TVN.
- (Najchętniej kupowane książki w sieci Empik od 7 do 20 października 2019 r.)



Pop z ambicjami

FOT. MATERIAŁY PROSOWE

Każdy z nas ma trochę z umysłu ścisłego inżyniera Mamonia, któremu „podobają się melodie, które już raz słyszał”. Zatem wydanie płyty z piosenkami, z których większość to już radiowe hity, wydaje się pewną receptą na komercyjny sukces. To sztuka tylko z pozoru przeznaczona dla starych wyjadaczy z platynami na kontach. Jak się okazuje, nie jest ona poza

zasięgiem debiutanta, co pokazał właśnie Baranowski, czyli Wojciech Baranowski. Jego pierwsza płyta właśnie trafiła na sklepowe półki. „Zbiór” to o tyle dobry tytuł dla tego albumu, że jest on zbiorem właśnie piosenek Baranowskiego, które już pokazał światu, plus kilku nowych. Każdy słuchacz mainstreamowych stacji radiowych

musiał to słyszeć: „Tylko nie w czułe miejsce / Tylko nie prosto w twarz / Tylko nie prosto w serce / Nie chcę więcej, nie chcę” („Czułe miejsce”). Albo to: „Ja jestem dym a ty płomień / Wije przy tobie się jak wąż ogonem / Ja jestem dym a ty płomień / To co za nami – wszystko spalone” („Dym”). Czy też to: „Chcemy dokądś pójść, chcemy zrobić szum / Byle

wrócić późno, późno / Chcemy poczuć puls, ciała wprawić w ruch / Byle było luźno, luźno...” („Kim”). Wojciech Baranowski ma talent do chwytliwych refrenów i wpadających w ucho melodii. Pop, ale z ambicjami, zrobiony porządnie muzycznie. Bywa porównywany do Dawida Podsiadły i rzeczywiście inspiracje autorem „Małomiasteczkowego” w „Zbiorze” słychać. Sam Baranowski nie lubi porównań do Dawida. W wywiadzie dla Onetu na pytanie, czy takie zestawianie go stresuje, odpowiada: „Może trochę stresuje, a może i nawet powoli zaczyna drażnić, ale poniekąd to też rozumiem. Ludzie szybko upychają artystów do swoich szuflad”. Może to jeszcze nie ta sama szuflada, nawet nie ta sama półka, ale Baranowski zdaje się mieć wszelkie narzędzia do tego, by przynajmniej grać w tej samej lidze. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Jazz z afrodyzjakiem

Duet na kontrabas i perkusję zaprasza do krainy niepokojących, a zarazem kuszących dźwięków.

Olo Walicki jest kompozytorem i kontrabasistą jazzowym. Píše muzykę do filmu, teatru oraz tworzy instalacje dźwiękowe. Jacek Prościński jest perkusistą i kompozytorem specjalizującym się w muzyce improwizowanej i elektronicznej. Wspólnie panowie stworzyli unikatowy duet, którego muzyka wymyka się jednoznacznie mu zasufladkowaniu.

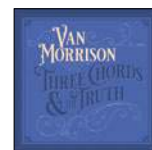
Płyta przynosi podróż dźwiękową, której patronuje zielonolistna, aromatyczna bylina lovage, czyli lubczyk, afrodyzjak z rodziny selerowatych. Co więcej, jednym z elementów okładki jest sprasowa-

ny liść lubczyku. Punktem wyjścia jest dialog między kontrabasem i perkusją, który jest wzbogacany o elektroniczne dopełniacze i sample dźwiękowe. W tych drugich pojawiają się Kira Boreczko-Dal (sopran) oraz Mikołaj Trzaska (instrumenty stroikowe).

Podając się tej niełatwej muzyce, wkraczamy do świata wyimaginowanego, niepokojącego filmu. Niewątpliwie wpływ na strukturę i nastrój płyty mają teatralne doświadczenia Walickiego. Dzięki temu muzycy są wolni nie tylko od ograniczeń stylistycznych, lecz także są świadomi budowania dźwiękami wizualnych przestrzeni. Wszystko to razem jest szalenie spójne, emocjonalne, choć nie dla każdego przystępne. ©©



★★★★★
OLO WALICKI
& JACEK
PROŚCIŃSKI
„LOVAGE”
GUSSTAFF



★★★★★
VAN MORRISON
„THREE CHORDS
& TRUTH”
CAROLINE

Album z premierowym materiałem Irlandczyka. Celtycki R&B, gospel, jazz, skiffle, rockabilly, boogie i hymny o ciszy. Ten ponadczasowy Van pachnie naftaliną, ale tą najlepszą, z Harrodsa. A głos Morrisona brzmi jak dzwon.



★★★★★
RINGO STARR
„WHAT'S MY NAME”
POLYDOR

Ósmy studyjny album 79-letniego Beatlesa w XXI w. Ekipa przyjaciół (m.in. Joe Walsh, Steve Lukather, Dave Stewart) bawiła się, nagrywając piosenkę Lennona „Starzej się ze mną” czy standard „Mony”. Fajnie, kiedy nic nie musisz. ©©

Więcej
energii
na to,
co ważne



Wykresy pokazujące wzrost gospodarczy w krajach byłego obozu socjalistycznego od II wojny światowej do upadku całego „oboju państw postępu” w roku 1990 przedstawiają linię nieuchronnie i konsekwentnie opadającą od stosunkowo wysokich wskaźników w latach 50. przez gorsze wyniki lat 60. i 70. do zera, a potem poniżej zera wzrostu gospodarczego w latach 80. Tak wygląda kryzys systemowy.

Centralni planiści nie mogli zaakceptować takiego obrazu i konstruując kolejne plany gospodarcze, zapisywali w nich nieuchronny powrót do wzrostu. Kierowała nimi prosta zasada: to, co nie może wiecznie trwać, nie będzie wiecznie trwać. Oczywiście nie mylili się, ale nie zrozumieli wymowy tej zasady, która prorokowała upadek i nieuchronną zmianę systemu, a nie jego samoodzrowienie.

Tylko frajerzy mają dzieci



Przemysław Załuska

Dopóki system będzie karał ekonomicznie za posiadanie dzieci, dopóty nie przezwyciężymy kryzysu demograficznego



Podobnie jak centralni planiści dziś myślą demografowie, konstruując swoje prognozy (ONZ, Eurostat) rozwoju populacji, zakładając wzrost dzietności w krajach zachodnich, w tym w Polsce, w perspektywie do roku 2100. Przypomnijmy, że według głównego wariantu prognoz ONZ w roku 2100 dzietność w Polsce ma się zwiększyć do 1,76, a więc o ok. 20 proc. w porównaniu z ostatnimi danymi. Oczywiście nawet taki prognozowany wzrost dzietności nie jest wystarczający, by powstrzymać

redukcję populacji, ale mimo wszystko można go potraktować jako wariant optymistyczny. Jeśli te założenia uda się zrealizować oraz dodatkowo podnieść znacząco przeciętną długość życia, to Polaków (potomków 38 mln ludzi mieszkających w Polsce teraz) pozostanie do końca wieku 21–22 mln, a więc ubędzie nas „zaledwie” 16–17 mln.

Zawarte w powyższych prognozach założenia o nieuchronnym wzroście dzietności można zinterpretować dwojako. Jeśli kryzys demograficzny ma

przyczyny systemowe, to są one bezpodstawne. Nie zostanie rozwiązany tylko dlatego, że obecne trendy wydają się nie do utrzymania. Jest to myślenie życzeniowe, podobne do złudzeń żywionych przez centralnych planistów, że walący się system gospodarki, socjalistyczny kiedyś „musi” znowu ożyć. Otóż nie musiał, nie mógł ani nie ożył i podobnie będzie z naszą demografią. W drugiej interpretacji jest to zaś (nieświadoma) zapowiedź nieuchronnej zmiany systemu, bo tylko taka systemowa zmiana

może przynieść zakończenie kryzysu demograficznego.

Dlaczego prognozowane dla Polski i innych krajów zachodnich wzrosty dzietności należy uznać za nierealistyczne?

BRAK REALIZMU

Po pierwsze, wynika to z analizy obecnych trendów i z historycznego doświadczenia. Zapowiadany przez teorię demograficznej transformacji powrót do wysokiej dzietności nie jest dotąd nigdzie obserwowany. Rok 2018 był rokiem rekordowo niskiej dzietności w USA i Wielkiej Brytanii (1,7 dziecka na jedną kobietę), spadek urodzeń był w zeszłym roku bardzo znaczący we Włoszech i w Hiszpanii (o 6 proc.), w Korei Południowej – mimo tego, że nie dotknął jej żaden kryzys, kataklizm czy wojna – liczba urodzeń tylko w ostatnim roku zmniejszyła się o 9 proc., a poziom dzietności – do rekordowego wskaźnika

w Niemczech. Otóż wskaźniki te są mylące, gdyż patrząc głębiej, na strukturę populacji, która jest niejednorodna, odkrywamy, że składa się ona z nieskorych do rodzicielstwa autochtonów oraz przybyszów, którzy chcą posiadać wiele dzieci. W krajach, gdzie takie dane są dostępne (Wielka Brytania, Niemcy, Włochy), taki właśnie obraz nam się wyłania. Oczywiście nie ma problemu, by skokowo podnieść liczbę urodzin w dowolnym kraju, importując masowo ludność z krajów, gdzie wskaźnik dzietności jest wysoki, ale nie o to przecież w kwestii zachowania tkanki narodowej chodzi.

Co więcej, optymistyczne założenia w kwestii przyszłej dzietności w Polsce są fałszywe z dwóch innych powodów. Otóż w dyskusji o naszej demografii ciągle pojawia się typ myślenia, w którym wzrost gospodarczy, wzrost dobrobytu, większa dostępność mieszkań rozwiążą

szłych kryzysów ekonomicznych. Polska rozwija się nieprzerwanie od prawie 30 lat. Jednak któregoś dnia taki rozwój się zakończy albo długotrwałą stagnacją, tak jak w większości krajów wysoko rozwiniętych w ostatniej dekadzie, albo nawet gwałtownym kryzysem. Wtedy oczekiwać możemy, że dzietność, nawet jeśli już jest niska, jeszcze się zmniejszy.

PENALIZOWANA ROZRODCZOŚĆ

Dlaczego jednak kryzys demograficzny ma podłoże systemowe? Argumenty na to wyczerpująco przedstawiam w swojej książce „21 milionów”, a tu je pokrótce przypomnę.

Najważniejszym powodem kryzysu demograficznego jest to, że ludzie zachowują się racjonalnie w sensie ekonomicznym. Brzmi to paradoksalnie, dodajmy więc, że obecny system wysyła silne sygnały ekonomiczne penalizujące rozrodczość.



FOT. AUBREY STUCK

0,98! Tutaj nie ma dna, na nic zda się zaklinanie rzeczywistości. Nie mamy żadnej podstawy, obserwując kraje od nas zamożniejsze, historycznie wyprzedzające nas na drodze rozwoju i dobrobytu, by potwierdzić, że następuje powrót do wskaźnika 2,1 dziecka na kobietę, a więc do sytuacji prostego zastępowania pokoleń.

Ktoś mógłby jako kontrargument przytoczyć wysokie wskaźniki z Francji, krajów skandynawskich, a także wzrost dzietności obserwowany ostatnio

problemy demograficzne. Wiemy, że tak nie jest. Takie lepsze warunki istnieją już bowiem obecnie w wielu krajach: w Niemczech, we Włoszech, w Japonii. Czy tam problemy z dzietnością nie występują? Oczekiwanie, że sama poprawa poziomu życia coś rozwiąże, jest ignorowaniem doświadczenia innych, bogatszych od nas państw.

Drugim elementem zbytniego optymizmu prognoz zakładających samokorektę poziomu dzietności jest nieuwzględnianie możliwości przy-

Podstawowym faktem ekonomicznym wpływającym na decyzje o posiadaniu potomstwa w naszym kraju jest znaczne pogorszenie sytuacji ekonomicznej osób decydujących się na urodzenie i wychowanie dziecka. Przeciętna polska rodzina decyduje się na jedno dziecko, wypieszczone i wychuchane, które ubogaca życie rodziców w sferze emocjonalnej, cementując także ich małżeństwo. Czynnione jest to wbrew rachunkowi ekonomicznemu i wiąże się na ogół z rezygnacją z dotychczasowego standardu życia. Kolejne

■ dziecko nie wnosi już tak fundamentalnych korzyści dla trwałości małżeństwa i rodziny, jego przyjsię na świat wiąże się za to z większymi trudnościami finansowymi, dlatego rodzice podejmują taką decyzję z największą trudnością. Decyzja o kolejnych potomkach może odebrać matce możliwość pracy na pełny etat lub ze względu na czas poświęcany rodzinie ogranicza szanse awansu zawodowego. Licniejsza rodzina zmniejsza znacząco dochód na głowę, a więc ciężniejszy komfort ekonomiczny. Odbija się to także na statusie społecznym. W końcu poprzez konstrukcję systemu emerytalnego negatywnie wpływa ona na oczekiwany na starość dochód. Decyzja o ograniczeniu liczby potomstwa do 1,4 statystycznego dziecka jest u nas, tak samo jak we Włoszech czy w Niemczech, po prostu racjonalna z czysto ekonomicznego punktu widzenia. I większość rodzin zachowuje się racjonalnie w sensie maksymalizacji swoich korzyści ekonomicznych.

Obecnie – gdy dzieci nie pomagają już w gospodarstwie rolnym czy warsztacie rzemieślniczym rodziców, nie mogą też podjąć pracy zarobkowej, a jednocześnie poprzez powszechną edukację wydłużony został czas opieki nad nimi – bilans ekonomiczny dla rodziny posiadania dzieci drastycznie się pogorszył. W perspektywie historycznej zwiększyły się obciążenia związane z wychowaniem dzieci, natomiast prawie całkowicie zniknęły wymierne korzyści. Ta zmiana ma charakter obiektywny, ale kiedy ją dostrzeżemy, możemy jako społeczeństwo podjąć racjonalne działania, by bilans po stronie rodzin skorygować.

DZIECI TO KAPITAŁ

Dzieci to w sensie ekonomicznym kapitał ludzki, to także przyszli podatnicy, z których każdy przeciętnie zasili w ciągu swego życia finanse publiczne kwotą ok. 1,5 mln zł. Bez nich nie ma nie tylko narodu, państwa, lecz także żadnej realnej perspektywy na emeryturę czy opiekę dla starszych pokoleń. Posiadanie liczego potomstwa (ponadnormatywne jedno dziecko), dziś postrzegane jako kwestia zachcianki, osobistych preferencji, jest także w czysto ekonomicznym sensie niezbędne dla dobra całego społeczeństwa.

Obecny system prowadzi do samobójczych zachowań. W jego ramach gdybyśmy wszyscy kierowali się tylko racjonalnością ekonomiczną, w tym chęcią maksymali-

zacji emerytur, to nikt z nas nie powinien mieć dzieci. A przecież właśnie w takiej sytuacji żadnych emerytur, wypłacanych dzięki pracy i podatkom płaconym przez potomków, byśmy nie otrzymali. Obecny system tworzy więc fikcję, że można nie mieć dzieci, ale mieć emeryturę.

Obecny system prowadzi do samobójczych zachowań.

Tworzy fikcję, że można nie mieć dzieci, a mieć emeryturę

Bodźce ekonomiczne wysyłane przez społeczeństwo do jednostki w związku z rodzicielstwem są wręcz perwersyjne. Inwestycja rodziny: czasu, wysiłku, ale i finansowa, by powołać do życia nowych podatników, by stworzyć niezbędny dla gospodarki kapitał ludzki, przynosi korzyści wszystkim, tylko nie samej rodzinie. Ona jest penalizowana za tę owocną i przynoszącą wszystkim korzyść decyzję. Można porównać ten mechanizm demotywacji poprzez odniesienie do rynku pracy, który oparty byłby na zasadzie: „Im ciężiej będziesz pracował, tym gorzej będziesz wynagradzany”.

PO CO SIĘ WYSILAĆ?

W systemie socjalistycznym osoby, które chciały ciężko pracować, często traktowano jako naiwnych, a nawet „frajerów”. Po co się wysilać, jeśli i tak nic z tego mieć nie będziesz? To wtedy powstało przecież przysłowie: „Czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy”. Efektami zerwania więzi między wysiłkiem jednostki a jej wynagrodzeniem w systemie socjalistycznym były: niska wydajność, kiepska jakość produktów, fatalna jakość obsługi (sprzedawcy w sklepie, kelnerzy). Kryzys gospodarki socjalistycznej był systemowy właśnie w tym sensie: bodźce wbudowane w system, interpretowane racjonalnie, powodowały spadek wydajności i jakości pracy. I na nic zdawały się hasła wzywające do dobrej roboty, traktaty i felietony o tym, dlaczego Polacy nie potrafią ani nie chcą pracować. Polacy po prostu nie byli głupi, byli racjonalni. Na nic były apele, hasła, wezwania, narady... Teraz jest dokładnie tak samo, a litanie wezwań, apeli czy podobnych pseudoakcji będzie podobnie jałowa.

Ci sami ludzie, dotąd portretowani w krzywym zwierciadle satyry jako lenie i kombinatory np. w filmach Barei, po zmianie systemu w roku 1989 stali się zaradni, przedsiębiorczy i niezwykle wprost pracowici. Był to „cud”, którego doświadczyli wszyscy Polacy będący dziś w wieku powyżej 40 lat. Po prostu gospodarka rynkowa dała Polakom mechanizmy, dzięki którym ich własny interes prywatny, chęć poprawienia losu swojego i bliskich, harmonizował z interesem ogółu.

Obecnie sytuacja jest analogiczna. Należy koniecznie i niezwłocznie zmienić paradygmat, który stanowi, że posiadanie dzieci jest dla rodziny ekonomicznym ciężarem bez żadnej (kompensującej trud wydania na świat i wychowania potomstwa) ekwiwalentnej materialnej korzyści. Wychowanie dzieci, przyszłych pracowników i podatników, to wielka ekonomiczna korzyść. Trzeba skończyć z karaniem ludzi za ciężką pracę, która daje owoce nam wszystkim.

Większość ludzi bez stosowania skomplikowanej algebry jest w stanie intuicyjnie wyliczyć, jak ekonomicznie fatalna jest dla nich osobiście decyzja o posiadaniu liczego potomstwa. Nie można się z tego powodu obruszać ani wpadać w moralizatorskie tony. Trzeba zmienić system tak, by materialna sytuacja rodzin decydujących się na drugie dziecko i kolejne nie ulegała pogorszeniu ani w trakcie ich wychowywania, ani tym bardziej w okresie emerytalnym, kiedy ta inwestycja rodziny daje najobfitsze owoce. Zmienić trzeba systemy: podatkowy, zasiłkowy, emerytalny, bo są one wytworem ludzkich decyzji, odzwierciedleniem takich, a nie innych preferencji i celów. Nie ma w nich nic inherentnie świętego czy niepodlegającego zmianie, choć zmiana z pewnością nie będzie łatwa.

Zjawiska demograficzne charakteryzują się olbrzymią bezwładnością porównywaną do braku zwrotności supertankowców. Cud demograficzny w Polsce może nie wydarzyć się z roku na rok, być może zajmie on lata lub dekady, ale jestem głęboko przekonany, że Polacy zareagowaliby na zmianę ekonomicznych bodźców w sferze rodzicielstwa równie energicznie jak na zmianę podejścia do pracy i przedsiębiorczości, która nastąpiła w naszym kraju po 1990 r. Czas na kolejny polski cud. Tym razem demograficzny.

© All rights reserved

Autor jest ekonomistą, przedsiębiorcą, opublikował książkę „21 milionów”.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Inwazja dziobaków

Człowiek coraz częściej gubi się w natłoku rozmaitych nowości. Ja na przykład z pewnym zaskoczeniem skonstatowałem, że ewolucja mocno zmieniła fizjonomię niektórych kobiet. Mianowicie wyposażyla je w dzioby.

Po raz pierwszy tego odkrycia dokonałem jakieś dwa lata temu w samolocie do Kluż-Napoki. Akurat gdzieś nieopodal tego pięknego miasta odbywały się jakieś mistrzostwa kulturystyczne. A że niewiele linii lotniczych tam dociera, kilka ekip z całej Europy leciało LOT-em przez Warszawę.

Podróżowanie z kulturystami to – szczerze mówiąc – nic fajnego. Miejsca i tak nie ma za wiele, a przy tych gigantach fotele wydają się jeszcze mniejsze niż zwykle. Mnie akurat posadzono z muskularną Szwedką, na którą bałem się zerkać. Ale kiedy już zerknąłem, to nie mogłem oczu oderwać. Nie od bicepsów, lecz od profilu. Oto bowiem spod nosa sportsmenki wyrastało coś w rodzaju płaskiego kaczego dzioba, wybiegającego znacznie dalej niż całkiem wydatny nos kulturystki (w ogóle wszystko miała wydatne). Na krańcu tego dzioba sytuowały się mięsiste, wydatne oczywiście, usta.

Szczerze mówiąc, dziewczyna wyglądała jak z kreskówki. Ale to brzydko gapić się na szczegóły czyjejś fizyczności, zresztą sam też urodziwy szczególnie nie jestem, więc wyciągnąłem książkę, zacząłem czytać. A wkrótce zapomniałem o tej fizjonomicznej ciekawostce.

Traf jednak chciał, że z Kluż-Napoki znowu wracałem z kulturystami. Było jeszcze ciałniej, bo prawie każdy dźwigał puchar albo pęk medali, a mnie znowu posadzono z jakąś czempionką. Tym razem bodaj z Finlandii. I – o dziwo – ona też miała taki dziób, à la australijski dziobak, a na jego końcu usta. Pomyślałem sobie, że kulturystki wspomagają się rozmaitymi preparatami i widać te środki powodują przyrost nie tylko masy mięśniowej, lecz także masy dziobowej.

Potem jednak zauważyłem, że na ulicach miast pojawia się coraz więcej dziewczyn, które zdecydowanie nie wyglądają na kulturystki, a jednak i one są, jakby to powiedzieć, zrobione na dziobaka. To znaczy mają pod nosem długi, płaski kawał ciała z ustami. To już mnie zaintrygowało, porozmawiałem z tą i ową i zostałem oświecony, że owe dzioby są wytwarzane specjalnie, aby powiększyć atrakcyjność kobiety. Prawdopodobnie jest to estetyczne następstwo robienia dzióbek podczas selfie. To tak jak z biustami. Ponieważ duże piersi uchodzą za seksowne, wiele kobiet je sobie powiększa. I na tej zasadzie: ponieważ dzióbki uchodzą za pojętne, kobiety powiększają je do rozmiarów dziobów.

Czy duże usta przytwardzone do końca dzioba mnie kręca? Hm, raczej rozśmieszają. Ale przecież nie dla mnie młode kobiety pompują sobie dzioby, więc zapewne przemawia przeze mnie zażyłość starego pierdziela. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Czy wiedzą, co czynią?

Po pogromie ulic stołecznych – gdzie jako patron nie ostał się ani Jacek Kaczmarski, ani Przemysław Gintrowski – obóz zwolenników „by było, jak było” odniósł sukces w Białymstoku, odbierając ulicę słynnemu dowódcy żołnierzy wyklętych – Łupaszce. Zapewne starsi, o bardziej wyczulonym słuchu, słyszeli w tym momencie chichot Gomułki i jego propagandzistów, a ja starałem się zrozumieć, komu to służy.

Oczywiście istnieje jakiś odsetek obywateli, pogrobowców KPP. Jednak czy aż tak liczny, żeby mu się podlizywać? W końcu istnieje partia lewicy, a nawet trzy, i one mogłyby zajmować się ochroną ubeków, gloryfikacją Armii Ludowej czy bohaterów PRL (takich jak Modzelewski czy Rzymowski), których tabliczki odrodziły się na warszawskich ulicach. Główne ugrupowanie opozycji, która swą historyczną szansę przegrała, przechylając się w lewo i zostawiając pole dla PiS (a także PSL), winna – przynajmniej formalnie – przedstawić się jako partia środka, patriotyczna, przychylna tradycji i przynajmniej neutralna wobec Kościoła. Czy chodzi o to, żeby za wszelką cenę grać rządzącym na nosie, a Łupaszka tylko oberwał rykoszetem w batalii przeciwko upamiętnianiu Lecha Kaczyńskiego?

Czym się kończy podlizywanie się lewicy, doświadczając dziś partii konserwatywne Zachodu. Krytykowały wprawdzie lewactwo podczas kampanii wyborczych, ale po zdobyciu

władzy nie czyniły nic, aby odbudować wpływy prawicy w instytucjach, w mediach. Szybko przegrały i dziś mogą tylko skowyczeć, że prawica antysystemowa, taka jak AfD, zajmuje ich miejsce i prędzej czy później dojdzie do władzy.

Jak groźna jest niefrasobliwość centrum, dowodzi sprawa Hiszpanii, gdzie zwłoki gen. Franco zostały ostatecznie usunięte z sanktuarium w Dolinie Poległych. Tutaj przypomnijmy, że podmadrycka nekropolia nie była panteonem frankizmu (jakimś odpowiednikiem mauzoleum Lenina w Moskwie), tylko symbolem pojednania, gdzie ci, „co bronili, i ci, co się wdarli, pierwszy raz pokój szczery i wieczny zawarli”. Prawicy nie udało się utrwalić własnej historii, opowiedzieć ją wielostronnie – ukazać alternatywę zwycięstwa Republiki, dylematy gen. Franco i jego sukcesy. Człowiek, który uratował Hiszpanię przed komunizmem, II wojną światową, pomagał Polakom i Żydom, doprowadził kraj do dobrobytu i demokracji, ma dziś mocno przytwierdzoną łatę faszysty i zbrodniarza. Teraz idea pojednania legła w gruzach. Obrona dobrego imienia bohaterów naszej niedawnej przeszłości to nie tylko dowód naszej wdzięczności i pamięci (im akurat jest to najmniej potrzebne), lecz także element walki o prawdę. Gdzie rozum śpi, tam legną się upiory, kto traci przeszłość, ten nie ma większych szans na przyszłość! ©©

Błąd zaczyna się już na poziomie definicji. Według niej symetryzm to „postawa ideologiczna zakładająca, że każdemu negatywnemu zjawisku zawinionemu przez dany obóz polityczny należy automatycznie przeciwstawić analogiczne negatywne zjawisko zawinione przez obóz jego przeciwników”. Przekładając to na język realnej polityki, właściwie można by podejście symetrystów streścić w popularnym w niektórych kręgach hasle „PiS PO – jedno zło”. Bo jeżeli każde negatywne zjawisko występujące w PO czy PiS – do tego przecież z grubsza sprowadza się dzisiejszy spór polityczny w naszym kraju – skonstruujemy błędem PiS czy PO, to na końcu tej drogi uznamy, że oba obozy polityczne są sobie równe, czyli również złe.

WŁĄCZYĆ UMYŚL

Najczęściej symetryzm jest przeciwstawiany tzw. dziennikarstwu tożsamościowemu, czyli jawnie wspierającemu jedną stronę sporu. Często nawet będącemu medialnym ramieniem jednego z politycznych obozów. Taka alternatywa jest jednak drogą na manowce.

Publicyści tożsamościowi są wszędzie na świecie i stali się stałym elementem debaty publicznej. A to dlatego, że współczesne media elektroniczne, zwłaszcza społecznościowe, zacierają granice między obserwatorami sceny politycznej a jej uczestnikami. Często piszący są jednocześnie jednym i drugim.

Tym bardziej potrzebni są komentatorzy, którzy nie tylko dokonują głębokiej analizy opartej na wyznawanych przez siebie wartościach – konserwatywnych, liberalnych czy socjalistycznych – lecz także oceniają w dłuższej perspektywie czasowej. Taka postawa zmusza i do krytycznego spojrzenia na zjawiska, i do znalezienia wiarygodnych punktów odniesienia – za granicą lub w naszej historii – oraz wyciągnięcia wniosków. Efektem takiej analizy będzie określenie, która z sił politycznych w naszym kraju jest bliższa ideałowi. Oczywiście to wymaga od autora przyznania, jakie wartości są dla niego najistotniejsze, ale jeszcze ważniejsze jest to, że będzie musiał wyteńczyć umysł, by przeprowadzić spójny wywód.

Symetryzm tego nie wymaga. Wystarczy przeciwstawić jedno zło innemu złu. Weźmy np. problemy, które obecnie ma PiS z szefem NIK Marianem Banasiem.

Przyjmując postawę i ideologię symetrystów, należałoby stwierdzić, że PiS i PO są sobie równe, bo zarówno poprzedni szef NIK, jak i obecny byli uwikłani w aferę.

Tyle tylko że nawet średnio zorientowany obserwator powinien zdawać sobie sprawę z tego, iż kryzysy są nieodłącznym elementem polityki. Władza przyciąga przecież nie tylko ludzi wspaniałych i wielkich, którzy kierują się szczytnymi ideami, lecz także tych

symetrystycznej jest presja otoczenia i obawa przed wykluczeniem. Jeśli publicysta przez lata był związany – także towarzysko – z jednym z obozów, to nagle trudno mu wprost przyznać, że potępia działania formacji, do której jest mu blisko, albo popiera postępowanie ugrupowania do tej pory znajdującego się na przeciwnym biegunie. Powiedzenie tego otwarcie pewnie wiązałoby się z zerwaniem dotychczasowych zna-

Symetryczna droga donikąd



Mariusz Staniszewski

Nie wiadomo dokładnie, kim są i o co im chodzi, ale uważają się za emanację zdrowego rozsądku i obiektywizmu. Jednocześnie odpowiadają za wyjałowienie debaty w Polsce. O kim mowa? O symetrystach

mniej szlachetnych, liczących głównie na pieniądze, blichtr i zaspokajanie ego. Kluczem do oceny obecnej sytuacji nie jest więc tylko skupienie się na samym Banasiu – tu sprawa zdaje się nie budzić już szczególnych wątpliwości – ale i na sposobie wyjścia z kryzysu.

Jak zachował się obóz Grzegorza Schetny wobec Krzysztofa Kwiatkowskiego, któremu – jako szefowi NIK – prokuratura postawiła zarzut nadużycia władzy w związku z ustawianiem konkursów na publiczne stanowiska? Udzieliła mu realnego wsparcia w wyborach do Senatu.

Jak zachowuje się kierownictwo PiS wobec Mariana Banasia? Odcina się od niego i domaga jego dymisji. Różnica jest widoczna. Nawet jeżeli takie zachowanie wynika z zimnej politycznej kalkulacji, to prowadzi do podnoszenia standardów.

Istotnym, może nawet kluczowym, powodem przyjmowania postawy

jomości, a nawet ostracyzmem i zyskaniem miana zdrajcy. Taka jest przecież logika plemienności dzisiejszego sporu politycznego w Polsce.

PUŁAPKA ŚRODOWISKOWA

Pozornie symetryzm ma być więc wyzwoleniem się z kajdan tego podziału i pozwala na zachowanie obiektywizmu i niezależności w ocenie sytuacji. W rzeczywistości jest to jednak ułuda. Uczciwa próba zachowania równego dystansu do dwu głównych obozów politycznych może opierać się jedynie na ocenie ich konkretnych działań dokonanej przez pryzmat polityczno-gospodarczo-kulturowych poglądów dokonującego analizę. W przeciwnym razie oceniający musi tworzyć ekwilibrystyczne konstrukcje, by krytykować, nie krytykując, albo chwalić, nie chwając. Tylko w ten sposób może pozostać w obecnym środowisku bez narażania się na miano odszcze-



tryzm. Jego ocena była raczej racjonalną oceną szefa instytucji dbającej o interesy pracodawców.

PORÓWNANIE NIEPORÓWNYWALNYCH

Najbardziej chyba destrukcyjna dla analizy sytuacji politycznej w Polsce jest konieczność wyszukiwania przez symetrystów błędów jednego obozu, będących

odpowiedzią
na potknięcia
drugiego. W ten sposób

prędzej czy później, choć raczej prędzej, symetrysta stanie przed koniecznością porównania zjawisk nieporównywalnych.

Jak można bowiem postawić obok siebie np. zamieszanie wokół nagród dla ministrów z czasów, gdy premierem była Beata Szydło, z aferą Amber Gold? Nie można, ponieważ w pierwszym przypadku nie było żadnego przekroczenia prawa. Co najwyżej można było mówić o niezręczności, której przeciętny obywatel nie odczuł we własnej kieszeni. W drugim zaś widzieliśmy, jak organa państwa pozwalają na ograbienie kilku tysięcy obywateli z oszczędności wartych niemal miliard złotych.

Albo czy uprawnione jest postawienie na szalach jednej wagi afery VAT-owskiej z wyczynami Bartłomieja Misiewicza? Pierwszy przypadek był dowodem destrukcji państwa na najwyższym poziomie. Powodował drenowanie budżetu centralnego na ogromną skalę i niszczył wolny rynek. Drugi przykład pochodzi raczej z dziedziny skutków działania wody

sodowej. Jest bulwersujący, ale przełożenie na rzeczywistość miał przecież znikomy.

Myślenie symetrystyczne musi zaprowadzić na manowce, bo polityka i historia rzadko się powtarzają, a jeśli już, to raczej jako groteska. Szukanie na siłę odpowiedników może doprowadzić do kompromitacji, jak to kiedyś było w przypadku Janusza Majcherka. Chcąc nadać niejednoznaczności napaści ZSR na Polskę 17 września, przypominał on, że Rzeczpospolita również uczestniczyła w rozbiorze innego państwa – Czechosłowacji w 1938 r. Porównanie zajęcia Zaolzia przez armię polską do zajęcia Kresów Wschodnich przez Sowiecie świadczy nie tylko o braku wiedzy historycznej, lecz także o nieumiejętności analizy.

Nie da się oceniać zjawisk polityczno-gospodarczo-kulturowych bez przyjęcia jasnego systemu wartości. Ludziom, którym bliskie są poglądy gospodarcze amerykańskich konserwatystów, pewnie nie będą się podobały programy socjalne przyjmowane przez obecny rząd. Czy jednak istnieje na polskim rynku politycznym inne wiarygodne ugrupowanie, które spełniłoby ich oczekiwania? Nie istnieje, bo partię Janusza Korwina-Mikkego trudno do końca traktować poważnie. A jeśli nie istnieje ideał, to jaka formacja będzie im bliższa? Ta, która nie serwuje „socjału” i podnosi podatki, czy może ta, która co prawda transferuje środki publiczne do biedniejszych, ale jednocześnie daniny obniża? Co jest tu ważniejsze?

A co będzie, gdy wejdziemy w sferę światopoglądową? Większą wagę przyłożymy do trzymania się naturalnej moralności opartej na chrześcijańskiej tradycji czy uznania, że wolność nie może być krępowana w żaden sposób, także przez tradycję? Amerykańscy libertarianie są wszak republikanami, nie demokratami.

Na takie pytania nie da się odpowiedzieć, zachowując symetryczny dystans do dwóch zmagających się obozów. Ocenę trzeba oprzeć na systemie wartości, który analityk uzna za lepszy, bardziej właściwy, bliższy jego sercu i bardziej służący dobru wspólnoty. Symetryzm ze swej istoty musi się skupiać na technice rządzenia, bo tylko wówczas może znajdować zło odpowiadające innemu złu. Nie jest w stanie ocenić celu, w jakim sprawowana jest władza. A to jest w niej najistotniejsze.

pieńca. Co prawda może być uznany za błądzącego, ale ciągle lewitującego w orbicie własnego obozu.

De facto więc symetryzm nie jest ucieczką od plemiennego podziału politycznego w Polsce, ale jeszcze bardziej go utrwała. Uznaje przecież jego determinującą rolę i nadrzędną siłę.

Przykładem tego, jak wyjść z tego zakłętą kręgu, może być ocena czterech lat rządów PiS przez Związek Przedsiębiorców i Pracodawców. ZPP, który jest w permanentnym konflikcie z rządem Mateusza Morawieckiego, wytknął popełnione – z ich perspektywy – błędy, ale jednocześnie nie mógł zamknąć oczu na ewidentne osiągnięcia. Ostatnią postawą, którą można by przypisać prezesowi ZPP Cezaremu Kaźmierczakowi, jest syme-

Zapiski z czasów II wojny światowej polskiego oficera Felicjana Pawlaka nie skupiają się na szczegółach działań wojennych, lecz raczej pokazują wpływ konfliktu na ciało i umysł wrażliwego człowieka uwikłanego w wir historii. Poniżej fragmenty wydanych niedawno dzienników polskiego żołnierza

5 V 1940, Ucieczka

Nigdy nie przypuszczałem, gdy w kwietniu 1940 r. przywieziono mnie do Oflagu VIII B, że tak szybko i bez komplikacji uda się znowu uciec. I oto teraz, zaledwie po miesiącu pobytu w ponurych fortach wybudowanych na południu Śląska przez starego Fryca, oddycham znowu powietrzem wolności. Szansa ucieczki z tych pilnie strzeżonych kazamat była bardzo mała. Obóz mieścił się w dwu fortach – Spitzberg i Hohenstein – grupując uciekinierów i starszych oficerów sztabowych, którzy narazili się Niemcom z tego czy innego powodu.

Zaczął się on zapępiać wczesną wiosną w miarę wzrostu ucieczek. Najstarszym oficerem był generał broni Tadeusz Piskor, a najbardziej przedsiębiorczym i wsławnym największą liczbą ucieczek do tej pory znany pisarz Jędrzej Giertych. Skonfrontowanie własnych przygód z innymi dawało nam w sumie bardzo dużą ilość informacji o sposobie poruszania się w Niemczech.

Rozpaczliwa natomiast była myśl, jak zorganizować ucieczkę. Mieszkaliśmy w dawnych kazamatach, których wąskie strzelnice wychodziły na silnie zadrutowaną fosę, za którą był płot kolczasty z wieżami wartowniczymi. Dalszą trudność stanowiła specjalnie dobrana obsada, której komendantem był pełen szowinizmu major, nazywany przez nas Greueltatą.

Próba wywieszenia kukły przed taką strzelnicę zakończyła się jej „rozstrzelaniem” i zamknięciem Giertycha i mnie do ciupy. Tydzień spędzony wspólnie był dla mnie uniwersytetem, a zacieśniona przyjaźń przydała się w najbliższych dniach. Z powodu przepełnienia Spitzbergu Greueltata zdecydował przenieść około 20 najmłodszych oficerów do drugiego fortu, do Hohenstein. W przeświadczeniu Niemców ucieczka z tego fortu była jeszcze mniej prawdopodobna, gdyż stał on na



Felician Pawlak FOT. NAC

skale otoczonej z trzech stron przepaścią. Aby nam w ogóle odebrać chęć do ucieczki, zamurowano przed naszym przyjściem wszystkie okna. To nam pomogło. Oto właśnie dziś, 6 maja, w mglistą niedzielę, wydłubaliśmy szczyrykiem otwór wystarczający, aby wyjść na zewnątrz. Połowę prześcierałem zużyliśmy na liny i w czasie między apelem a capstrzykiem 10 z nas zdołało uciec.

Z góry podzieliliśmy się na grupy i roz-pierzchliłmy się w milczeniu. Zostałem ostatni z moimi dwoma towarzyszami. Janek Gerstel – mój stary kolega z podchorążówki i towarzysz w pierwszej ucieczce – oraz Tadzio Wesołowski, warszawiak. Niezbyt chętnie braliśmy Tadzia ze sobą,

wysiłku. Noc jest ciemna i mglista. Siąpi lekki deszczyk. W dole przed nami widać kilka świateł i słychać głosy ludzi.

Wiemy, że w dole jest wieś. Postanawiamy pójść wzdłuż naszej szosy około 1 km i potem zejść w dół, by przejść na drugą stronę doliny. Po drodze napotykamy domek, w którym świeci się. Obchodzimy go łukiem i znowu znajdujemy się na szosie. Postanawiamy zejść niżej do następnej szosy. Nie jest to tak łatwe. Po trzydniowym deszczu ziemia oślizgła, wszędzie sączy się pełno strumyków. Zbocze jest strome, a ciemna noc nie pozwala nic rozróżnić. Może po godzinie uciążliwego marszu dostajemy się do asfaltowej szosy już za wsią.

jednak, że jesteśmy w pobliżu wielkiego mostu żelaznego nad doliną, a droga biegnie we właściwym dla nas kierunku południowym. Ruszamy więc pełni radości, że wiedzie się nam nadzwyczajnie. Droga jest dość dobra, co umożliwia szybki marsz. Idziemy ciągle pod górę w ogromnym lesie sosnowym czy świerkowym. Co chwila przekraczamy jakiś szumiący strumyczek. Jest tak ciemno, że nie widzę wyciągniętej przed siebie ręki. Gdzieś w głębi lasu huka sowa. Zalewa mnie taka fala dzikiej radości, że postanawiam raczej trupem paść, niż pozwolić sobie wydrzeć uzyskaną swobodę.

Maszerujemy raźnie, prawie bez odpoczynku. Co prawda pogoda nie zachęca zbyt do siadania na mokrej ziemi. Mija północ. Straciliśmy już naszą dobrą drogę i posuwamy się teraz zwykłą dróżką, których jest pełno w niemieckich lasach. Dzięki licznej siatce różnych dróg i drózek lasy te są bardzo łatwe do przebycia i to w różnych kierunkach. Właśnie podchodziliśmy pod górę, gdy doleciało nas ze szczytu szczekanie psa. Postanawiamy ominąć przypuszczalną zagrodę z prawej strony. Niestety za chwilę kończy się dróżka. Idziemy ścieżką, a potem przedzieramy się przez młody las świerkowy.

Tracimy zupełnie orientację. Wreszcie wchodzimy na jakąś drogę i po chwili schodzimy w dół przez mroczny las. Gdzieś w dole szum i potok. Kierunek drogi wydaje nam się trochę za bardzo w prawo, ale idziemy, gdyż ostatecznie możemy sobie pozwolić na pewne odchylenia na zachód. Po zejściu w dół pniemy się w górę. Tadzio robi uwagę, że zdaje się, iż szliśmy tą drogą. Oczywiście obydwa z Jankiem odrzucamy tę myśl. Jak można w tak ciemną noc poznawać drogę. Może być podobna, ale nie ta sama. A jednak niestety była ta sama.

Po półtoragodzinnym marszu przechodzimy w miejsce, gdzie słyszeliśmy szczekanie psa. Postanawiamy iść teraz w lewo. Niestety za chwilę znajdujemy się w krzakach, na bezdrożu.

6 V 1940, poniedziałek

Daję następującą propozycję: pójść w znane nam świerki i przespać się do rana. Jest godzina 1:30. Zamiast błędzić, wypocznijmy i wczesnym rankiem rozpoczniemy dalszy marsz – już na pewniaka. Może nawet będzie słońce.

Janek strasznie oburza się na mnie, że spuchłem, że już się zaczyna, ale sam

Dziennik z piekła

gdyż baliśmy się, że będzie zawałą i fizycznie nie podoła dojściu do Węgier, które były naszym celem. Mieliliśmy możliwość później zmienić zdanie.

Znowu na swobodzie

Nigdy nie przypuszczałem, że tak łatwo wyjdziemy z fortu. Trzeba jednak się śpieszyć. Spuszczamy się po stromym stoku w dół do szosy, którą widzieliśmy jeszcze ze Spitzbergu. Szosa ta asfaltowa biegnie na zachód. Powyżej niej znajduje się druga szutrowana idąca na jeden ze szczytów Gór Sowich. Przekraczamy jakiś błoniasty strumyk i wychodzimy na szosę. Już mamy ruszyć, gdy w pobliżu słyszymy bicie zegara. Nasze szczęście. Wyszliśmy znowu na szosę z Hohensteinu, która idzie serpentyną w dół, i jesteśmy o kilka metrów od mieszkania Greuelataty. Uciekamy w prawo po trawiastym zboczu. Wreszcie docieramy do pierwszej właściwej szosy. Tu odpoczywamy chwilę po ogromnym

Odpoczywamy chwilę i schodzimy dalej do szumiącego strasznie w dole potoku. Z góry jesteśmy przygotowani na przechodzenie w bród. Dziwimy się więc, widząc, że potok jest tak wąski, że można go bez wielkiego trudu przeskoczyć. Następnie teraz godzina mordegi pod górę. Jesteśmy wypoczęci, ale i mało zahartowani do tak wielkich wysiłków. Wreszcie wychodzimy na górę i trafiamy na jakiś drogowskaz. Świecimy zapałkami, by po długich trudach odczytać napis – Schle-sische Landweg. Są i znaki turystyczne, które nam nic nie dają. Orientujemy się

Zalewa mnie taka fala dzikiej radości, że postanawiam raczej trupem paść, niż pozwolić sobie wydrzeć uzyskaną swobodę

nie wiedząc, co czynić, w końcu się zgadza. Idziemy między młode chojaki i urządzamy legowisko z mokrych gałęzi. Dajemy na to jeden płaszcz, drugim się przykrywamy. Kto zna wojskowy płaszcz, ten może sobie wyobrazić, jakie to było przykrycie. Ten, który leżał w środku, a znalazł się tam bardzo szybko Tadzio, miał względnie wygodnie. Nie tylko miał przykrycie, ale jeszcze był ogrzewany przez obydwoch sąsiadów. Dwaj pozostali mieli do dyspozycji rękawy i brzeg płaszcza.

Oczywiście w północy każdy instynktownie ciągnął za poję, odkrywając drugiego skrzydłowego. Ten, odczuwając zimno, zaczynał się pieklić i płaszcz wędrował na stare miejsce. Muszę dodać, że miałem większe skłonności do zabrania płaszcza pod swój protektorat od Janka, który nieraz spokojnie znosił to, leżąc zupełnie odkryty. Mówiło się potem, że jest dobrym materiałem na bohatera.

Ale wracam do pierwszego naszego noclegowiska. Nierówne zbocze nie dawało wygody, grożąc zsunieniem się. Nakryliśmy głowy dla ochrony przed deszczem i rozpoczęliśmy spanie.

Zdaje mi się, że prawie wcale nie spaliśmy. Straszliwe zimno trzęsie całym ciałem. Wszędzie mokro, znoszę to ze spokojem, bo ostatecznie tak być musi, bo świadomie zdecydowałem się na tego rodzaju niewygody. Zaczynam tylko zęby. Ogarnia mnie zwierzęce uczucie bezsilności. Kulę się i odpycham nasuwającą się wizję ciepłego łóżka w Hohensteinie. Co też tam się dzieje? Temat ten zajmował nam już całą dotychczasową drogę. Cieszyliśmy się jak uczniaki z figla dokonanego Greuelta, skakaliśmy wprost z radości, wyobrażając sobie głupią minę Pippyblatta przy apelu porannym i wściekłość majora zawiadomionego o ucieczce. Poczucie dobrego kawału wyrządzonego Niemcom pozwalało zapomnieć o chłodzie i o trudach. A co też porabiają nasi kole-dzy? Ci w Hohensteinie śpią już zapewne. Jakże się jednak muszą cieszyć bez względu na obostrzenia, jakie ich trafiają. O, bo Greuelta będzie szalał: dodatkowe apele, wstrzymanie paczek, papierosów.

A co będzie z nami, o ile uda im się nas chwycić? Najbiedniejsi oczywiście będą ci pierwsi. I znów myśl biegnie do reszty towarzyszy ucieczki. I oni gdzieś

Straszliwe zimno trzęsie całym ciałem. Zaczynam tylko zęby. Ogarnia mnie zwierzęce uczucie bezsilności

tkwią zagubieni w górach, szczękając zębami w mokrym lesie. I jakże trudno ich znaleźć. Bo póki jesteśmy w lesie, to śmiejemy się z niebezpieczeństw. Las nas nie zdradzi. Skoro raz wziął nas w swoją opiekę, to już będzie dbał dalej jak ojciec. O bo on jest sprawiedliwy, dając słabszemu równe szanse do walki z silniejszym. Bo chociaż i w lesie istnieje walka, jest ona

o wiele szlachetniejsza od wojny totalnej. Przyroda czasem jest mądrzejsza od ludzi.

Zaczyna już świtać. Jest godzina 4:30 według czasu niemieckiego. Będę go ciągle używał w granicach Niemiec. Las rozśpiewuje się. Cudny koncert tysięcy ptaków pozwala mimo zimna rozkoszować się pięknem przyrody. Wynurzam głowę spod płaszcza. Deszczu nie ma, ale jest mgła. Widoczność na jakieś 100, 200 metrów. Wstajemy. Patrząc na sąsiedni las liściasty. Jak tu jest zielono. Piękna trawa, kwiaty, rozwijające się liście drzew i krzewów. Teraz dopiero widzimy, jak byliśmy odcięci od świata. Wiosenny szal przyrody oszalał nas.

O jakże piękna jest wolność. W krzakach rozbrzmiewają trele słowicze. Akompaniują im inne ptaki. Zabieramy się do odmarszu.

Najżywniejszą kwestią jest teraz ustalenie kierunku. Próbuje się uczynić przy pomocy mchu na drzewach. Szukamy też zbocza, gdzie trawa się więcej zieleni. Znajdujemy wreszcie kierunek południowy. Biegnie tu o 90° w prawo od poprzedniej drogi. Rażno ruszamy w kierunku, który w rzeczywistości jest północno-zachodni. Droga jest nam już teraz niepotrzebna. Idziemy na przełaj, ale liczna siatka dróg i duktów umożliwia nam wygodniejsze posuwanie się. Około 7:00 widzimy w dolinie przed sobą wieś z białym kościołem. Omijamy ją i wychodzimy na wąski język lasu. Słychać głosy z lewej i prawej strony. Niebezpie-

czeństwo! W dolinie z prawej strony jest droga. Za drogą las. Na drodze widzimy mijające nas trzy kobiety. Czekamy chwilę i biegiem przebywamy niebezpieczną polanę. Wędrujemy dalej lasem. Za pół godziny wchodzimy na skrzyżowanie sześciu dróg. Obok na drzewie kapliczka Matki Boskiej. Przy drodze paśnik dla sarn. Idziemy dalej w raz obranym kierunku. Wychodzimy na górę, z której znowu mamy widok na wieś. Gdzieś daleko słychać pociąg. Siadamy do śniadania. Składa się ono z dwóch kromek chleba ze smalcem i dwóch kostek cukru. Brak nam tylko wody. Nie wzięliśmy z sobą butelki i nieraz za to niedopatrzenie będziemy cierpieli.

Po śniadaniu ruszamy dalej. Szczekanie psa w przeciwległym lesie skłania nas do zboczenia na lewo. Tutaj niestety dochodzą nas głosy ludzi ładujących drzewo. Przechodzimy obok duktu, na którym spacerem gajowego ze strzelbą. Umykamy jeszcze dalej w lewo i ogromnym łukiem obchodzimy ludzi pracujących w lesie. Wreszcie, gdy weszliśmy na przeciwległą górę, błysnęło słońce. To nam dodało otuchy. Rozglądamy się w terenie. Przed nami duża dolina, częściowo niezalesiona, dalej góry, za którymi słychać pociąg. To musi być dolina Glatzu – zauważam.

Przebywamy szybko niebezpieczną łysinę. W dole biegnie droga, na której świeże ślady wskazują na częste jej używanie. Słyszymy głosy ludzkie i stuk siekiery. To drwale i chłopcy ładujący drzewo.

Zaczyna się niebezpieczne lawirowanie. Z napiętymi nerwami kręcimy się po lesie. Pozostaje nam jeszcze przebycie szerokiej drogi, za którą ciągnie się wysoce niepodszyty las. Ledwie zdążyliśmy ją przebyć, nadjeżdża wóz. Umykamy o ile możliwości, kryjąc się za drzewami. Według naszych obliczeń ludzie ci nie powinni jeszcze nic wiedzieć o naszej ucieczce. Będzie to możliwe dopiero jutro.

Dokucza nam silne pragnienie. Całe szczęście, że płynie moc strumyków. Piję prawie z każdego. Drapiemy się znów powoli na górę. Nikt nas nie niepokoi. Mimo całego niepokoju, jaki odczuwamy, i nurtującej głęboko obawy przed schwytaniem podziwiamy piękno przyrody. Staramy się nasycić za poprzednie dni i ewentualnie na zapas. Teraz po zakosztowaniu oddechu szerokiej przestrzeni sama myśl o powtór-nym zamknięciu w ciasnych murach fortu napawa nas lękiem.

© 2017 Wszelkie prawa zastrzeżone

Felician Pawlak,

opracowanie historyczne: Karol Łopatecki



FELICJAN PAWLAK
„Z OFLAGU DO
TOBRUKU
I W NIEZNANE.
DIARIUSZ
1939–1943”
INFORTEDITIONS
2019

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

7 LISTOPADA 2019 GALA WRĘCZENIA NAGRÓD

Tytuł **STRAŻNIK PAMIĘCI** przyznawany jest corocznie w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła, które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje, organizacje, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość o pamięć historyczną

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY



PATRONAT NARODOWY
PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ ANDRZEJA DUDY
W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

WSPÓŁORGANIZATORZY:

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



PROJEKT DOFINANSOWANY
ZE ŚRODKÓW MKiDN

PROJEKT ZREALIZOWANY
WE WSPÓŁPRACY
Z NARODOWYM
CENTRUM KULTURY

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNERZY GŁÓWNI:



PARTNERZY:



PATRONAT
MEDIALNY



eprasa.pl 395cb0c17b



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Gdańscy zakładnicy Hitlera

Dzieje Polaków mieszkających w Wolnym Mieście Gdańsku są tematem mało znanym szerszej opinii publicznej. A szkoda, bo były one niezwykle ciekawe. I tragiczne. Stanowiący nieznaczną mniejszość, otoczeni morzem niemieckich sąsiadów, nasi rodacy siedzieli na beczce prochu.

Ich los zależał od rozwoju relacji polsko-niemieckich. Byli zakładnikami Adolfa Hitlera, czy też raczej Alberta Forstera, gdańskiego gauleitera z NSDAP. Człowieka znanego z niechęci do Polaków.

Gdy wiosną 1939 r. doszło do gwałtownego zaostrożenia konfliktu między Warszawą a Berlinem, nie mogli tego nie odczuć polscy gdańszczanie. Świadectwem tych strasznych dni są ciekawe wspomnienia rodowitej gdańszczanki Ireny Jabłońskiej-Kaszewskiej, wydane właśnie przez IPN.

„Dziadek nosił w klapie marynarki odznakę Związku Polaków – wspominała. – Kiedyś szliśmy razem ulicą i zaczęło nas dwóch esesmanów. Zaczęli szarpać dziadka za kłapy i nie wiem, jak by się to skończyło, gdyby za nami nie szli dwaj wujkowie, którzy odciągnęli drabów

i odpowiednio ich potraktowali”.

Gdańscy esesmani byli wyjątkowo agresywni wobec Polaków. Od samego początku istnienia tej organizacji dochodziło do ataków brunatnych bojówek na kibiców piłkarskich na meczach Gedanii. Wybijania szymb w polskich klubach, napaadów na harcerzy i polskich urzędników. Stacjonujący w Gdańsku komisarz Ligi Narodów był bezradny.

Autorka miała szczęście i uciekła z Gdańska we wrześniu 1939 r. Krótko po wybuchu II wojny światowej. Los wielu polskich gdańszczan, którzy zostali na miejscu, był tragiczny – zostali zgładzeni przez Niemców.

Pani Jabłońska-Kaszewska znalazła się w Toruniu, a do rodzinnego miasta wróciła dopiero po wojnie. Wróciła do morza ruin.

„Wyzwolenie” przez żołnierzy Armii Czerwonej zapamiętała zaś jak piekło. „W nocy barykadowaliśmy drzwi, bo dobijali się kolbami – wspominała. – Rabowali też zegarki ręczne i zegary wiszące, rowery i fortepiany. Zachowywali się jak barbarzyńcy”.

Bardzo ciekawe wspomnienia ukazujące tragizm polskich losów w XX w. I to z kobiecej perspektywy! © ©



★★★★★
IRENA
JABŁOŃSKA-
KASZEWSKA
„ZE WSPOMNIENI
GDAŃSKIEJ
LEKARKI”
IPN GDAŃSK



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Piłsudski i Kraków 1923

Wpołowie 1923 r. Piłsudski zrezygnował z funkcji szefa Sztabu Generalnego, oficjalnie wycofując się z życia politycznego. Czas pracował na jego korzyść – gwałtownie pogarszała się sytuacja wewnętrzna państwa. Hiperinflacja sparaliżowała gospodarkę, w październiku 1923 r. ceny w sklepach wzrastały w ciągu

wielu zabitych, szerzyły się też pogłoski, że Marszałek już wyruszył do Krakowa. Żołnierze odmawiali wykonywania rozkazów i bratli się z tłumem, większość miasta znalazła się pod kontrolą demonstrantów.

Gabinet Witosa zdecydował się na ustępstwa, a mediacji podjęli się liderzy PPS. Socjaliści obawiali się prawicowego zamachu stanu, na równi z rewolucją komunistyczną. Sprzeciwiali się również przejęciu władzy przez Piłsudskiego, a Feliks Perl stwierdził wprost, że „Piłsudski nie jest naszym człowiekiem” i nie można go używać „jako dowcipnego sposobu robienia rewolucji”.

Inna sprawa, że tempo wydarzeń w Krakowie zaskoczyło Marszałka. Nie był przygotowany na gwałtowny wybuch niezadowolonych społecznego ani na błyskawiczne spacyfikowanie nastrojów. W walkach zginęły przecież 32 osoby, 200 zostało rannych, a spokój przywrócono niemal natychmiast. A może sam uznał, że jest jeszcze zbyt wcześnie na wystąpienie? Rok wcześniej Władysław Sikorski w rozmowie z marszałkiem Sejmu, Maciejem Ratajem, zauważył, że zachowanie Piłsudskiego zmierza „do wywołania chaosu, w którym mógłby wyrósć na męża opatrnościowego, ale Piłsudski jest połowiczny i na szczęście chce, by inni robili za niego »zamach«”. Niespełna trzy lata później Komendant już nie był „połowiczny”, tylko zdecydowanie sięgnął po władzę. Inna sprawa, że za cenę znacznie większej liczby ofiar niż w Krakowie. © ©

5 listopada doszło do starć robotników z policją, po obu stronach byli ranni

dnia o 10, a nawet 20 proc. Pracownikom wypłacano wynagrodzenie dwa razy dziennie i umożliwiano wyjście na miasto, by zrobili zakupy przed kolejną podwyżką. Kraj ogarnęła fala strajków, a rząd Wincentego Witosa odpowiedział mobilizacją pracowników kluczowych sektorów. Kolejarzy powołano do wojska i wysyłano ich jako żołnierzy na swoje stanowiska pracy.

Kulminacja niezadowolonych nastąpiła w Krakowie. 5 listopada doszło tam do starć robotników z policją, po obu stronach byli ranni. W nocy odbyła się u Piłsudskiego w Sulejówku narada i do Krakowa ruszyła grupa jego zwolenników. Kiedy dotarli pod Wawel, na ulicach trwały już walki. Policja i wojsko otworzyły ogień, ale robotnicy, wznosząc okrzyki: „Niech żyje Piłsudski” i „Precz z Witosem”, rozbrajali przeciwnika. Było

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



**Tylko u nas! Sensacyjny
wywiad z egzekutorem
CIA, który miał zabić
Fidela Castro!**

Piotr Włoczyk – **Odyseja polskiego złota**
Sławomir Cenckiewicz – **Walka płk. Matuszewskiego**
Adam Zamoyski – **Napoleon nie kochał Polaków**
Maciej Rosalak – **Wojna prewencyjna z Hitlerem**
Tomasz Stańczyk – **Afera, która wstrząsnęła Lwowem**
Jakub Ostromięcki – **Krwawe wojny amerykańskich gangów**
Sławomir Koper – **Imperium wódki Baczewskiego**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Tomasz Lenczewski

Zginął przypadkiem, w efekcie brawury, ale jego śmierć miała duże znaczenie w tworzeniu się armii polskiej we Francji w trakcie I wojny światowej

*Dwudziestą piątą zniósł kulę ognistą
Szujski jak w przyszłość, w sztandar zapatrzonej
Całego ducha wlewał w pierś śnieżystą
Ocalił orła i sam padł rażony.*

Władysław Szujski (1865–1914) był synem historyka i polityka konserwatywnego Józefa Szujskiego. Dwa lata po śmierci ojca Władysław podjął studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim, które kontynuował we Lwowie i w Wiedniu. Stopień doktora praw uzyskał w Krakowie. Początkowo podjął pracę w charakterze koncyprysty Prokuratury Skarbu w Krakowie. Funkcja urzędnicza przynosiła jednak niewielkie dochody. Z tego powodu i ze względu na zawarte małżeństwo Szujski zaangażował się w działalność gospodarczą. Nadal pracował w prokuraturze, gdzie z czasem objął funkcję przewodniczącego komisji do spraw wymiaru podatków.

W 1898 r. ostentacyjnie zrezygnował z tej pracy. Publicznie zarzucił swemu zwierzchnikowi stosowanie nadmiernej polityki fiskalnej w Galicji w porównaniu z innymi częściami habsburskiej monarchii. Na początku XX w. interesy Szujskiego zaczęły układać się nie najlepiej.

Borykający się z problemami finansowymi i rozgoryczony swoją sytuacją Szujski wyjechał w roku 1913 za granicę. Pełnił tam funkcję przedstawiciela galicyjskiego przemysłu naftowego. Początkowo przebywał w Berlinie, ale wkrótce przeniósł się do Paryża.

POD SZTANDAREM BAJOŃCZYKÓW

Po wybuchu I wojny światowej zawiązał się w Paryżu Komitet Wolontariuszy Polskich. Do komitetu zgłosił się, jako jeden z pierwszych, dobiegający pięćdziesiątki Władysław Szujski. Znalazł się on ostatecznie w szeregach pierwszego pułku Legii Cudzoziemskiej. W jego blisko 200-osobowej drugiej kompanii większość stanowili



Obraz pt. „Śmierć chorążego Władysława Szujskiego” pędzla Jana Styki (współtwórcy „Panoramy Racławickiej”)

FOT. WIKIPEDIA

Śmierć chorążego Szujskiego

Polacy. W celu osłabienia jej narodowego charakteru dodano do niej nieco Czechów. Mimo to ambasador rosyjski w Paryżu, Izwolski, zaprotestował przeciwko stworzeniu takiej narodowej jednostki (w przyszłości miało to wpływ na rozproszenie dalszych polskich ochotników).

Jeszcze kiedy wolontariusze stacjonowali w Paryżu, w kompanii zawiązano coś na wzór dawnego „koła rycerskiego”. Obwołało ono 19 sierpnia 1914 r. Władysława Szujskiego chorążym kompanii. Pod koniec sierpnia 1914 r. jednostkę wysłano na przeszkolenie do Bajonny nad Oceanem Atlantyckim na południu Francji. Stąd przyłęgła do niej nazwa „bajończycy”.

Wymarsz oddziału spod Pałacu Inwalidów w Paryżu był imponujący. Na czele maszerował Szujski z zaimprovizowanym sztandarem polskim wykonanym naprędce z jakiejś bawełnianej płachty.

Publiczność na ulicach Paryża zdejmowała nakrycia z głów, a wojskowi salutowali „polskim straceńcom”. W kompanii służył również artysta i późniejszy rzeźbiarz Xawery Dunikowski. Namówiony przez Szujskiego, zgodził się wspólnie z malarzem Janem Żywnowskim zaprojektować dla nich prawdziwy sztandar. W istocie naszkicował stylizowanego i modernistycznego orła, w dodatku bez korony. Dzięki przychylności właścicieli magazynu wyrobów hafciarskich w Bajonnie amarantowy sztandar ze srebrnym orłem został wykonany na jedwabiu. Sztandar uroczyście wręczył Polakom mer miasta Bajonny, a następnie poświęcono go w miejscowej farze.

Wszystko to działo się nieformalnie i nie było na to oficjalnego przyzwolenia władz francuskich. Jedynie panująca przychylność wobec polskich ochotników pozwoliła tolerować symbol. Ponieważ jednostka francu-

ska posiadała własny sztandar, ten z orłem musiał spocząć w tornistrze chorążego. Po przeszkoleniu kompania bajorczyków pod dowództwem por. Maxa Doumicy wyruszyła na front walki z Niemcami na polach Szampanii.

NA FRONCIE

W końcu października 1914 r. polska kompania w składzie batalionu „C” pułku pierwszego Legii Cudzoziemskiej znalazła się na froncie nad rzeką Aisne w okolicach Reuilly de Champagne, Mailly i Sillery. Pułk wszedł w skład 4. Armii Francuskiej. Przydzielono mu miejsce obok 50. Pułku Piechoty. Początkowo działania frontowe oddziału ograniczały się do drobnych starć z nieprzyjacielem, była to bowiem typowa wojna pozycyjna. Nie obyło się bez strat własnych. Poległ m.in. francuski dowódca polskiej kompanii.

W drugiej połowie listopada jednostka polska została zluzowana. Wtedy to od złapanych jeńców niemieckich dowiedziano się, że stojące naprzeciw pułki niemieckie składają się w znacznej mierze z Polaków – Wielkopolan. Polscy ochotnicy powzięli wówczas myśl, aby spróbować przeciągnąć ich na stronę francuską. Plan ten został zaaprobowany przez francuskie dowództwo odcinka frontu. W tym celu do akcji propagandowej postanowiono wykorzystać sztandar spoczywający dotąd w taborach.

24 listopada 1914 r. grupa 25 legionistów polskich pod dowództwem sierż. Lucjana Malcza wyruszyła z miejsca postoju na front, aby przeprowadzić akcję propagandową. Pomaszerowali do przedniego skraju okopów 50. Pułku Piechoty francuskiej. Trzy dni później polska grupa osiągnęła skrajnie wysunięte okopy francuskie w rejonie Sillery.

Dowódca prosił bajorczyków, aby nie narażali zbyt wiele życia. Pierwszy dzień akcji polegał głównie na śpiewaniu „Marsylianki” i polskich pieśni narodowych, np. „Bogurodzicy”, „Roty” czy „Warszawianki”, oraz krakowiaków ułożonych specjalnie na tę okoliczność przez chor. Szujskiego. Ponadto przez tubę wołano w stronę okopów niemieckich po polsku, aby żołnierze wroga przechodzili do swoich, do Polaków. Od strony okopów niemieckich odpowiedziano również po polsku, choć z niedowierzaniem. Dialog został nawiązany.

Bajorczycy obiecali rodakom z niemieckich okopów, że następnego dnia – na dowód potwierdzenia swoich intencji – pokażą im własny sztandar. Wiadomość

o nawiązaniu kontaktu była dla dowództwa francuskiego o tyle ważna, że zarządziło ono o godz. 22 salwy armatnie na froncie i wivaty na cześć Francji, Polski i Rosji... W tym samym czasie Niemcy świętowali zwycięstwo nad armią rosyjską pod Łodzią, choć bitwa ta w istocie nie została rozstrzygnięta.

Następnego dnia, w rocznicę wybuchu powstania listopadowego, wznowiono akcję propagandową na froncie. Chorąży Szujski wydobyl z tornistra sztandar i na zdobytych z trudem drzewcu wymachiwał nim z okopów. Nawoływania przez tubę pozostawały jednak bez odpowiedzi. Według innej wersji ze strony okopów niemieckich żołnierz dał czapkę znak mający oznaczać, że Polaków z tego odcinka frontu przesunięto. Bajorczycy przemieścili się dalej w okopach. Kiedy ponownie sztandar polski załopotał, nastąpiła w jego kierunku ze strony niemieckiej potężna salwa karabinowa. Szujski uznał, że kule zbyt szybko dziurawią sztandar, i wychylił się nadmiernie z okopów, aby go zwinąć. Wtedy dosięgła go kolejna salwa niemiecka. Chorąży został trafiony niemieckim pociskiem, który przeszył mu głowę na wylot, i padł na wznak na przedpiersiu okopu.

KULT BOHATERA

Po śmierci Szujskiego sztandar chwycił ochotnik Łodziński i wręczył go dowódcy grupy – sierż. Malczowi. Ten ostatni przekazał go wolontariuszowi Ludgardowi Morgiewiczowi, który stał się tymczasowym chorążym. Nowy chorąży zatknął sztandar na okopie. Tymczasem Niemcy kontynuowali ostrzał, więc ochotnicy zwinęli poszatkowany kulami sztandar i cofnęli się do okopów. Zabrali też ze sobą ciało poległego chorążego i dotarli do schronów dowództwa 50. Pułku Piechoty francuskiej. Ciało Szujskiego spowito przestrzelonym sztandarem. Złożono je na prowizorycznym katafalku skleconym naprędce w szopie. W dłonie Szujskiego włożono obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej. Przez blisko dobę polscy ochotnicy pełnili przy swoim chorążym wartę honorową. Miejsce to odwiedzali także Francuzi, w tym wyżsi oficerowie i generałowie.

Pogrzeb Szujskiego przypominał defiladę. Podczas tej uroczystości, w której brali udział także przedstawiciele francuskiego dowództwa pułku, pochowano Szujskiego w niewielkim lasku, kilkaset metrów od okopów niemieckich. Uczestnicy pogrzebu własnymi rękami usypali grób swego

pierwszego chorążego. Francuscy dowódcy ogłosili uroczyste przemowy nad grobem. Zapewniali w nich Polaków o przyjaźni i braterstwie na przyszłość, pojawiły się deklaracje, że Francja nie zapomni o zasługach Polaków wobec narodu francuskiego. Śmierć chorążego została wspomniana w rozkazie dowództwa francuskiego następującymi słowami: „Ladislaus Szujski, żołnierz polski, patriota, poległ chwaleśnie, bohatersko wbijając flagę odradzającej się Polski na okopie niemieckim”.

Tymczasowy grób bohaterskiego chorążego kilka lat po I wojnie światowej został w ramach porządkowania mogił wojennych przeniesiony na cmentarz wojenny w Notre Dame de Lorette, niedaleko Lille. Nie był to jednak kres jego wędrówki. Ostatecznie spoczął na cmentarzu wojennym w Aubérive w departamencie Marna.

Pierwszym, który opisał w miarę krytycznie czyn Władysława Szujskiego, był Władysław Gąsiorowski. Z kolei Jadwiga z Niemcewskich Łasińska poświęciła mu wiersz.

W tym samym czasie z dala od frontu powstała legenda, która podkoloryzowała śmierć bajorczyka. Polski bohater, jak głoszone w Paryżu, poległ w ataku na bagnety ze sztandarem w dłoniach. Podchwycił to malarz Jan Styka (współtwórca „Panoramy Racławickiej”), również działacz Komitetu Wolontariuszy. Namalował on obraz pt. „Śmierć chorążego Władysława Szujskiego”, dziś wiszący w Muzeum Lubelskim w Lublinie. Na płótnie Styki główny aktor kompozycji Szujski niczym prawdziwy chorąży pułkowy trzyma w prawej dłoni szablę, a w lewej rozwinięty sztandar; tak ginie w walce, której w istocie nie było. Obraz stanowiący apoteozę bohaterskiego czynu reprodukowano później na tysiącach pocztówek patriotycznych. Na marginesie warto wspomnieć, że sztandar bajorczyków, z którym poległ polski bohater, został przestrzelony 34 pociskami. Ocalały po dziejowych perturbacjach, ze śladami po kulach, znajduje się obecnie w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

Przypadkowa śmierć chor. Władysława Szujskiego, który wychylił się z okopu w momencie jego ostrzału przez Niemców, była konsekwencją brawury i wynikała z nie do końca przemyślanej akcji propagandowej. Jednak jej znaczenie moralne dla sprawy polskiej było bardzo ważne pod względem wizerunkowym dla działań werbunkowych i tworzenia armii polskiej we Francji.



Maciej Szymanowski

Zwycięstwo antyfideszowej koalicji w Budapeszcie pokazało siłę opozycji podobnej do polskiego anty-PiS. Teraz czeka ją czas próby

W cieniu kampanii i wyborów z 13 października w Polsce na Węgrzech odbyły się wybory samorządowe, które w wielu dużych miastach, w tym w stołecznym Budapeszcie, wyniosły do władzy przedstawicieli naddunajskiej totalnej opozycji. Jak zwykle w takich przypadkach jedni przy tej okazji odrzucili początek końca rządów Fideszu, inni wynik wyborów samorządowych traktują w kategoriach wypadku przy pracy. Co jednak rzeczywiście zdarzyło się 13 października na Węgrzech?

GRZEGORZ BOŻE NARODZENIE

Wybory samorządowe po raz kolejny wygrała rządząca nieprzerwanie od 2010 r. koalicja stworzona przez Fidesz i chadecką KDNP, której kandydaci zdobyli tyle głosów, że gdyby głosowanie dotyczyło innych wyborów – parlamentarnych, przyniosłoby to premierowi Viktorowi Orbánowi 60-procentową większość w Zgromadzeniu Narodowym (zamiast obecnej 67-procentowej). Rządząca koalicja zdobyła też większość we wszystkich wojewódzkich radach będących odpowiednikami naszych sejmików. Z drugiej strony, z woli wyborców opozycyjni burmistrzowie zdobyli władzę w czterech z pięciu największych miastach kraju: Budapeszcie, Miskolcu, Peczku i Segedynie (Debreczyn pozostał w rękach Fideszu). Najgłośniejszym echem odbiła się oczywiście zmiana na stanowisku nadburmistrza Budapesztu, gdzie niebędący członkiem Fideszu, ale wspierany przez tę partię István Tarlós musiał uznać wyższość Gergelya Karácsonya, który zdobył 51 proc. głosów. Jak to osiągnął i kim w ogóle jest Gergely Karácsony, którego wysłannicy zdążyli już pojawić się w ostatnich dniach października w Warszawie z propozycją zawarcia tzw. paktu wolnych stolic?

Gergely Karácsony, czyli w tłumaczeniu na język polski: Grzegorz Boże Narodzenie, pochodzi z małego mia-

steczka Fehérgyarmat położonego na wschodnich rubieżach Węgier. Po ukończeniu gimnazjum w Debreczynie tak jak wielu innych młodych Węgrów nie tylko przyjeżdża na studia do Budapesztu, lecz także po ich ukończeniu stara się za wszelką cenę pozostać w stolicy, w której możliwość zamieszkania i pracy do dzisiaj jest traktowana na Węgrzech jako widomy znak zrobienia życiowej kariery.

ra (2009–2010) i jednego z najbogatszych Węgrów – Gordona Bajnaia. W 2014 r. Karácsony zostaje wiceprzewodniczącym tej małej, liczącej niespełna 500 członków, ale zaprzyjaźnionej z innymi postkomunistycznymi ugrupowaniami i niecierpiącej na brak środków finansowych partii, co toruje mu drogę do stanowiska burmistrza Zugló – trzeciej co do wielkości dzielnicy Budapesztu. Na tym stanowisku



W 2000 r., jako świeżo upieczony absolwent socjologii stołecznego Uniwersytetu ELTE, Karácsony prowadzi wykłady, pracuje w ośrodku badań opinii publicznej Medián, pisuje do postkomunistycznego dziennika „Népszabadság”. Ponieważ nie udaje mu się uzyskać doktoratu, ostatecznie porzuca świat nauki i angażuje się w politykę. W wyborach parlamentarnych w 2010 r. uzyskuje mandat poselski z list powołanej wówczas do życia węgierskiej partii zielonych o niecodziennej nazwie: Polityka Może Być Inna. Trzy lata później wiąże jednak swoje życiowe losy z inną lewicową partią – Dialogiem na rzecz Węgier – założoną przez ostatniego postkomunistycznego premie-

Karácsony co prawda niczym szczególnie się nie wyróżnia (może poza wprowadzeniem nowego systemu opłat za parkowanie, który nie przynosi dzielnicy zysków), ale też niczym szczególnym nikomu się nie naraża, co – jak wkrótce się okaże – ostatecznie utoruje 44-letniemu dziś politykowi, obdarzonemu słusznym wzrostem (198 cm) i chłopięcą urodą, drogę do prestiżowego stanowiska nadburmistrza Budapesztu.

Czas pokaże, w jaki sposób nadburmistrz Karácsony zrealizuje swoje obietnice wyborcze, takie jak podwojenie liczby mieszkań komunalnych w cztery lata czy zasadzenie miliona drzew w mieście, którego gęsta zabudowa już przed stu laty

uniemożliwiła istnienie choćby podwórkowych rozmiarów boiska piłkarskiego, jak doskonale opisuje to znana na całym świecie powieść Ferenca Molnára „Chłopcy z Placu Broni”. Chociażby jednak z powodu pojęcia, które Jarosław Kaczyński na trwałe wprowadził do politologicznych rozważań, wspominając przed laty o „Budapeszcie w Warszawie”, warto nieco szerzej przyjrzeć się wynikowi wyborów



Lewicowy Gergely Karácsony sporo obiecał budapeszteńczykom, teraz musi się z tego wywiązać. FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

samorządowych na Węgrzech. Tym bardziej że równoległe podobnej analizie poddawane są nad Dunajem ostatnie wybory parlamentarne w Polsce. Na prawicy jednoznacznie przyjęte z westchnieniem ulgi, a zarazem nadzieją nie tylko na trwanie wspólnego frontu wobec polityki lewicowo-liberalnych kręgów w Brukseli, lecz także na dalsze zacieśnianie współpracy wyszehradzkiej.

MŁODZI, MEDIA I SIĘĆ

Zacznijmy od tego, że wybory samorządowe na Węgrzech pokazały siłę odpowiednika polskiego anty-PiS, czyli szerokiej koalicji tworzonej przez postkomunistyczną MSZP i jej różne

odłamy, przez lewackie Momentum do skrajnie prawicowej, a nawet oskarżanej o faszyzm i bycie piątą kolumną Kremla w kraju partii Jobbik. Szczególnie młodzi wyborcy, z których punktu widzenia Viktor Orbán i Fidesz – czy to jako partia rządząca, czy jako główny punkt odniesienia dla rządzących – są w najwyższej polityce „od zawsze”, okazali się podatni na argumenty zachęcające do zmiany obecnego układu sił na Węgrzech. Resztę zrobiły zawsze słusznie brzmiące hasła o potrzebie zapewnienia lepszej jakości powietrza i wody oraz... tanich mieszkań.

Po drugie, wybory ukazały słabość siły oddziaływania prawicowych mediów. Wbrew powszechnie, także w Polsce, powielanym stereotypom Fidesz nie ma za sobą większości mediów. Tutaj na rynku telewizyjnym dominuje Grupa RTL, w Internecie lewicowy portal informacyjny Index.hu, a radio i prasa o charakterze konserwatywnym dopiero próbują odbudować swoje wpływy dzięki niedawno powołanemu do życia koncernowi państwowemu KESMA.

Sprawa nie bez znaczenia w sytuacji, gdy – jak ujawnił po wyborach przewodniczący węgierskiego parlamentu László Kövér słuchaczom Narodowego Uniwersytetu Służby Cywilnej – Facebook w czasie kampanii wyborczej ograniczał dystrybucję materiałów reklamowych kandydatów Fideszu, zwłaszcza w Budapeszcie. Co prawda, zarówno sam Facebook, jak i cała opozycja zaprzeczają stosowaniu takich praktyk, ale zaprzeczenia te nie brzmią do końca wiarygodnie. Chociażby przez prestiżowy węgierski think tank Századvég, która udowadnia, że np. użycie w wypowiedzi węgierskich słów „uchodźca/imigrant” oraz „terroryzm/przestępstwo” z automatu skutkuje zablokowaniem posiadanego na Facebooku konta.

Zwycięstwo koalicji anty-Fidesz w Budapeszcie i kilku innych większych węgierskich miastach czeka obecnie długi czas próby. Kolejne wybory, parlamentarne, przypadają dopiero na 2022 r., a przez ten czas tak szeroka koalicja (odpowiednik: Die Linke, SPD, Zielonych i AfD, aby użyć tutaj porównania z niemiecką sceną polityczną) wcale nie musi przetrwać.

Zwycięstwo w wielkich miastach, zwłaszcza w Budapeszcie, którego nadburmistrz nie tylko protokolarnie jest traktowany jako osoba w randze ministra, niesie ze sobą oczywiście silny nabój emocjonalny, zachęcający poli-

tyków opozycji do kolejnych wysiłków. Jednocześnie sytuacja ta niewiele jednak zmienia w dostępie do zasobów ludzkich i finansowych, jeśli się weźmie pod uwagę, że lewica na Węgrzech po 1989 r. reprezentuje interesy wielkiego kapitału i oligarchów. Miała i ma dostęp do środków finansowych, dominuje na rynku mediów i zwycięstwo wyborcze w stolicy oraz kilku innych większych miastach nic istotnego w tej sytuacji nie zmienia.

Bez wątpienia nową jakością jest natomiast wezwanie nowego nadburmistrza Budapesztu skierowane do prezydentów wyszehradzkich stolic – wywodzących się z różnych, co warto zauważyć, ale zawsze opozycyjnych wobec partii aktualnie rządzących ugrupowań w Polsce, na Słowacji (socjaldemokratyczny Smer), w Czechach (liberalne ANO). Jak to ujął nadburmistrz Karácsony w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”: „W każdym z naszych krajów rządy odciągają nas od centrum Europy. Opierają się temu tylko wielkie miasta. W każdej z czterech stolic rządzą postępowi prezydenci, co daje szansę na współpracę [...]. Stworzymy koalicję i nie pozwolimy zniszczyć demokracji w naszych krajach”.

Co miałyby być celem tej koalicji? Wbrew znanemu powiedzeniu tutaj akurat jest wszystko jasne: chodzi o pieniądze. A ściślej – o zachowanie unijnych pieniędzy, które miałyby do wspomnianych stolic dalej płynąć szerokim strumieniem, pomimo że stały się one w swoich państwach najbogatszymi regionami, całkiem nieźle się prezentującymi – także na tle średniej unijnej zamożności. Niewykluczone, że walutą przetargową prezydentów stolic miałyby być nieposłuszeństwo, a przynajmniej lekceważenie władz centralnych w państwach Grupy Wyszehradzkiej. W państwach, których emancypacyjne zapędy czy twarda postawa wobec masowej imigracji nie-Europejczyków do Europy, mówiąc delikatnie, nie budzą entuzjazmu w tzw. starej Unii.

Czy i w jakim zakresie zaproponowany przez nadburmistrza Karácsonya pakt wolnych miast, skierowany tak naprawdę zarówno do prezydentów wyszehradzkich stolic, jak i Brukseli, ma szansę powodzenia, dowiemy się zapewne wkrótce po ukonstytuowaniu się nowej Komisji Europejskiej. A może, kto wie, nawet jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dyrektorem Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka.



Agnieszka Niewińska

Filmowa historia kobiety, która przez lata robiła karierę w klinice aborcyjnej, a dziś jest działaczką pro-life, za oceanem była sekowana przez przemysł rozrywkowy i internetowe giganty. Film „Nieplanowane” właśnie trafił do polskich kin

Abby Johnson miała 21 lat, kiedy pierwszy raz pojawiła się w klinice amerykańskiego aborcyjnego giganta Planned Parenthood. Początkowo w roli wolontariuszki. Na parkingu kliniki witała zatrzymujące się tam kobiety, które przyjechały, by dokończyć aborcji. Wolontariuszki wysyłano do tych kobiet po to, aby nie rozmyśliły się pod wpływem argumentów stojących za płótnem aktywistów pro-life.

Młoda Johnson Planned Parenthood złowiło w college'u. I chociaż pochodziła z konserwatywnej rodziny, to aborcjonisci zdołali ją przekonać, że ich głównym działaniem jest po prostu zapobieganie niechcianym ciążom.

Szybko odnalazła się w zespole kliniki i przejęła narrację jej pracowników. Sama dwukrotnie dokonała aborcji. Z wolontariuszki stała się pracownicą, i to szybko pnącą się w firmowej hierarchii. Już nie witała kobiet na parkingu, ale przekonywała do usunięcia ciąży, pokazywała im, że to rozwiązanie, które im służy, bo dziecko przeszkodzi im w dokończeniu edukacji, w karierze zawodowej.

WOLNOŚĆ SŁOWA NIE DLA WSZYSTKICH

W końcu Johnson awansowała na dyrektora kliniki Planned Parenthood w Bryan w Teksasie. Była nagradzana za swoją pracę. W 2008 r. została nawet pracownikiem roku Planned Parenthood. Przyznaje, że jest współodpowiedzialna za przeprowadzenie przeszło 22 tys. aborcji w klinice w Bryan.

– Myślałam, że będę pracować w Planned Parenthood do emerytury. Wierzyłam, że postępuję właściwie, że pomagam innym. Było to miejsce,



FOT. MATERIAL PROSSIVE

Ten film wstrząsnął Ameryką

w którym chciałam zostać i kontynuować pracę. Byłam z niej bardzo dumna. Byłam wtedy bardzo młoda, wiele osiągnęłam jak na swój wiek – mówi Abby Johnson w wywiadzie, który został nagrany z okazji polskiej premiery filmu „Nieplanowane”.

Obraz ten to adaptacja książki, która opowiada o drodze, którą przebyła Johnson – od dyrektora kliniki aborcyjnej do działaczki pro-life. Przełomem w jej myśleniu na temat aborcji okazał się dzień, w którym została poproszona o to, by asystować przy usunięciu ciąży z użyciem USG. – Dziecko miało 13 tygodni,

jego ciało było wykształcone. Na monitorze zobaczyłam, jak walczy o życie, jak ucieka przed narzędziami, którymi przeprowadza się aborcję. Wtedy uświadomiłam sobie, że to istota ludzka, życie, a nie zlepek komórek, tkanek, których można się pozbyć. Zrozumiałam, że skoro tak jest, to muszę odejść, bo stoję po złej stronie – opowiada Johnson.

Zrezygnowała z pracy w 2009 r. Dziś z mężem wychowuje ośmioro dzieci, angażuje się w działania pro-life, założyła także organizację, która wspiera osoby chcące zrezygnować z pracy w klinikach aborcyjnych.

Filmowa historia Abby Johnson miała swoją premierę w Stanach Zjednoczonych w marcu. Od 1 listopada można ją oglądać w polskich kinach. „Do Rzeczy” objęło patronat medialny nad premierą „Nieplanowanych”.

Film w Polsce dystrybuuje Rafael Film. – Stale obserwujemy zagraniczne rynki filmowe i sprowadzamy do Polski te obrazy, które warto pokazać polskiej widowni – mówi Andrzej Sobczyk z Rafael Film. – Decyzję o dystrybucji „Nieplanowanych” w Polsce podjęliśmy bardzo szybko. Film odniósł duży sukces w Stanach Zjednoczonych, mimo że był blokowany, uniemożliwiano jego promocję. W dniu premiery konto filmu na Twitterze zostało zablokowane. Sprawa trafiła pod obrady amerykańskiego kongresu, gdzie twórcy uświadamiali senatorom, z jaką cenzurą zetknęli się ze strony m.in. internetowych gigantów.

Chuck Konzelman – jeden z reżyserów i producentów „Nieplanowanych” – na senackiej komisji ds. konstytucji, której przewodniczy republikański senator z Teksasu Ted Cruz, wyjaśniał, z jakimi barierami musieli zmierzyć się twórcy. Podstawowym problemem było to, że choć w filmie „Nieplanowane” nie ma scen przemocy, seksu, nagości ani wulgarного języka, to stowarzyszenie, które nadaje ograniczenia wiekowe filmom wchodzącym do amerykańskiej dystrybucji, oznaczyło film kategorią R. Tak oznaczony film osoby poniżej 17. roku życia mogą oglądać jedynie z rodzicem lub pełnoletnim opiekunem. Ograniczyło to liczbę odbiorców „Nieplanowanych”. Konzelman wskazywał, że np. wierni Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich w ogóle nie oglądają filmów z kategorii R.

W przypadku filmów kategorii R ograniczony jest też dostęp do reklamowania ich przed innymi seansami w kinach. Trailery można pokazywać przed filmami, które mają tę samą kategorię, ale i to – jak wskazał Konzelman podczas przesłuchania w senacie – uniemożliwiano twórcom. – Chcieliśmy zamieścić reklamy w telewizjach kablowych, ale z wyjątkiem Fox News i CBN spotykały nas systematyczne odmowy, m.in. ze strony Lifetime, UP TV, Hallmark, HGTV, USA Network, Food Network, The Travel Channel, DIY, Cooking Channel – wyliczał Konzelman.

Wskazał na kanał Lifetime, który odmówił emisji trailera ze względu na „wrażliwy charakter filmu”. – Tyle że wcześniej stacja pokazywała wywiad

ze Scarlett Johansson, która promowała Planned Parenthood – wskazał reżyser „Nieplanowanych”.

Producenci postanowili promować obraz w sieci, ale i tu napotkali wiele trudności. Google Ads zablokował bannery reklamujące film. – Google powołał się na zasady dotyczące zamieszczania reklam związanych z aborcją. Tylko jest jeden problem: nie zamieszczaliśmy reklam związanych z aborcją. Reklamowaliśmy film – przekonywał senatorów Konzelman.

Wspomniany już Twitter nie tylko zablokował konto „Nieplanowanych” w dniu premiery. Po jego odblokowaniu liczba śledzących profil internautów stopniała z ok. 200 tys. do 200. Okazało się, że ani Abby Johnson, ani grająca ją w filmie aktorka Ashley Bratcher nie mogą śledzić strony filmu na Twitterze.

Konzelman podczas posiedzenia senackiej komisji przez kilkanaście minut mnożył przykłady cenzury, która dotknęła film. Amerykanie okazali się przekorni. Nagłośnione problemy związane z promocją filmu sprawiły, że w weekend otwarcia film zarobił 6,4 mln dol. I zajął czwarte miejsce, jeśli chodzi o oglądalność premierowych obrazów.

Na projekcje do USA przyjeżdżali także mieszkańcy sąsiedniej Kanady, bo choć film został tam dopuszczony do dystrybucji, to trudno było znaleźć miejsce, w którym byłby wyświetlany. Do dziś „Nieplanowane” zarobiło 19 mln dol. przy sześciomilionowym budżecie.

– Siła tego filmu wynika z tego, że jest to autentyczna historia. Twórcy niczego tu nie wykreowali. To się zdarzyło i dotyczy konkretnej kobiety. Fakty można też łatwo zweryfikować, sięgając po książkę Abby Johnson – mówi Paweł Woliński, dyrektor CitizenGo Polska, organizacji, która już w marcu – kiedy film „Nieplanowane” miał problem z promocją w Stanach Zjednoczonych, a następnie w Kanadzie – zbierała podpisy pod petycją o jego szeroką dystrybucję. – W filmie jest też mowa o konkretnej firmie przeprowadzającej aborcje – Planned Parenthood – znanej Amerykanom ze skandali, w które była zaangażowana. To wzbudza dodatkowe zainteresowanie. Oczywiście krążące informacje o tym, że twórcy mają problem z dystrybucją i promocją filmu, także przyczyniły się do wzrostu oglądal-

ności. Wiele osób, które normalnie nie zainteresowałyby się tym filmem, poszło do kina, by zobaczyć, z czego wynikają jego kłopoty.

BLISKO 200 KIN W CAŁEJ POLSCE

W Polsce obraz będzie dostępny w ponad 170 kinach. Pokażą go duże sieci, takie jak Multikino, Helios, Cinema City, a także sieć kin studyjnych. – Codziennie dochodzą kolejne. Film jeszcze przed premierą wzbudził duże zainteresowanie widzów, którzy zwracali się do kin z zapytaniami, czy będą go wyświetlać. Na stronie www.nieplanowanewpolsce.pl udostępniliśmy mapę, na której można sprawdzić, w których kinach wyświetlane są „Nieplanowane” – mówi Andrzej Sobczyk. I dodaje: – Film jest mocnym, dobrze zrobionym dramatem. Niesie też olbrzymią dawkę nadziei. Liczę, że przyniesie efekt w postaci coraz większej liczby Polaków opowiadających się za życiem. Podobnie jak w USA na zakończenie filmu polscy widzowie zobaczą plansze z numerem telefonu wsparcia, pod który będą mogli zadzwonić w sytuacji, w której byli w jakiś sposób dotknięci sprawą aborcji, potrzebują wsparcia, pomocy lub

chcą wesprzeć kobiety w trudnej sytuacji. Za oceanem skorzystały z tego tysiące osób.

Paweł Woliński ma nadzieję, że film stanie się okazją do przyjrzenia się temu, jaką twarz ma polski ruch obrońców życia. – W „Nieplanowanych” widzimy różne strategie pro-liferów. Jedna grupa wygraża kobietom idącym do kliniki aborcyjnej, druga modli się, nawiązuje z nimi rozmowę, pyta, co je skłoniło do przyścia do kliniki i czy można im pomóc w trudnej sytuacji, w której się znalazły – wskazuje Woliński. I dodaje, że polskie działania pro-life przyjmują

najczęściej charakter zbierania podpisów pod kolejnym projektem legislacyjnym lub eksponowania drastycznych zdjęć. – Feministki nie widzą dziecka, widzą kobietę. Z kolei polscy obrońcy życia widzą dziecko, a nie widzą matki. Nieliczne inicjatywy proponują kobietom w nieplanowanej ciąży wsparcie, którego potrzebują. Tymczasem żeby mogło się narodzić dziecko, musi się narodzić matka. Liczę, że ten film stanie się przyczynkiem do dyskusji na ten temat.



REŻ. CARY SOLOMON, CHUCK KONZELMAN
„NIEPLANOWANE”
USA 2019

CHRZĄSZCZ GRETY

Ma jeden milimetr, nie ma oczu ani skrzydeł. Ma za to parę czułków. Zdaniem niektórych przypominają one warkoczyki Greta Thunberg, nastolatki walczącej o zatrzymanie zmian klimatycznych. To chrząszcz, którego nazwano *Nelloptodes gretae* właśnie na cześć nastoletniej aktywistki. Zabieg to ryzykowny, bo niedawno Greta dała popalić Skandynawom, którzy przyznali jej Nagrodę Nordycką. Ofukala ich i zaznaczyła, że na rzecz klimatu mogą robić więcej.



FOT. MICHAEL DARBV/NHM

KTO WYJEDZIE PRZEZ TRUMPA

James Comey, zwolniony z funkcji szefa FBI przez prezydenta USA, zapowiedział publicznie, że jeśli Donald Trump wygra wybory w 2020 r., to on wyjedzie ze Stanów Zjednoczonych. A dokładniej stwierdził w rozmowie z telewizją C-SPAN, że przeniesie się do Nowej Zelandii. Trzy lata temu wyprowadzkę do tego kraju w przypadku wygranej Trumpa zapowiadała też w rozmowie z „NYT” sędzia Sądu Najwyższego Ruth Bader Ginsburg.

Jak marnie na tym tle wypadają teraz polscy celebryci? Tuż przed ostatnimi wyborami, podobnie jak cztery lata temu, zapowiadali tylko, że w przypadku wygranej PiS wyprowadzą się z Polski. Nie podawali nawet miejsca wyprowadzki!

WOJSKOWE SZTUCZNE RZĘSY

Siły zbrojne Nowej Zelandii wprowadzają nowe wytyczne dotyczące wyglądu. Żołnierz Royal New Zealand Navy będzie mógł nosić sztuczne rzęsy albo mieć pomalowane lakierem paznokcie. Jak tłumaczą wojskowi – nowy regulamin ma być po to, by „nie czynić rozróżnienia między członkami płci męskiej i żeńskiej pod względem wyglądu”. Jeszcze tylko regulaminowy zapis o tym, by towarzyszyć także strzelającym łufą do siebie i można naciskać cyngiel kompletnych przemian.

STAŻ TYLKO DLA LGBT+

Goldman Sachs opublikował na swojej stronie nowy program stażowy. Jak się zakwalifikować? Prosto. Należy być studentem kończącym naukę w 2022 r. oraz... być osobą LGBT+. Wówczas w przyszłym roku można spróbować dostać się na staż w tej firmie. Najpierw gwarantowane są trzydniowe szkolenia w Londynie, które do stażu przygotowują.

WESOŁE CIASTKA NA STYPIE

We wschodnich Niemczech po pogrzebie w Rostocku rodzina i przyjaciele zmarłego spotkali się na stypie na farmie myśliwskiej Köhlerhof Wiethagen. Szef domku myśliwskiego, który wynajęto, przygotował kawę i ciasto. Dwanaścioro gości poczuło się źle, a wdowę musiało zabrać pogotowie. Okazało się, że ciasto w domu przygotowywali pracownicy. Córką jednego z nich przygotowywała też ciastka z marihuaną na swoją imprezę. Rodzic się pomylił i zabrał jej wypieki jako poczęstunek na stype.

ZWYKŁY OBRAZEK ZA MILIARDY

Pewna Francuzka w podeszłym wieku miała w domu obraz ze świętymi. Uznawała go za zwykłą ikonę o niewielkiej wartości. Okazało się jednak, że malunek, który wisiał między kuchnią a jadalnią, to dzieło z XIII w., które namalował włoski malarz Cimabue. Zdaniem ekspertów stanowi on część większego dzieła, którego elementy znajdują się w Nowym Jorku i Londynie. Obraz wystawiono na sprzedaż w domu aukcyjnym. Został sprzedany za 24 mln euro. Większość kwoty ma trafić do seniorki. ©©

Łukasz Zboralski



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Znowu fatalna akcyjność

W katalogu najgorszych zjawisk w polityce akcyjność jest na pierwszym miejscu ex aequo z kilkoma innymi fenomenami, takimi jak kalizm czy

jakimś jednym wydarzeniu, jest niepoważne. Sprawy załatwia się bez należytej analizy i na chybi-cika, byle przekonać ludzi, że się coś robi.

Tego właśnie jesteśmy świadkami po wypadku w Warszawie, w którym na pasach zginął młody mężczyzna. Rafał Trzaskowski zapowiada, że na 60 proc. stołecznych ulic wprowadzi ograniczenie do 30 km/godz. Nie poprzedził tego żadnej analizy, żaden namysł – a wystarczy trochę znać Warszawę, żeby wiedzieć, że to nierealne i szkodliwe (z pewnością zwiększy emisję spalin i korki). Drogowego

bandyty zaś żadne ograniczenie nie powstrzyma – przecież i tego istniejącego nie przestrzegał.

Premier Morawiecki ogólnikowo deklaruje: „Potrzebne są zmiany w przepisach i poważna, wynikająca z nich polityczna deklaracja: koniec z piractwem drogowym”. Już się boję, bo zamiast urealnienia ograniczeń, lepszej infrastruktury i zerwania z fetyszem statystyk w policji dostaniemy nowe przepisy – je chwalić najłatwiej.

Jedyna nadzieja w tym, że będzie jak zwykle: wiele gadania, zero efektów. ©©

Drogowego bandyty żadne ograniczenie nie powstrzyma – przecież i tego istniejącego nie przestrzegał

partyjniactwo. Państwo, w którym strategiczne decyzje podejmuje się pod wpływem emocji po



**polski
produkt**

**IV EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

ZGŁOŚ SWÓJ PRODUKT

POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER GŁÓWNY



PARTNER



PARTNER GALI



PATRONAT HONOROWY:



MINISTERSTWO
PRZEDSIĘBIORCZOŚCI
I TECHNOLOGII



MINISTERSTWO
INWESTYCJI
I ROZWOJU



FOT. ADRIAN STOLK

Zielona strona mocy, czyli transformacja energetyczna

Inwestowanie w zieloną energię z mody przeradza się dziś w globalny trend. W Polsce sprzyjają mu rządowe plany, wskazujące na konieczność rozwoju OZE (Odnawialnych Źródeł Energii), a także działania podejmowane przez wielkie firmy energetyczne.

PLAN DLA POLSKI

Przełomem dla upowszechnienia się zielonej energii w UE było przyjęcie przez Parlament Europejski dyrektywy ws. „promowania stosowania energii ze źródeł odnawialnych”. Skorzystała na niej m.in. fotowoltaika, czyli technologia pozyskiwania energii z promieni słonecz-

nych. Szacuje się, że od czasu ogłoszenia dyrektywy, czyli od 2009 r., moc zainstalowanych w UE instalacji fotowoltaicznych wzrosła niemal dziesięciokrotnie. A Polska? W 2018 r. była w pierwszej dziesiątce krajów UE pod względem przyrostów nowej mocy fotowoltaicznych. W 2019 r. ma szansę awansować w tym rankingu na miejsce czwarte. Fotowoltaika stała się dziś jednym z najdynamiczniej rozwijających się sposobów pozyskiwania energii ze źródeł odnawialnych. Widać to, gdy spojrzymy na dachy domów i przedsiębiorstw, które coraz częściej wyposażone są w fotowoltaiczne ogniwa, a także gdy przyjrzymy się działaniom i strategiom

rozwoju rodzimych koncernów energetycznych.

PRZYJAZNE SŁOŃCE

Przykładem mogą być działania wice-lidera w produkcji energii elektrycznej na polskim rynku – Grupy Enea, która ogłosiła niedawno zakrojony na szeroką skalę plan budowy wielkoobszarowych farm fotowoltaicznych na należących do Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa (KOWR) nieruchomościach rolnych. Podpisanie listu intencyjnego pomiędzy Grupą Enea a KOWR to początek współpracy, której efektem ma być wspieranie rozwoju rynku fotowoltaicznego w Pol-

sce. - Zamierzamy zwiększać nasz udział na dynamicznie rozwijającym się rynku fotowoltaiki. Wspólny projekt z Krajowym Ośrodkiem Wsparcia Rolnictwa wzmacnia bezpieczeństwo energetyczne kraju. Energia z instalacji fotowoltaicznych będzie mogła pokryć rosnące zapotrzebowanie w okresie letnim, jej produkcja wesprze jednostki konwencjonalne - powiedział Jarosław Ołowski, wiceprezes Enei ds. finansowych.

Na Lubelszczyźnie Enea chce inwestować w fotowoltaikę na terenach wchodzącej w skład koncernu energetycznego kopalni Bogdanka. W ramach współpracy Enei z Bogdanką w najbliższych latach na łącznej powierzchni ok. 55 ha powstać mają instalacje produkujące nawet 30 tys. MWh energii rocznie. Pozyskana ze słońca bezemisyjna energia elektryczna zasili kopalnię i jej procesy produkcyjne.

Powstanie wielkoobszarowych farm fotowoltaicznych ma wspierać osiągnięcie nadrzędnego celu unijnej polityki energetycznej i klimatycznej, jakim jest redukcja emisji CO₂.

KIERUNEK OZE

Działania Grupy Enea w zakresie rozwoju OZE dotyczą nie tylko inwestycji w wielkoobszarowe farmy fotowoltaiczne. W pierwszym półroczu tego roku Grupa odnotowała 12-procentowy wzrost produkcji ze źródeł odnawialnych. Już wkrótce nowe, niskoemisyjne źródło ciepła, współpracujące z instalacją OZE, może powstać w Pile. Z kolei w Enei Połaniec pracuje Zielony Blok energetyczny o mocy 225 MW, produkujący energię z biomasy (leśnej i agro). Enea produkuje również energię elektryczną z wody i wiatru.

- Intensywnie pracujemy nad aktualizacją Strategii Rozwoju Grupy, którą zamierzamy przedstawić do końca roku. Duży nacisk kładziemy na ekonomicznie racjonalne zaprojektowanie transformacji naszych mocy wytwórczych, w kierunku odnawialnych źródeł energii - potwierdza zauważalny od jakiegoś czasu kierunek rozwoju Enei jej prezes Mirosław Kowalik. Działania Enei wpisują się także w prognozy dotyczące kierunku rozwoju OZE, przedstawione m.in. w przedłożonym przez Ministerstwo Energii dokumencie „Polityka energetyczna Polski do 2040 r.”. PEP2040, wraz z kolejnym dokumentem ME, czyli „Krajowym planem na rzecz energii i klimatu na lata 2021–2030”, pokazują spójną kierunkowo wizję rozwoju polskiej energetyki w kierunku

odnawialnych źródeł energii. Udział OZE w krajowym miksie energetycznym będzie wzrastać, według rządowych założeń w 2030 r. powinien stanowić 21–27 proc.

ZIELONA ENERGIA

OZE mają przyszłość, a podążanie w tym kierunku to - jak przekonuje prezes Enei Mirosław Kowalik - element „rozsądnej transformacji branży” energetycznej. Transformacji, w której odnawialne i konwencjonalne źródła wspomagają się wzajemnie, tworząc korzystny efekt dla potencjału firmy i - co najważniejsze - dla środowiska. Transformacja taka, poza inwestycjami w umożliwiającą pozyskiwanie zielonej energii infrastrukturę, wymaga również systematycznej budowy nowej i modernizacji już istniejącej infrastruktury sieciowej. Zwiększanie wydajności sieci znacznie bowiem zwiększa możliwość podłączania do niej alternatywnych i rozproszonych źródeł zasilania. Dzisiaj Enea Operator intensywnie modernizuje sieć, przeznaczając na ten cel rocznie ok. 1 mld zł. Przykładem takiej ważnej inwestycji jest zakończona właśnie gruntowna przebudowa linii wysokiego napięcia o długości 240 km, która przebiega przez województwa zachodniopomorskie, lubuskie i wielkopolskie. Ta ponadregionalna inwestycja stwarza nowe możliwości w zakresie przyłączania źródeł rozproszonych i produkcji zielonej energii. W województwie wielkopolskim zapowiedziano już kolejne inwestycje. Podobne plany zostaną wkrótce zrealizowane w regionie kujawsko-pomorskim.

Systematyczne zwiększanie mocy przyłączeniowych idzie w parze z komunikacją z inwestorami zainteresowanymi OZE. Enea Operator informuje o dostępnych w jej sieci mocach przyłączeniowych dla nowych źródeł odnawialnych w północno-zachodniej Polsce. - Na naszej stronie internetowej publikujemy wykaz dostępnych mocy. Powstał on po to, aby inwestorzy wiedzieli, gdzie jesteśmy gotowi przyłączyć instalację o interesującej ich mocy i w którym miejscu najlepiej zlokalizować swoją inwestycję - tłumaczy prezes Enei Operator Andrzej Kojro. To pomaga w rozwoju OZE na terenach, za których zasilenie w energię elektryczną odpowiada Grupa Enea.

CZYSTY TRANSPORT

Jednym z kluczowych składników rozwoju w kierunku gospodarki niskoemisyjnej jest czysty transport. Polska włącza się

w działania na rzecz rozwoju elektromobilności, czemu służy wiele wprowadzonych przez rząd zachęt. Oczywiście, tak jak zawsze przy innowacyjnych technologiach, przed każdym podmiotem, który chce rozwijać ekologiczny transport w Polsce pojawi się wiele wyzwań. Energetyka wspiera ten trend i widzi szansę na tworzenie i rozwój nowych linii biznesowych. Sieci energetyczne oraz podłączone do nich stacje ładowania pojazdów elektrycznych to kluczowe elementy wdrażania elektromobilności. Grupa Enea aktywnie włączyła się w budowę i rozwój infrastruktury e-mobility w Polsce. Spółka z Grupy, Enea Serwis, współpracuje ściśle z Kolejowymi Zakładami Łączności, producentem polskich stacji ładowania pojazdów elektrycznych „ecoMoto”. Jednym z ostatnich dokonań w tym zakresie jest podpisanie listu intencyjnego z Poczta Polską. Jest to ważny krok w kierunku rozwijania elektromobilności w kraju. Poczta Polska przygotowuje się do wprowadzenia Stref Czystego Transportu, zaopatrzonych m.in. w stacje ładowania pojazdów. Te zapewni Enea Serwis, doświadczona w kompleksowym montażu i serwisie ładowarek „ecoMoto”, wyprodukowanych przez Kolejowe Zakłady Łączności. - Liczymy na wymianę doświadczeń, a także budowanie współpracy, co pozwoli nam na wykorzystanie szans biznesowych na dynamicznie rozwijającym się rynku e-mobility - powiedział po podpisaniu listu prezes Kowalik.

Jeszcze niedawno Polacy często mylili ogniwa fotowoltaiczne z panelami słonecznymi, popularnymi solarami. Dzisiaj wiedzą, że te służą głównie do podgrzewania wody, a fotowoltaika produkuje prąd. Tani prąd. W 2013 r. jedynie cztery gospodarstwa domowe w Polsce było zaopatrzonych w tego typu instalacje. W 2018 r. było ich już ponad 55 tys. W energię słoneczną inwestują nie tylko gospodarstwa domowe, lecz także, i to na coraz większą skalę, energetyka. Podobnie z elektromobilnością. Dzisiaj jej rozwój to nie tylko pojawiające się coraz częściej na ulicach polskich miast samochody elektryczne, lecz także coraz dynamiczniejszy rozwój sieci ich ładowania. Chociaż nie jesteśmy krajem, w którym słońce operuje najmocniej, to w Polsce ewidentnie „mamy klimat” dla fotowoltaiki i dla OZE w ogóle. Potwierdzają to nie tylko prognozy Ministerstwa Energii, lecz także - co równie istotne - sprawiające, że prognozy stają się faktem, działania i długofalowe strategie firm energetycznych.



Jacek Przybylski

Niemal 90 proc. krajów świata boryka się już z wolniejszym wzrostem gospodarczym. Słabnie globalny handel. Coraz gorsze są wyniki produkcji. Ryzyko wybuchu nowego kryzysu nie było tak wysokie od 10 lat. Również Polacy mają powody do obaw

Ponad 90 lat temu, w czwartek 24 października 1929 r., załamanie kursów na Wall Street zapoczątkowało pierwszy wielki globalny kryzys. W ciągu kilku lat produkcja przemysłowa w Ameryce oraz Polsce zmalała praktycznie o połowę, upadły tysiące banków, a pracę straciły miliony ludzi.

Wielcy i mali inwestorzy fortuny potracili również między innymi, gdy na początku XXI w. pękła bańka internetowa, a także gdy w roku 2008 wybuchł wielki kryzys, który – gdyby nie kosztowna operacja ratowania banków za pieniądze podatników – nieomal doprowadził do

Nadciągą groźne spowolnienie



za na łamach „Financial News” francuski dziennikarz Pierre Briançon. Ekonomista Nouriel Roubini, znany też jako „Doktor Zagłada”, już we wrześniu zeszłego roku przedstawił analizę, w której wraz z włoskim ekonomistą Brunellem Rosą tłumaczył, dlaczego w roku 2020 nadejdą globalna recesja i nowy kryzys finansowy, który ma być jeszcze cięższy i jeszcze dłuższy niż ten z 2008 r. Przed zbliżającym się nowym kryzysem ostrzega też Peter Schiff. – Nadchodzący krach będzie o wiele bardziej dramatyczny niż kryzys z 2008 r. – zapowiedział w październiku tego roku, ostrzegając przed upadkiem dolara, krachem na giełdzie, głęboką recesją i stagflacją.

Przed nowym kryzysem ostrzegał niedawno podczas wykładu w Waszyngtonie również Mervyn King – były prezes Banku Anglii, który kierował tą instytucją w latach 2008–2009, czyli w okresie, gdy globalna gospodarka musiała zmierzyć się z największym od wielu dekad kryzysem finansowym. Jego zdaniem kryzys już się zbliża, a światowe rynki nie są przed nim wystarczająco zabezpieczone. Zdaniem Kinga jeśli Rezerwie Federalnej zabraknie amunicji – a ultraniskie stopy procentowe nie zadziałają, jeśli wejdziemy w okres stałego niskiego wzrostu gospodarczego – aby walczyć z kolejnym epizodem podobnym do kryzysu z roku 2008, to Stany Zjednoczone może czekać „finansowy armagedon”. Problemy Ameryki przełożą się na inne kraje, zgodnie ze starym powiedzeniem, które mówi, że kiedy USA kichnie, katar ma cały świat.

Tego, że sytuacja zmierza w złym kierunku, nie kryją w oficjalnych wypowiedziach ekonomiści piastujący najważniejsze stanowiska w globalnym systemie finansowym. – W 2019 r. spodziewamy się wolniejszego wzrostu w niemal 90 proc. świata. Globalna gospodarka jest teraz w zsynchronizowanym spowolnieniu. To oznacza, że tempo wzrostu w tym roku spadnie do najniższego poziomu od początku dekady – oznajmiła w październiku nowa szefowa Międzynarodowego Funduszu Walutowego (MFW) Kristalina Georgiewa, ostrzegając jednocześnie, że sytuacja może się znacznie pogorszyć, jeśli rządy poniosą klęskę w rozwiązywaniu konfliktów handlowych i we wspieraniu wzrostu.

Bułgarska ekonomistka, która w przeszłości pełniła bardzo istotne funkcje zarówno w Banku Światowym, jak i w Unii Europejskiej (była komisarzem ds. budżetu), przypomniała, że jeszcze w 2017 r.

w niemal 75 proc. krajów świata obserwowano przyspieszenie wzrostu gospodarczego. Globalna gospodarka rosła wówczas w tempie 3,8 proc.

NA GRANICY RECESJI

Sytuacja gospodarcza na świecie pogarsza się szybciej, niż prognozowano jeszcze w lipcu. Analitycy MFW obniżyli więc swoje prognozy wzrostu gospodarczego w 2019 r. z 3,2 do 3 proc., a w roku przyszłym do 3,4 proc. Ekspertki szacują, że na stan światowej gospodarki wpływają negatywnie m.in. wojny handlowe między USA a Chinami (MFW szacuje, że skumulowany efekt tych konfliktów do 2020 r. będzie kosztował świat 700 mld dol.). Żle na globalną gospodarkę działają również: ryzyko związane z brexitem, rosnące napięcie między Francją a Niemcami dotyczące kierunku rozwoju strefy euro, a także kłopoty gospodarcze Chin, zamieszki w Hongkongu (według piątkowych danych PKB Hongkongu skurczył się w trzecim kwartale aż o 3,2 proc. kw./kw.), sytuacja w Turcji i najnowszy kryzys w Argentynie.

Spowolnienie mocno widoczne jest w Indiach, Brazylii, a nawet w Chinach, w których PKB rósł przez lata w niezwykle szybkim tempie. Zdaniem szefowej MFW na świecie istnieje „poważne ryzyko, że wkrótce ucierpią też usługi oraz konsumpcja”. Pierwsze sygnały słabnięcia sektora usług – dzięki któremu na razie utrzymują się jeszcze dobra sytuacja na rynku pracy i wysoka konsumpcja – widać już zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w krajach strefy euro.

W wielu krajach świata mocno obniżyły się wskaźniki dotyczące inwestycji oraz produkcji. W Stanach Zjednoczonych wskaźnik ISM obrazujący kondycję amerykańskiego przemysłu spadł we wrześniu do poziomu najniższego od kryzysu sprzed dekady.

Depresyjne nastroje mają również inwestorzy i menedżerowie w Niemczech – kraju nazywanym przez ekonomistów „silnikiem Europy”. Październikowy wskaźnik PMI wyliczony przez instytut IHS Markit wyniósł zaledwie 41,9 pkt (wynik poniżej 50 wskazuje na spadek koniunktury). Tak niskie wskazania obserwowano dekadę temu, gdy niemiecka gospodarka borykała się z kryzysem finansowym. W przemyśle panuje już techniczna recesja.

Za Odrą mocno spada też zatrudnienie i to nie tylko w przemyśle, lecz także w sektorze usług, który dotychczas trzymał się lepiej niż produkcja. Według dziennika

upadku amerykańskiego sektora finansowego i całej amerykańskiej gospodarki.

KRYZYS INNY NIŻ ZWYKLE

Załamanie gospodarcze z lat 30. XX w. dla wielu było ogromnym zaskoczeniem i w brutalny sposób przerwało „amerykański sen”. Przed wybuchem kryzysu w roku 2008 ostrzegali tylko nieliczni ekonomiści, tacy jak Nouriel Roubini, Raghuram Rajan czy Peter Schiff.

Tym razem ma być inaczej. „W przeciwieństwie do poprzednich kryzysów tym razem nikt nie będzie mógł powiedzieć, że nie spodziewał się jego nadejścia” – zauwa-

■ „Die WirtschaftsWoche” niemieckiemu biznesowi powodzi się najgorzej od kulminacji podczas światowego kryzysu finansowego w 2009 r. Poważne redukcje miejsc pracy zapowiedziały już takie firmy jak Bosch, Continental, Ford czy Volkswagen. Zdaniem ekonomistów w tym roku niemieckie PKB wzrośnie o zaledwie 0,5 proc., a w roku 2020 o 1,1 proc. Dla porównania w roku 2018 niemiecka gospodarka urosła o 1,4 proc. Niemcom grozi więc wejście w długi okres bardzo dużego spowolnienia gospodarczego lub wręcz wpadnięcie w recesję.

JAK BĘDZIE W POLSCE?

Pierwsze symptomy nadchodzącego kryzysu widać już również w Japonii, która – będąc mocno uzależniona od eksportu – traci m.in. na wojnie handlowej między USA a Chinami.

W naszym kraju analitycy MFW spowolnienia spodziewają się dopiero w roku 2020. Wówczas wzrost PKB nad Wisłą ma wynieść 3,1 proc. (w roku 2019 ma to być aż 4 proc.). Jednocześnie Fundusz spodziewa się w Polsce mocniejszych podwyżek cen. Według szacunków MFW średnioroczna inflacja w tym roku wyniesie 2,4 proc., a w przyszłym aż 3,5 proc.

Ochłodzenia w gospodarce spodziewają się także członkowie polskiego rządu. – Czekam na czas spowolnienia gospodarczego i czas poważnych reform w gospodarce – przyznał pod koniec października minister przedsiębiorczości i technologii Jadwiga Emilewicz w rozmowie z jednym z portali. Lider PiS zapewniał jednak przed wyborami parlamentarnymi, że Polska jest przygotowana na ewentualny kryzys ekonomiczny. – Nasza polityka antycykliczna, prorozwojowa, oparta m.in. na popycie, a także na wspieraniu przedsiębiorców, to jest polityka, która może doprowadzić do tego, że skutki kryzysu będą albo w ogóle wyeliminowane, albo w każdym razie bardzo niewielkie – oświadczył Jarosław Kaczyński. W jego ocenie nadejście kryzysu nie jest jednak pewne. PiS nadal chce więc podwyższać płacę minimalną, „w imię rozwoju gospodarczego, w imię poprawy sytuacji polskich rodzin, w imię wzrostu płac w Polsce”. Rząd deklaruje, że do końca 2023 r. płaca minimalna wzrośnie do 4 tys. zł.

Spowolnienia, a nawet recesji boi się już jednak ponad połowa Polaków (dokładnie 52 proc.). I wielu ze strachu przed kryzysem ogranicza konsumpcję. Jak podała „Rzeczpospolita”, z globalnego

badania „2019 IRIS Financial Confidence Survey” wynika, że większość ankietowanych Polaków ogranicza już wydatki na ubrania (56 proc.) czy posiłki poza domem (52 proc.). Jedna trzecia oszczędza zaś na wydatkach na żywność, a 30 proc. stara się mniej wydawać na leki. Mimo to Polacy są dużo bardziej optymistycznie nastawieni do gospodarki niż mieszkańcy takich krajów jak Francja i Wielka Brytania.

O tym, że obawy ankietowanych nie są bezpodstawne, a ich deklaracje o oszczędzaniu są zapewne prawdziwe, świadczą mogą np. dane o sprzedaży detalicznej. We wrześniu była ona co prawda o 4,3 proc. wyższa niż rok temu, ale – wbrew nadziejom ekonomistów związanych m.in. z rozszerzeniem programu „500+” na pierwsze dziecko – w stosunku do sierpnia spadła o 4,1 proc. Zaskakująco słaba była zwłaszcza dynamika sprzedaży dóbr codziennego użytku, czyli żywności oraz towarów w hipermarketach i popularnych dyskontach.

To groźny prognostyk dla polskiego PKB. Boom konsumpcyjny jest bowiem jednym z głównych silników napędowych polskiego wzrostu gospodarczego. Poza tym wolniej rosnąca sprzedaż może ograniczyć również produkcję. Na szczęście na razie dane o produkcji są bardzo dobre (we wrześniu odnotowała ona wzrost rok do roku aż o 5,6 proc.). I to mimo ogromnego spowolnienia w Niemczech, czyli u najważniejszego partnera handlowego Polski.

Mało optymistycznie wyglądają też prognozy dotyczące rynku pracy. Obecny rok jest prawdopodobnie ostatnim, w którym bezrobocie istotnie spadło (we wrześniu wyniosło zaledwie 5,1 proc., czyli najmniej od trzech dekad) i w którym pracodawcy stawiają przyszłym pracownikom coraz niższe wymagania, oferując jednocześnie coraz wyższe pensje.

Nadejścia chudych lat na rynku pracy spodziewa się też coraz więcej Polaków. Jeszcze we wrześniu w comiesięcznym badaniu Głównego Urzędu Statystycznego grupa osób, które spodziewały się spadku bezrobocia, była o niemal 10 punktów procentowych wyższa niż tych, którzy sądzili, że pracodawcy zaczną zwalniać. Dane za październik gwałtownie się pogorszyły: obecnie przewaga optymistów nad pesymistami wynosi już tylko 2,5 punkty procentowego, co jest najgorszym wynikiem od stycznia 2017 r.

Z coraz gorszymi przeczuciami pracowników zgadzają się wyniki badania

koniunktury wśród pracodawców: już we wrześniu pierwszy raz – od niemal trzech lat – większość pytanym przedsiębiorców planowała ograniczanie zatrudnienia, a w październiku liczba firm deklarujących zwolnienia jeszcze wzrosła. Dalszy szybki wzrost płacy minimalnej oraz innych kosztów zatrudnienia w wielu przedsiębiorstwach może przełożyć się na dalsze redukcje liczby pracowników. Jak podał „Dziennik Gazeta Prawna”, np. w handlu detalicznym odsetek firm oczekujących ograniczenia zatrudnienia jest największy od 2016 r.

Pesymistyczne dane przynosi również najnowszy, opublikowany pod koniec października, barometr Lewiatana: aż 57 proc. małych firm uważa, że nadchodzi trudne czasy. Z badania nastrojów przedsiębiorców, zrealizowanego na zlecenie Konfederacji Lewiatan, wynika, że ogółem 53 proc. małych, średnich i dużych firm deklaruje negatywne nastawienie do prowadzenia biznesu w najbliższych miesiącach (dla porównania: w listopadzie 2018 r. liczba ta wynosiła zaledwie 37 proc.).

BAŃKA NA RYNKU NIERUCHOMOŚCI?

MFW zwraca uwagę na jeszcze jedno ryzyko: banki centralne w wielu krajach utrzymują wyjątkowo niskie stopy procentowe, co może prowadzić do nadmiernej akcji kredytowej i ryzykownych inwestycji w poszukiwaniu lepszej stopy zwrotu.

Również Nouriel Roubini wprost ostrzega przed zbyt drogimi w wielu krajach cenami mieszkań i domów.

Niewykluczone, że również w Polsce mamy do czynienia z narastającą bańką. Boom inwestycyjny w mieszkaniówce trwa od lat, a deweloperzy tylko we wrześniu rozpoczęli budowę aż 12,5 tys. nowych mieszkań (to o ponad 12 proc. więcej niż rok wcześniej). Mimo to mieszkania z kwartału na kwartał wciąż stają się coraz droższe, a gazety zapowiadają „żniwa u deweloperów”. Kłopot w tym, że już jedna trzecia nabywców mieszkań to osoby, które kupują je w celach inwestycyjnych. Aby taka inwestycja przynosiła zadowalającą stopę zwrotu, mieszkanie musi przez większą część roku być wynajęte. Gdy w końcu zaczną się kłopoty ze znalezieniem najemców, inwestorzy mogą zacząć gwałtowną wyprzedaż mieszkań i bańka na rynku nieruchomości pęknie z hukiem.

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

**DO
RZECZY**

**HISTORIA
RZECZY**

**TYGODNIK „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIK
„HISTORIA DO RZECZY”**

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA
I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCJE
KSIAŻKA

ANDRZEJ FEDOROWICZ
„DRUGA RZECZPOSPOLITA
W 100 PRZEDMIOTACH”

~~730~~ zł



281,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
455** zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl



Marek Miśko

„No farmer, no food!” – krzyczą holenderscy rolnicy na masowych manifestacjach. Protestują nie tylko farmerzy z Niderlandów, rolnicy z innych krajów również reagują na wymierzoną przeciw nim kampanię lewicowych polityków i mediów

Przyczyną niezgody panującej obecnie w Holandii jest wyrok, który sąd w Hadze odczytał w czerwcu 2016 r. Organizacje ekologiczne działające w Holandii oskarżyły bowiem rząd premiera Marka Rutte o szkodliwą działalność i niewystarczające działania na rzecz poprawy klimatu na Ziemi. Początkowo sprawę nikt nie traktował poważnie, otrzeźwienie przyszło jednak szybko, i to w najbardziej zaskakującym momencie. Haski sąd przyznał bowiem rację ekologom i zobligował rządzących do ograniczenia emisji gazów cieplarnianych o 25 proc., i to już do przyszłego roku. Nic dziwnego, że na polityków padł błdy strach, tym bardziej że rzecz dzieje się w kraju, w którym wyroki sądów są traktowane śmiertelnie poważnie.

Pojawiło się jednak pytanie, jak zredukować coś, czego nie ma. Holandia to kraj, który w zasadzie nie ma przemysłu i kojarzy nam się z ekologią, odnawialnymi źródłami energii, tulipanami, silnym eksportem i mocno rozbudowanym rolnictwem. Wyjście z tej sytuacji znaleźli będący w opozycji politycy GroenLinks – Zielonej Lewicy (partia powstała poprzez połączenie chadeków z zielonymi i komunistami – skróć GL jest pewnie przypadkowy), którzy nie są wprawdzie silnie reprezentowani w tamtejszym parlamencie, ale mają duże przełożenie na decyzje podejmowane w ministerialnych gabinetach. Uznali oni, że najlepszym rozwiązaniem będzie ograniczenie holenderskiej gospodarki rolnej o połowę. Cała ideologia zielonych została więc spięta klamrą – wegański świat, może nie od zaraz, ale w perspektywie lat 50.

BAT NA BURÓW

Aby zyskać społeczne poparcie dla tak szalonej idei, od ponad roku zieloni przy współpracy z organizacjami prozwierzę-



cymi, ekologicznymi, a nawet ekoterrorystycznymi przygotowywali odpowiednie podłoże potrzebne do wykonania wyroku sądu. W mediach i Internecie rozpoczęła się wielka kampania uderzająca w rolników. Burowie [z hol. rolnicy – przyp. red.] stali się obiektem zmasowanych ataków prowadzonych głównie przez lewicowe media. „Mordercy zwierząt”, „dręczyciele i sadyści”, „truciele klimatu” – to najłagodniejsze epitety, którymi określano farmerów. W końcu czara goryczy się przełamała. Na jedną z hodowli trzody chlewnej nieopodal Boxtel wdarli się aktywiści, którzy zażądali wydania im „więzionych” na niej zwierząt. Mimo interwencji policji intruzy nie chcieli opuścić gospodarstwa. Ciekawostką jest, że podczas legitymowania ekologów przez policję okazało się, iż tworzą oni grupę złożoną z wielu narodowości. Ci sami ludzie robili to wcześniej w Australii, Kanadzie, Hiszpanii i Anglii.

Atak na hodowlę stał się kamieniem węgielnym do założenia przez holenderskich rolników organizacji o nazwie Farmers Defence Force (Korpus Obrony Rolników), która stoi za obecnymi protestami Burów w Niderlandach.

Największe w historii Holandii protesty rolników zbiegły się w czasie z blokadami autostrad prowadzonymi w Niemczech i we Francji oraz akcjami prowadzonymi przez organizacje rolnicze w Polsce. Farmerzy z tych krajów, widząc siłę, z którą tzw. zielona lewica uderza w europejskie rolnictwo, zdecydowali się już zawczasu zaznaczyć, że na ich podwórku ekologom nie pójdzie tak łatwo. Francuzi na początku października zablokowali główną trasę pomiędzy Paryżem a Lyonem, Niemcy stawiają na swoich polach zielone krzyże, niedawno protestowali w Bonn i kilku innych niemieckich miastach. W Polsce 12 największych or-



Manifestacja holenderskich rolników z 16 października sparaliżowała ruch na głównych trasach dojazdowych do Hagi. Skala protestów najwyraźniej tak bardzo przeraziła rządzących krajem liberałów, że zdecydowali się wysłać tego dnia wojsko na ulice. FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

ganizacji rolniczych 10 października zorganizowało konferencję, podczas której przedstawiciele sektorów: mleczarskiego, produkcji jaj, trzody chlewnej, drobiu, wołowiny i przemysłu futrzarskiego, wystawili dwóm największym w kraju organizacjom prozwierzęcej fakturę na 167 mld zł, informując, że mogą przerwać produkcję rolną nawet już, ale najpierw proszą o spłatę rolniczych kredytów, zwrot kosztów inwestycyjnych i wartości nieruchomości oraz o pokrycie strat, które w wyniku ich działalności poniesie państwo polskie.

– To nie jest tak, że u nas problemu nie ma – mówi Szczepan Wójcik, rolnik i prezes Instytutu Gospodarki Rolnej. – Do Sejmu dostała się potężna reprezentacja skrajnej lewicy i partii zielonych, w Parlamencie Europejskim szaleje posłanka od Biedronia Sylwia Spurek, która żąda zablokowania budowy S7 pod Krako-

wem, bo jej koledzy ekolodzy znaleźli siedliska chomików w pobliskim lesie. Do tego komisarzem ochrony środowiska ma być nienawidzący naszego kraju Frans Timmermans – dodaje Wójcik. – Koń trojański w postaci donoszących na Polskę polityków i wspierających ich zagranicznych organizacji ekologicznych już jest. Mamy więc dwie możliwości: czekać, aż zaczną wychodzić z niego współcześni Achajowie, albo czym prędzej wyprowadzić tę piekielną konstrukcję poza bramy miasta, zanim będzie za późno – puentuje prezes Instytutu Gospodarki Rolnej.

NIECH NA CAŁYM ŚWIECIE WOJNA...

Ktoś może powiedzieć, że Polska, która w Komisji Europejskiej ma swojego przedstawiciela w postaci Janusza Wojciechowskiego (został on jednogłośnie wybrany na komisarza ds. rolnictwa Unii

Europejskiej), powinna czuć się bezpiecznie. Będzie to jednak bardzo trudna kadencja. Na drodze Wojciechowskiego może stanąć proponowany na komisarza ds. ochrony środowiska „przyjaciół” Polaków Frans Timmermans. Chociaż nie objął on jeszcze oficjalnie stanowiska komisarza w tej dziedzinie, to już pojawiły się zapowiedzi związane z „zaprowadzeniem zielonego ładu w rolnictwie”. Przeciwno temu „ładowi” protestują więc rolnicy w trzech europejskich krajach. Polacy mówią natomiast jasno – zwiększenie dobrostanu zwierząt – tak, likwidacja hodowli – nie!

To „nie” wybrzmiało również podczas ostatnich wyborów. Wyborcza arytmetyka pokazała, że Polacy nie są zainteresowani ograniczaniem produkcji rolnej, a już z pewnością nie są nią zainteresowani mieszkańcy wsi. Posłowie, którzy przez poprzednią kadencję nieśli na sztandarach prozwierzęce postulaty, nie zostali ponownie wybrani do parlamentu. Krzysztof Czabański z Prawa i Sprawiedliwości, Paweł Suski z Platformy i posłanka Nowoczesnej Ewa Lider, starająca się o mandat z list Koalicji Obywatelskiej, ponieśli sromotną klęskę. Wszyscy działali w Parlamentarnym Zespole Przyjaciół Zwierząt. Analitycy zwracają też uwagę, że odrodzenie PSL było możliwe właśnie dlatego, iż PiS przesadził z retoryką proponowaną przez tzw. obrońców zwierząt. Ostatni tydzień kampanii wprowadzicie był skierowany do rolników, ale płynący czas okazał się nieubłagany.

KOŃ TROJAŃSKI TIMMERMANS

Jeżeli Frans Timmermans jako nowy komisarz ds. ochrony środowiska po raz kolejny otrzyma zadanie „prowadzenia ostrzału” w kierunku Warszawy, to możemy mieć większe problemy niż wtedy, gdy walczył o „praworządność” i konstytucję. Ma on już bowiem przetarty szlak działania oraz polityczne zaplecze w kraju, które przez ostatnie lata do perfekcji opanowało pisanie skarg, monitów i donosów. Do tego doszła silna reprezentacja lewicy laickiej, zielonej i wspierających ich marksistów, którzy na rodzimym podwórku mogą być pogardzani, ale pewne jest to, że dysponują potężnymi zagranicznymi kontaktami. Gdy dodamy do tego jeszcze organizację „eko”, które czują się w Polsce jak ryby w wodzie, wówczas będziemy mieli niezłą mieszankę, i to niestety na własne życzenie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jakub Wozinski

Rząd planuje, że pierwszy blok elektrowni jądrowej w Polsce powstanie do 2033 r. Szybszy od państwa może okazać się Michał Sołowow, który chce uruchomić własną elektrownię

Przekazana przez „Dziennik Gazetę Prawną” informacja o podpisaniu przez należącą do Michała Sołowowa firmę chemiczną Synthos porozumienia z amerykańsko-japońskim konsorcjum GE Hitachi w sprawie uruchomienia reaktora jądrowego o mocy 300 MW zelektryzowała nawet zagraniczne media. Energetyka jądrowa to dziedzina, która wydaje się wręcz zarezerwowana dla sektora publicznego, dlatego decyzja najbogatszego Polaka wywołała niemałe zaskoczenie. Zastępca redaktora naczelnego portalu Energetyka24.pl Jakub Wiech zauważa, że „w tym momencie żaden biznesmen na świecie nie posiada ani nie buduje własnego małego reaktora jądrowego, czyli SMR. Prywatne spółki są niekiedy operatorami dużych jednostek, wchodzących w skład systemów elektroenergetycznych. Jednak jeśli chodzi o energetykę prywatną, to nie ma jeszcze żadnego biznesmena, który byłby w stanie napędzać swój własny biznes małymi reaktorami”.

Sołowow zamierza uruchomić swój reaktor sześć lat wcześniej, niż ma zacząć pracę elektrownia planowana przez polski rząd.

ZNAKI ZAPYTANIA

Budowa małej elektrowni atomowej, która byłaby pierwszą tego typu w całym regionie Europy Środkowo-Wschodniej, niebazującą już na sowieckich technologiach, wiąże się jednak z wieloma znakami zapytania. Jak przekonuje Wiech: „Projekt GE Hitachi i Synthosu, czyli BWRX-300, jest cały czas w fazie projektowania. Nie ma jeszcze certyfikacji i licencjonowania w żadnym miejscu na świecie. Proces licencjonowania toczy się na razie w Kanadzie, ale jest on daleki od zakończenia. W związku z tym trudno tak naprawdę oszacować, czy koszty, które zadeklarowano w komunikacie spółki, są realistyczne. Nie wiadomo nawet, w jakim terminie reaktor mógłby zostać zbudowany w Polsce ani też jak będzie postępować licencjonowanie przez polski dozór jądrowy. Nie wiadomo też,

jak będzie wyglądać stosunek polskiego prawa do tego przedsięwzięcia w kwestii jego lokalizacji. Ewentualne przesunięcie takiej jednostki na dalszą odległość od zakładów Synthos w Oświęcimiu – a cały czas zakładamy, że właśnie w pobliżu tej lokalizacji ona powstanie – będzie się wiązało z koniecznością budowy dodatkowej infrastruktury. Wydaje się, że zadeklarowane koszty są pewnym rachunkiem wyjściowym, lecz w toku realizacji będzie zapewne konieczne podwyższenie tego budżetu. Zwłaszcza że inwestycje o charakterze pionierskim łączą się z częstymi potknięciami i pociągają za sobą dodatkowe koszty”.

Wedle dotychczasowych informacji koszt budowy pierwszego polskiego bloku atomowego o mocy 300 MW miałyby się zamknąć w kwocie 1 mld dol. (dla porównania: budowana właśnie pierwsza białoruska elektrownia w Ostrowcu przy granicy z Litwą o mocy 2,4 tys. MW wyceniana jest na ok. 11 mld dol.). Stosunkowo niska cena ma wynikać przede wszystkim z zastoso-



Michał Sołowow – pochodzi z Kielc, urodził się w 1962 r. Od ubiegłego roku zajmuje pierwsze miejsce w rankingu najbogatszych Polaków z majątkiem wycenianym na ponad 13 mld zł. W skład jego grupy przemysłowej wchodzi kilkanaście spółek, spośród których najważniejsze to: Synthos, Barlinek, Cersanit i North Food. Zaczynał w branży budowlanej, wprowadzając następnie swoje spółki na warszawską giełdę. Jego wielką pasją są rajdy samochodowe – jako zawodnik trzykrotnie zostawał wicemistrzem Europy oraz dwukrotnie wicemistrzem Polski.

rynki i pnie się w górę w zestawieniu największych firm w Polsce (obecnie zajmuje 25. miejsce), skłania Sołowowa do śmiałego ruchu, który może okazać się prawdziwym strzałem w dziesiątkę. Oficjalne wsparcie amerykańskich władz pozwala zakładać, że projekt GE Hitachi nie będzie wcale efemerydą, lecz pozwoli zabezpieczyć się przed coraz większym ryzykiem związanym z polityką klimatyczną Unii Europejskiej. Zdaniem Jakuba Wiecha sięgnięcie po energię atomową to bardzo rozsądny krok w perspektywie zarysowujących się w ostatnim czasie tendencji politycznych: „Na forum Unii Europejskiej cały czas toczą się walki o neutralność klimatyczną do 2050 r. W związku z tym wszystkie inwestycje w zakresie energetyki jądrowej są wybiegnięciem wprzód, jeśli chodzi o ewentualne sankcje finansowe. Warto pamiętać o tym, że w Parlamencie Europejskim coraz silniejsze są ugrupowania zielone, coraz większą rolę odgrywają kwestie środowiskowe. Można się zatem spodziewać, że Unia Europejska zaostrzy swój kurs, co będzie się wiązało z nowymi karami dla energetyki. [...] Dlatego też przedsięwzięcie to można uznać poniekąd za próbę przewidywania tego, co może się wydarzyć na przestrzeni polityki klimatycznej w Unii Europejskiej i w Polsce, oraz próbę zapobiegnięcia ewentualnym stratom z tego tytułu”.

Podpisanie porozumienia z GE Hitachi stawia tym samym w dość niekorzystnym świetle dotychczasowe działania polskiego państwa, które od 1989 r. aż dotychczas nie potrafiło skonkretyzować planów budowy elektrowni atomowej. Rządy PiS przyniosły ze sobą wprawdzie pewne ożywienie, lecz w obozie rządzącym nie ma wciąż pełnej i powszechnej aprobaty dla projektu atomowego. Na dodatek dotychczasowym pracom w tym zakresie towarzyszy niemały chaos organizacyjny (m.in. zrywanie przetargów z wykonawcami, brak odpowiedniej współpracy z państwowymi spółkami energetycznymi). Szacuje się, że w ciągu ostatnich 10 lat, czyli od momentu, w którym uruchomiono oficjalnie polski program atomowy, na wszystkie eksper-

tyzy i prace przygotowawcze wydano już 900 mln zł, choć nadal nie wiadomo nawet, gdzie dokładnie miałyby powstać pierwszy atomowy blok (obecnie mówi się o dwóch lokalizacjach: północy kraju i Polsce Centralnej).

KROPLA W MORZU POTRZEB

Mającą powstać z inicjatywy Michała Sołowowa elektrownia z pewnością nie wpłynęłaby w znaczący sposób na polski rynek energetyczny, gdyż jako jednostka o stosunkowo niewielkich rozmiarach zaspokajałaby przede wszystkim potrzeby Synthosu. Zasygnalizowaną chęć jej zbudowania można jednak rozpatrywać także w innych kategoriach. Zdaniem Jakuba Wiecha „całe przedsięwzięcie jest o tyle atrakcyjne z perspektywy przemysłu

jądrowego, że – jak widać – pojawiają się przedsiębiorcy zainteresowani dostarczaniem energii dla swoich własnych firm. Jest to niezwykle ważne dla branży jądrowej, gdyż cały czas spotyka się ona z zarzutami, iż jest nieoptymalna, że energia jądrowa jest już de facto u swojego schyłku. Tymczasem okazuje się, że energetykę jądrową czeka jeszcze być może atrakcyjna przyszłość”. Nieoczekiwany renesans atomu może więc dokonać się za sprawą polskiego biznesmena.

Biznesmena, a z pewnością także i polskiego państwa. Nie wydaje się bowiem możliwe, aby cała koncepcja nie zyskała wstępnej aprobaty ze strony przedstawicieli rządów USA i Polski. Oficjalne wsparcie amerykańskiego Departamentu Energii dla projektu badawczego GE Hitachi pozwala sądzić, że inwestycja Synthos nie będzie napotykała w najbliższym czasie większych przeszkód politycznych.

W porównaniu z naszymi sąsiadami, jak choćby ze Słowacją czy z Ukrainą, które większość swojej energii czerpią dziś z atomu, Polska pozostaje wciąż jądrową pustynią.

Wspólny projekt Michała Sołowowa oraz GE Hitachi może zmienić tę sytuację jedynie w sposób śladowy. Warto docenić jednak nawet tę inicjatywę, która z pewnością zadziała jako reklama nie tylko Synthosu, lecz także całej Polski.



Reaktor BWRX-300

FOT. HITACHI

ZABEZPIECZENIE NA NIEPEWNE CZASY

Dynamiczny rozwój Synthosu, który w ciągu ostatnich lat podbija światowe



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Bankowa
pułapka

Czy dobrze by się stało, gdyby polski kapitał odzyskał banki sprzedane kapitałowi obcemu? Jasne. A jeszcze lepiej, gdyby, oprócz odzyskania banków w Polsce, zaczął przejmować banki w innych krajach.

A czy dobrze by się stało, gdyby polskie ręce oznaczały w tym przypadku ręce polskiego państwa – czyli gdyby banki te odkupiło polskie państwo? No właśnie – czy i w tym przypadku odpowiedź może być jedynie pozytywna? Z pewnością nie zabraknie Polaków, którzy temu przyklasną – nie pamiętając lub nie wiedząc, że państwo nigdy nie jest dobrym właścicielem przedsiębiorstw (choć to w jego gestii powinny się znajdować te o charakterze strategicznym). W tym – instytucji finansowych, w tym – banków. Rzecz jasna, państwo nie jest dobrym właścicielem z punktu widzenia klientów tych firm (bo z punktu widzenia wielu polityków jest właścicielem wręcz wymarzonego). Państwo jest bowiem zwykle mniej efektywne w zarządzaniu niż kapitał prywatny – to raz, a dwa – skupienie zbyt dużego udziału w danym sektorze w rękach jednego właściciela – i to jeszcze tak potężnego jak państwo – grozi wszelkimi konsekwencjami związanymi z opanowaniem tego sektora przez monopol – i to wszechwładny, bo państwowy. A więc grozi wzrostem cen i spadkiem jakości oferowanych produktów i świadczonych usług.

Co jednak w takim razie począć w sytuacji, gdy z jednej

strony – powinniśmy czynić, co się da, by w polskie ręce wracało jak najwięcej polskich firm, w tym – a może zwłaszcza – banków, a z drugiej – gdy po PRL trudno u nas znaleźć wystarczająco dużo dostatecznie skonsolidowanego kapitału prywatnego, by taką operację przeprowadzić?

Bo przecież okazje będą się nadarzały. Takie jak ta z 2015 r., gdy – za rządów koalicji Platformy i PSL – kontrolowany przez państwo PZU przejął Aliora albo ta z 2016 r. – już za rządów PiS – gdy włoski UniCredit był zmuszony odsprzedać polski Bank Pekao, z czego skorzystały PZU i Polski Fundusz Rozwoju.

A teraz pojawia się oferta kupienia od niemieckiego Commerzbanku polskiego mBanku, na który ostrzy sobie zęby zapewne nie tylko de facto holenderski ING Bank Śląski. I znów trudno sobie wyobrazić, jaki polski kapitał – jeśli nie państwowy – miałby zdolność sfinansowania i sfinalizowania tej transakcji, a przecież byłoby chyba błędem nie skorzystać z okazji kolejnego poprawienia – na naszą rzecz – proporcji na polskim rynku bankowym.

Czyżby więc nie było wyjścia i trzeba brnąć w repolonizację, która będzie jednocześnie renacjonalizacją? W każdym razie dobrze przy tym nie zapominać, że takie rozwiązanie – obok zalet – ma też niemało wad. I lepiej wcześniej niż później – a zwłaszcza gdy już będzie za późno – szukać rozwiązania tego problemu. A tym powinien być polski kapitał prywatny. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Personalizacja
polityki

Obecnie można sobie zamówić samochód w dowolnym kolorze i w dowolnej konfiguracji. Oczywiście w pewnych granicach. Jednak towary i usługi dostarczane w formule XaaS – czyli coś jako usługa – mogą być w pełni spersonalizowane, tak jak nasz osobisty kanał muzyczny czy zestaw wpisów na Facebooku, który pamięta nasze preferencje. W polityce komunikacja elektroniczna, a taka zdominowała świat, również stała się spersonalizowana dzięki sieciom społecznościowym. Każdy wyborca usłyszy taki przekaz przedwyborczy, który najbardziej zwiększa szanse na pozyskanie głosu tego wyborcy. Jednak to nas już dzisiaj nie dziwi, te metody były stosowane już wielokrotnie, czego najbardziej znanym przykładem są wybory prezydenckie w USA w 2016 r.

Powstaje pytanie: Czy możliwy jest krok dalej? Już wyjaśniam. Podczas wyborów partie polityczne formułują program działań, a wygrywa ta partia, której program zyska największe poparcie. Oczywiście przy założeniu, że żyjemy w demokracji, a nie w demokracji medialnej, to taka różnica jak między krzesłem a krzesłem elektrycznym. Zatem skoro następuje indywidualizacja obietnic wyborczych i każdy z nas otrzymuje indywidualny komunikat od polityków, to czy możliwe jest, aby w przyszłości ten przekaz stał się obowiązującym, indywidualnym kontraktem? Czyli, zamiast sytuacji, w której polityk X robi coś dla

rolników albo studentów, gdy wygra wybory, będziemy mieli sytuację, w której konkretne obietnice będą dotyczyć konkretnego wyborcy.

Na przykład gdy polityk X wygra wybory, to wyborca Józek będzie płacił mniejsze podatki, wyborca Heniek i jego żona Ziuła otrzymają abonament na miejsce parkingowe w centrum, a chora na raka Maria dostanie darmowe leki najnowszej generacji.

Takie rozwiązanie byłoby o wiele bardziej efektywne niż obecne oferowanie korzyści powyborczych „na ślepo” całym grupom społecznym. Każdy mógłby dostać to, na czym najbardziej mu zależy, ale jednocześnie tylko w takim zakresie, który jest wystarczający, czyli nie trzeba byłoby „przeplącać za głosy”. Nawet można sobie wyobrazić mechanizm aukcyjny, gdy na indywidualne konto wyborcy spływają różne oferty polityków z jego okręgu, a wyborca kliknie na ofertę, która mu odpowiada. I głos oddany!

Personalizacja polityki byłaby lepsza niż obecna w wielu krajach demokracja medialna, gdy ludzie głosują na kolor krawata lub uśmiech polityka, nie mając pojęcia o jego programie. A tak wyborca miałby przynajmniej pojęcie, jak zmieni się jego życie, gdy wygra dany polityk.

Oczywiście konieczny byłby jakiś program sprawdzający spójność obietnic wyborczych i liczący ich koszt, ale akurat w przypadku personalnych obietnic wyborczych nie jest to problem. ©©

Autor pełni funkcję chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

TEST „DO RZECZY”: INTELIGENTNY SOUNDBAR SONOS BEAM

Kompaktowa konstrukcja, świetny stosunek jakości dźwięku do niewielkich wymiarów urządzenia oraz „inteligentne” funkcje, które sprawiają, że ten soundbar służy nie tylko do oglądania filmów – to największe zalety modelu Beam amerykańskiej firmy Sonos.

Testowane urządzenie wygląda elegancko (dostępne kolory to czarny lub biały) i ma stosunkowo niewielkie wymiary (65,1 cm x 6,8 cm x 10 cm). Dużą „pigułkę” można położyć na stoliku telewizyjnym lub zamontować na ścianie (niestety, w zestawie nie ma odpowiedniego mocowania). Beam posiada złącze HDMI, dzięki któremu połączenie urządzenia z telewizorem jest banalnie proste. Konfiguracja samego urządzenia również nikomu nie powinna sprawić kłopotu.

Na pochwałę zasługuje bardzo dobra jakość dźwięku oraz – po trwającej dwie-trzy minuty kalibracji – równomierność jego emisji w danym pomieszczeniu. Wydobywające się z Beama brzmienie jest czyste, ciepłe, z pełnym środkiem oraz górą. Brzmienie jest też praktycznie niezależne od tego, czy siedzimy na kanapie na wprost soundbara, czy np. na krześle przy dosuniętym do ściany stoliku. Trzeba jednak pamiętać, że Beam został zaprojektowany z myślą o małych lub średnich wnętrzach, jeśli więc ktoś ma ogromny salon z antresolą, to powinien rozważyć się za droższym modelem soundbara.

Niskie tony również są na przyzwoitym poziomie. Wydobywające się z czterech pełnopasemowych głośników niskotonowych basy nie są jednak wystarczająco głębokie oraz mocne, jeśli porównamy je z konkurentami z podobnej półki cenowej. Niestety, producent do modelu Beam nie dołącza w zestawie subwoofera. Możemy go



oczywiście dokupić, ale Sonus Sub to już spory wydatek (3399 zł).

Po stronie plusów trzeba też zapisać inteligentne dodatki. Beam jest bowiem nie tylko soundbarem, lecz także po połączeniu z siecią Wi-Fi może działać jako radio internetowe i odtwarzać setki stacji radiowych z całego świata. Ich wybór za pomocą darmowej aplikacji Sonos (dostępnej na urządzeniach z systemem iOS i Android) jest banalnie prosty. Przez Beama można też słuchać muzyki za pośrednictwem serwisów muzycznych, takich jak Apple Music, Google Play Music, Deezer, SoundCloud, Spotify, Storytel, Tidal, Tunes czy YouTube Music.

Beam nie tylko gra, lecz także słucha. Dzięki pięciu wbudowanym mikrofonom daje użytkownikowi możliwość używania inteligentnych asystentów (takich jak Alexa), dzięki czemu swoje ulubione utwory w Spotify można wybierać, używając poleceń głosowych. Można też za pomocą głosu zwiększyć głośność, całkowicie

wyciszyć dźwięk, a także zapytać asystenta o pogodę czy najnowsze wiadomości ze świata. Miłośników iPhone'ów ucieszy możliwość połączenia przez AirPlay 2. Szkoda jednak, że nie ma możliwości przesyłania strumieniowego treści audio za pośrednictwem Bluetooth. Brakuje również większej liczby portów HDMI. Kolejną wadę dostrzegą posiadacze modeli telewizorów starszych niż pięć lat. Testowany soundbar działa bowiem super, pod warunkiem że nasz telewizor obsługuje funkcję ARC, czyli kanał zwrotny audio. Jeśli nie, to zostaje nam połączenie za pomocą wejścia optycznego i optycznego konwertera audio, ale wówczas nie pogadamy już z „inteligentnym” asystentem.

Podsumowując: Sonos Beam to dobry subwoofer, który potrafi również odtwarzać muzykę ze stacji radiowych z całego świata i umożliwia korzystanie z inteligentnych asystentów. Cena: 1899 zł.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Jacek Przybylski

NO TO PO JAJECZKU



Kto nie lubi dobrze zjeść? Dobrze wypieczonego befsztyczka albo podsmażaną kiełbaskę z cebulką? No dobra, deputowana Spurek i ferajna spod znaku „ekoterrorystów” z Greenpeace'u nie lubi. Ale ta patelnia jest też dla nich. Mogą bowiem na niej podgrillować sobie

odrobinę brukselki – jeśli cierpienie tego warzywa ich nie przeraża – albo zrobić jajko sadzone. Prepd Skillet to bowiem całkiem niezły pomysł na patelniorondelek, którego można używać w domu do duszenia, smażenia na kuchence, ale też zabrać w teren i wykorzystać na grillu. Spokojnie, producent przekonuje, że nic się nie spali ani nie przypali. Patelnia, zgodnie z najnowszymi trendami w kuchni, jest oczywiście wykonana z żeliwa niepowlekanego żadnym chemicznym świństwem, za to jej powłokę pokryto poddanym specjalnej obróbce ciepłej olej z pestek winogron i utwardzono – jest oczywiście całkowicie gładka, by nie przywierało do

niej jedzenie. Prepd Skillet można zamówić na portalu Kickstarter za bagatela... ok. 320 zł. Dostawa w maju przyszłego roku.

NIEŻŁE SŁUCHAWKI

Odgradzanie się od otaczającego nas świata ścianą dźwięku stało się niestety coraz powszechniejsze. Jednak żeby było też skuteczne, przydatne są dobre słuchawki. Na przykład wodoszczelne NuFlo, z bardzo wysoką redukcją szumów, dobrej jakości dźwiękiem i możliwością sterowania dotykowego. Największą zaletą NuFlo jest zastosowanie w nich przez producenta funkcji ANC umożliwiającej blokowanie dostępu dowolnie wybranych dźwięków dobiegających z przestrzeni poza słuchawkami, dzięki czemu można słuchać wyłącznie tego, na co się akurat ma ochotę, albo cieszyć się absolutną ciszą. Cena słuchawek to ok. 350 zł, dostawa w grudniu, a zamawiać można na portalu Indiegogo. © ©

Wojciech Wybranowski





Polska chce być liderem w cyberbezpieczeństwie

O bezpieczeństwie sieci piątej generacji (5G), sztucznej inteligencji, ochronie tożsamości, cyfrowej zimnej wojnie, dezinformacji, a także o cyberzagrożeniach dla fintechów i ekonomicznym cyberszpiegostwie dyskutowali w Katowicach uczestnicy zorganizowanego przez Instytut Kościuszki Europejskiego Forum Cyberbezpieczeństwa CYBERSEC

Lad w cyberprzestrzeni to globalne wyzwanie XXI w. Ochrona prywatności i danych osobowych, tożsamości, godności, a także własności jest kluczowym warunkiem bezpiecznego funkcjonowania obywateli w tym nowym środowisku – zauważył prezydent Andrzej Duda w liście

do uczestników konferencji, który prof. Andrzej Zybortowicz odczytał tuż po rozpoczęciu 5. Europejskiego Forum Cyberbezpieczeństwa CYBERSEC.

POLSKI SPOSÓB NA 5G

Andrzej Duda podkreślił, że „bezpieczeństwo cyberprzestrzeni stało się

jednym ze strategicznych celów polskiej polityki”. Zauważył także, że „z uwagi na prawdopodobny istotny wpływ sieci 5G na rozwój polskiej gospodarki przy jej wdrażaniu priorytetem powinno być zapewnienie cyberbezpieczeństwa, przy równoczesnej gwarancji zapewnienia odpowiedniego poziomu technologicznego”. „Ważne jest nie tylko bezpieczeństwo infrastruktury, urządzeń końcowych, ale również budowanie świadomości użytkowników, jak w bezpieczny sposób skorzystać z sieci 5G” – zauważył prezydent. List do uczestników CYBERSEC napisał także premier. „Bezpieczeństwo rynku cyfrowego stanowi jeden z priorytetów



FOT. MATERIAŁ PRASOWY

w jednym dużym mieście. Do 2025 r. jej zasięg ma zaś objąć wszystkie najważniejsze polskie metropolie i główne szlaki komunikacyjne.

– Podpisane memorandum z operatorami telekomunikacyjnymi w sprawie utworzenia polskiej spółki 5G to wydarzenie pokazujące sposób podejścia do organizacji sieci 5G, jaki proponujemy w Polsce – mówił 29 października minister Zagórski. Na forum CYBERSEC ogłosił on także, że rządowa Strategia Cyberbezpieczeństwa Rzeczypospolitej Polskiej na lata 2019–2024 jest już gotowa. Głównym celem dokumentu jest zaś podniesienie poziomu odporności Polski na cyberzagrożenia oraz zwiększenie poziomu ochrony informacji w sektorze publicznym, militarnym i prywatnym. Podczas forum CYBERSEC Ministerstwo Cyfryzacji podpisało też porozumienie na rzecz cyberbezpieczeństwa z firmami z USA i ze Skandynawii, a więc z Cisco, Ericssonem i Nokią.

PAŃSTWO, PRZYSZŁOŚĆ, OBRONA I BIZNES

Hasłem przewodnim jubileuszowej edycji European Cybersecurity Forum – CYBERSEC 2019 – zorganizowanej przez Instytut Kościuszki największej konferencji w Europie Środkowo-Wschodniej poświęconej tematyce cyberbezpieczeństwa, połączonej z targami produktów i usług, było „Zabezpieczenie cyfrowego DNA świata”. – Wzywamy dziś do podjęcia kompleksowych działań, które zabezpieczą kluczowe aspekty naszego cyfrowego świata – powiedziała podczas ceremonii otwarcia prezes Instytutu Kościuszki Izabela Albrycht.

Uroczystości towarzyszyło wręczenie European CYBERSEC Award. Prestiżową nagrodę otrzymała w tym roku Republika Estonii oraz estońska prezydent Kersti Kaljulaid.

W wydarzeniu, które odbywało się w Katowicach od 29 do 30 października, wzięło udział ponad tysiąc uczestników, w tym przedstawiciele instytucji państwowych i rządów, międzynarodowi eksperci, reprezentanci świata biznesu, a także spółek technologicznych zarówno z Unii Europejskiej, jak i ze Stanów Zjednoczonych.

Dyskusje specjalistów od cyberbezpieczeństwa zostały podzielone na cztery równoległe ścieżki tematyczne. Pierwsza z nich to „państwo”.

Jak bowiem zauważają organizatorzy CYBERSEC 2019, „cyberprzestrzeń zrewolucjonizowała funkcjonowanie współczesnych państw”. W związku z tym konieczne jest m.in. wprowadzenie nowych przepisów, które pozwolą dostosować instytucje publiczne do nowych cyfrowych realiów. W ramach tej ścieżki dyskutowano m.in. o bezpieczeństwie sieci 5G, ale także o tym, jak naprawić cyfrową demokrację.

Ścieżka „przyszłość” pokazywała nadchodzące trendy, najnowsze innowacje i najnowsze zagrożenie. Eksperci dyskutowali m.in. o nowych technologiach, a zwłaszcza o roli sztucznej inteligencji (AI) jako kluczowego narzędzia, od którego zależy poziom bezpieczeństwa w cyberprzestrzeni. Z jednej strony AI pomaga bowiem w działaniach związanych z zapewnieniem cyberbezpieczeństwa, ale z drugiej jest często wykorzystywana do prowadzenia groźnych, zautomatyzowanych ataków.

Ścieżka „obrona” dotyczyła kwestii cyberobrony, zagrożeń hybrydowych, a także współpracy międzynarodowej. – Państwa nie są w stanie same zagwarantować cyberbezpieczeństwa. Aby myśleć o zastosowaniu prawa analogowego do cyberprzestrzeni, musimy wypracować wspólne porozumienie na arenie międzynarodowej – powiedziała prezydent Kersti Kaljulaid w nagraniu wyemitowanym podczas forum CYBERSEC. Z tezą tą zgadzają się też polscy rządzący. Polska aktywnie uczestniczy więc w działaniach Unii Europejskiej i NATO mających chronić wspólną cyberprzestrzeń. Dyskutanci rozmawiali również o bezpieczeństwie tzw. inteligentnych miast.

Uczestnicy debat w ramach ścieżki „biznes” przypominali z kolei, że kwestia zapewnienia cyberbezpieczeństwa stanowi wyzwanie dla każdego przedsiębiorcy, niezależnie od tego, czy to mały przedsiębiorca czy wielki międzynarodowy koncern. Dyskutowali także na temat cyberszpiegostwa przemysłowego, a także o sposobach zabezpieczenia cyfrowej transformacji usług finansowych.

Eksperckim dyskusjom tradycyjnie towarzyszyły również CYBERSEC EXPO, czyli międzynarodowe targi, na których prezentuje się ponad 50 firm oraz start-upów działających w sektorze cyberbezpieczeństwa.

polskiego rządu” – podkreślił Mateusz Morawiecki.

„Nowe możliwości wynikające z zastosowania technologii związanych z budową sieci 5G, takich jak inteligentne miasta i pojazdy autonomiczne, są w zasięgu polskich firm i ośrodków naukowych. Chcę, aby Polska była liderem nie tylko w wykorzystaniu tych technologii, ale również w tworzeniu innowacyjnych rozwiązań przetwarzania danych. Podkreślam jednak, że wszystkie te rozwiązania muszą być tworzone w oparciu o najwyższe standardy cyberbezpieczeństwa, tak aby ich stosowanie nie stanowiło zagrożenia dla użytkowników oraz dla bezpieczeństwa państwa” – dodał premier.

Obecny w Katowicach szef resortu cyfryzacji Marek Zagórski zauważył z kolei, że polski rząd będzie wdrażał przepisy związane z zapewnieniem bezpieczeństwa sieci piątej generacji.

Dyskusja na temat cyberzagrożeń związanych z 5G jest potrzebna, ponieważ rozwój w Polsce sieci piątej generacji nie jest już wcale pieśnią przyszłości. Ministerstwo Cyfryzacji zapowiada, że uruchomienie sieci 5G nastąpi już w roku 2020 co najmniej

JACEK PRZYBYLSKI: Polska chce być liderem w cyberbezpieczeństwie – zapowiedział w liście skierowanym do uczestników forum CYBERSEC w Katowicach premier Mateusz Morawiecki. Czy rzeczywiście w dziedzinie, w którą zaangażowane są takie mocarstwa jak USA, Chiny czy Rosja, Polacy mogą odgrywać znaczącą rolę?

IZABELA ALBRYCHT: Zdecydowanie tak. Cyberbezpieczeństwo nie jest dziedziną zarezerwowaną jedynie dla dużych państw, takich jak USA, Chiny czy Rosja. Doskonały przykład stanowi Estonia, która może pochwalić się jednym z najlepiej rozwiniętych cyfrowych ekosystemów państwowych. Warto zwrócić uwagę, że technologia opracowana przez Estończyków jest wykorzystywana przez NATO, Departament Obrony USA oraz systemy informacyjne Unii Europejskiej. Poziom zaawansowania technologicznego tego niewielkiego kraju, a także bezpieczeństwo całego systemu informatycznego osiągnięte dzięki utworzeniu jego kopii zapasowej w chmurze publicznej, wskazują Estonię jako przykład dla innych.

Podczas tegorocznej edycji CYBERSEC Forum ambasador Martin Roger odebrał nagrodę European CYBERSEC Award będącą wyrazem uznania za zasługi dla rozwoju cyberbezpieczeństwa jako części bezpieczeństwa narodowego, społecznego i gospodarczego. Estonia została nagrodzona za pracę, którą wykonała na rzecz budowy zaufania w cyberprzestrzeni i zabezpieczenia cyfrowego DNA świata, a także wsparcie projektu „3 Seas Digital Highway” – inicjatywy budowy infrastruktury cyfrowej wzdłuż zaplanowanych dróg transportowych i linii energetycznych.

Podczas ceremonii otwarcia CYBERSEC Forum wezwała pani do podjęcia kompleksowych działań, „które zabezpieczą kluczowe aspekty naszego cyfrowego świata”. Jakie działania są obecnie najpilniejsze?

Cyberbezpieczeństwo to niezwykle złożone zagadnienie. Obecnie prowadzone są ożywione dyskusje na temat bezpieczeństwa 5G czy wpływu mediów społecznościowych na procesy demokratyczne, ale równie ważne jest bezpieczeństwo urządzeń mobilnych czy Internetu rzeczy. Prowadząc działania mające na celu zapewnienie bezpieczeństwa cyfrowego, należy pamiętać, że technologia ma służyć przede wszystkim człowiekowi. Dlatego należy zadbać zarówno o aspekt etyczny wykorzy-



Z Izabelą Albrycht, prezesem Instytutu Kościuszki rozmawia Jacek Przybylski

Haker

może zaatakować nawet elektryczną szczoteczką do zębów



FOT. INSTYTUT KOŚCIUSZKI

stywania technologii, jak i prywatność użytkowników. Wszystkie sugestie ekspertów Instytutu Kościuszki dotyczące działań mających na celu zabezpieczenie kluczowych aspektów cyfrowego świata zostały ujęte w Deklaracji Zabezpieczenia Cyfrowego DNA Świata.

Dzień przed rozpoczęciem forum CYBERSEC podpisano memorandum w sprawie budowy sieci 5G w Polsce. Jakie zagrożenia niesie ze sobą budowa sieci piątej generacji?

Uznawany za katalizator dla cyfryzacji rozwój technologii sieciowych piątej generacji ma kluczowe znaczenie dla globalnego postępu gospodarczego. W momencie wdrożenia na dużą skalę technologia 5G stanie się podstawą dla całego rynku nowych usług cyfrowych i budowania cyfrowego społeczeństwa przyszłości. Dlatego niezwykle ważne jest, aby przy tworzeniu infrastruktury na potrzeby 5G nawiązać współpracę z partnerami godnymi zaufania. W przeciwnym wypadku trudno będzie zapewnić bezpieczeństwo usług działających w oparciu o sieć piątej generacji. Musimy mieć pewność, że dostęp do kluczowych danych będzie odpowiednio zabezpieczony i nie będą one wykorzystywane m.in. na potrzeby działań szpiegowskich.

Uważamy, że projekty pilotażowe w miastach oraz sieciach przemysłowych w oparciu o europejską, amerykańską, japońską czy południowokoreańską technologię, pokazują, że potencjał technologiczny, a także wielkość rynku cyfrowego obszaru definiowanego jako „like-minded countries” nie musi skazywać Europy na wdrożenie sieci 5G w modelu zwiększającym jej dalszą zależność technologiczną.

Rozwój technologii 5G sprawił, że NATO i UE stanęły przed dylematem: biznes czy bezpieczeństwo. Czy fakt, że podczas pierwszego dnia Forum CYBERSEC w Katowicach porozumienie na rzecz cyberbezpieczeństwa z Ministerstwem Cyfryzacji podpisały firmy amerykańskie i skandynawskie, a USA podpisały w tym roku wspólne deklaracje ws. budowy sieci 5G z Polską, Rumunią i Estonią, oznacza, że ten dylemat został już rozwiązany, a Chińczycy ostatecznie przegrali walkę o budowę sieci 5G w takich krajach jak Polska?

Moim zdaniem biznes wcale nie stoi w sprzeczności z bezpieczeństwem. Wręcz odwrotnie. Bezpieczeństwo leży w jak najlepszym interesie biznesu, stąd takie, a nie inne decyzje podejmowane przez poszczególne kraje. Osobi-

ście stoję na stanowisku, że wyborem optymalnym zarówno pod względem biznesowym, jak i pod względem zapewnienia odpowiedniego poziomu bezpieczeństwa jest korzystanie z potencjału firm europejskich. Uważam, że unijne środki powinny znacznie bardziej niż w poprzednich perspektywach realnie finansowych wspierać budowę cyfrowego potencjału, w tym pomagać europejskim firmom w zwiększaniu innowacyjności technologicznej w zakresie całego ekosystemu 5G, czyli nie tylko rozwiązań dla budowy sieci 5G, lecz także dla jej warstwy aplikacyjnej oraz usług i produktów końcowych.

Jestem przekonana, że wszystkie kraje Unii Europejskiej powinny bardziej otworzyć swoje rynki dla dostawców europejskich nie tylko po to, aby wzmocnić patriotyzm gospodarczy w wymiarze UE, lecz także dlatego, aby

walczyć z tymi zagrożeniami ramię w ramię – co zgodnie podkreślali uczestnicy tegorocznej konferencji CYBERSEC CEE.

29 października została podpisana Deklaracja Zabezpieczenia Cyfrowego DNA Świata. Cyfrowe DNA odnosi się do sposobu tworzenia i wdrażania nowych rozwiązań oraz infrastruktury cyfrowej, a także produktów i usług, mając na uwadze cyberbezpieczeństwo i poszanowanie prywatności użytkowników. Jest to jednocześnie długoterwale zobowiązanie do promowania odpowiedzialnych i świadomych zachowań opartych na zasadzie „security and privacy by design”. Tak naprawdę o cyberbezpieczeństwie powinny myśleć nie tylko kraje czy instytucje.

Internet rzeczy (IoT) coraz bardziej wkracza do naszego życia. Czy szybki rozwój IoT oznacza, że przeciętny Kowalski musi o wiele bardziej dbać

Bardzo często ci sami ludzie jednego dnia włamują się, kradnąc dane po to, by na tym zarabiać, a kolejnego dokonują skoordynowanych ataków na zlecenie swoich rządów

wzmocnić cyfrową „strategiczną autonomię”, która powinna być celem nowej Komisji Europejskiej i poszczególnych krajów unijnych.

Według szacunków analityków całkowite straty sektora publicznego i prywatnego na świecie wynikające z cyberprzestępczości już w 2021 r. mogą wynosić ponad 6 bln dol. rocznie. Kto obecnie bardziej zagraża cyberbezpieczeństwu: cyberprzestępcy czy też wyspecjalizowane oddziały hackerów pracujące na zlecenie takich krajów jak Rosja, Chiny czy Iran? I jak kraje mogą sobie z tym zagrożeniem radzić?

Istnieją przypadki, w których grupy przestępcze dokonujące cyberataków oprócz tego, że działają w celu zaspokojenia swoich potrzeb, są wykorzystywane przez rząd do przeprowadzania ataków na inne państwa. Stąd rozgraniczenie w pana pytaniu w moim przekonaniu nie jest do końca właściwe, bo bardzo często ci sami ludzie jednego dnia włamują się, kradnąc dane po to, by na tym zarabiać, a kolejnego dokonują skoordynowanych ataków na zlecenie swoich rządów.

Aby radzić sobie z tego typu zagrożeniami, konieczna jest współpraca rządów firm i instytucji. Wszyscy musimy

o swoje cyfrowe bezpieczeństwo? Co można zrobić, aby zabezpieczyć swoje dane i swoją tożsamość?

Jak powiedział jeden z panelistów tegorocznej edycji CYBERSEC, nawet elektryczna szczoteczka do zębów może być źródłem cyberataku, jeżeli urządzenie to jest połączone np. z komputerem. Ten przykład jest pewnym wyolbrzymieniem, ale pokazuje, że przeciętny użytkownik nie powinien lekceważyć potencjalnych zagrożeń. Aby zabezpieczyć się przed cyberatakiem, należy przyjąć zasadę ograniczonego zaufania, np. nie otwierać linków czy załączników z e-maili wysyłanych przez nieznanych nadawców czy ostrożnie korzystać z publicznych sieci Wi-Fi. Warto również regularnie robić backup danych na wypadek, gdybyśmy utracili do nich dostęp na skutek ataku. Taką wiedzę przekazywaliśmy uczestnikom formatów edukacyjnych CYBERSEC Seniors i Youth.

Niezwykle ważna jest edukacja w zakresie cyberbezpieczeństwa. Wierzmy, że wydarzenia, takie jak CYBERSEC CEE, przyczyniają się do wzrostu świadomości nie tylko przedstawicieli biznesu, lecz także przeciętnych użytkowników, którzy w tym roku odwiedzili katowickie MCK.

Lista niespodzianek



Katarzyna Pinkosz

Listopadowa lista refundacyjna była w tym roku rekordowa. Czy nowe leki przełożą się na dłuższe życie pacjentów?

Co dwa miesiące Ministerstwo Zdrowia publikuje listy leków refundowanych. Są na nich zarówno leki kupowane na receptę, jak i te, do których dostęp jest tylko w ramach tzw. programów lekowych, przeznaczonych dla wąskich grup chorych. W 100 proc. płaci za nie NFZ; to zwykle leki najdroższe, a chorzy, którzy je dostają, muszą dodatkowo spełnić określone kryteria kwalifikacji do programów.

Nowe terapie zwykle są drogie; z powodu wciąż szczupłych pieniędzy przeznaczanych w Polsce na ochronę zdrowia, pacjenci na refundację czekają często wiele lat. Jednak w tym roku na listy trafiło sporo nowych leków, a ta listopadowa była prawdziwą listą niespodzianek.

PRZEWROT KOPERNIKAŃSKI

Tak nazwano refundację flozyn w cukrzycy typu 2. Flozyny to jedna z dwóch nowoczesnych grup leków przeciw cukrzycy (obok tzw. analogów GLP-1,

czyli niektórych leków inkretynowych), które prócz tego, że obniżają stężenie cukru we krwi, wydłużają życie. Już kilka lat temu diabetolodzy zwrócili uwagę, że celem leczenia cukrzycy nie jest obniżanie poziomu cukru samo w sobie, tylko wydłużenie życia. Chory zaś będzie żył dłużej, jeśli ustrzeże się powikłań cukrzycy, przede wszystkim tych, które skracają życie, czyli sercowo-naczyniowych (zawał serca, udar mózgu, niewydolność serca) i nerkowych. Dzięki flozynom nadmiar cukru jest wydalany z moczem, spada on więc we krwi. Najważniejsze są jednak inne właściwości tych leków: zmniejszenie ryzyka zawałów serca, udarów mózgu, niewydolności serca, chorób nerek. – Te leki były hitem tegorocznego kongresu Europejskiego Towarzystwa Kardiologicznego: okazało się, że poprawiają sytuację chorych na niewydolność serca, także tych, którzy nie mają cukrzycy – podkreśla minister zdrowia Łukasz Szumowski.

Flozyny od listopada są refundowane, choć tylko dla części pacjentów z cukrzycą typu 2: tych, u których za pomocą dwóch leków doustnych (metforminy i pochodnych sulfonilomocznika) nie udaje się kontrolować choroby. – Do tej pory pacjenci w takiej sytuacji przechodzili na insulinę. Zdaniem ekspertów dzięki przyjmowaniu flozyn czas do zastosowania insuliny wydłuży się o dwa–cztery lata. Refundacja flozyn była od dawna oczekiwana przez środowisko pacjentów i lekarzy ze względu na ochronę serca i nerek, dlatego bardzo się cieszymy, że udało się tak wynegocjować ceny z trzema producentami, że leki będą dostępne – mówi wiceminister zdrowia Maciej Miłkowski, odpowiedzialny za refundację leków. Podkreśla, że warto poszerzać grupę pacjentów, dla których flozyny będą refundowane: obecnie eksperci zalecają ich stosowanie u wszystkich osób z cukrzycą typu 2 zagrożonych chorobami sercowo-naczyniowymi i schorzeniami nerek.

Flozyny to niejedyna zmiana w leczeniu cukrzycy. W refundacji znalazły się też nowa duża działająca insulina do pomp insulinowych oraz – dla osób z cukrzycą typu 1 w wieku od czterech do 18 lat – FGM, czyli nowy system do monitorowania glikemii. Aby sprawdzić poziom cukru we krwi, wystarczy przytknąć czytnik (lub telefon komórkowy ze specjalną aplikacją) do elektrody umieszczonej pod skórą.

NOWOŚCI W ONKOLOGII

Dostęp do nowoczesnych leków w tym roku bardzo się poszerzył, m.in. o nowe terapie w raku płuca, piersi, szpiczaku. Z listopadowych zmian cieszą się chorzy na przewlekłą białaczkę limfocytową. PBL to choroba inna niż wszystkie nowotwory krwi, gdyż co trzeci chory nigdy nie będzie wymagał leczenia. – Jednak jedna trzecia wymaga leczenia od razu, a jeśli pacjent nie odpowiada na leczenie pierwszego rzutu, którym najczęściej jest chemioterapia lub immunochemioterapia, albo szybko dochodzi do progresji choroby, to rokowanie najczęściej jest złe – tłumaczy prof. Krzysztof Giannopoulos, kierownik Oddziału Hematologicznego Centrum Onkologii Ziemi Lubelskiej. W takim przypadku jedynym wyjściem były leki nowej generacji: mogli je jednak dostać tylko chorzy mający określone zmiany genetyczne: delecję 17p lub mutację TP53. Od listopada jedna z nowych terapii (połączenie dwóch leków) będzie dostępna dla wszystkich chorych. – Cieszę się, że to leczenie udało się udostępnić, bo do tej pory dwie trzecie pacjentów z oporną postacią choroby było pozbawionych leczenia – mówi wiceminister Miłkowski.

Korzystnymi dla pacjentów decyzjami zakończyły się też długie negocjacje dotyczące raka jelita grubego: w programie lekowym znalazł się lek, który można stosować w trzeciej i czwartej linii terapii.

DLA KOŚCI I SPRAWNOŚCI

Co piąta kobieta i co trzeci mężczyzna umierają w ciągu roku po złamaniu szyjki kości udowej, będącym następstwem osteoporozy: to rokowanie gorsze niż w wielu nowotworach. – Pacjent staje się mniej sprawny, co prowadzi do powikłań, także śmiertelnych. Po złamaniu kręgosłupa czy szyjki kości

udowej, kiedy chory jest unieruchomiony, często dochodzi do zapalenia płuc i zakrzepicy – wyjaśnia prof. Witold Tłustochowicz, były konsultant krajowy w dziedzinie reumatologii. Pacjentów ucieszy, że został zlikwidowany absurd polegający na tym, że najnowocześniejszy lek na osteoporozę (stosowany w przypadku niepowodzenia wcześniejszych terapii) był refundowany tylko dla kobiet, a w dodatku sama choroba nie była wskazaniem do refundacji, musiało dojść do złamania. Mężczyźni nie mogli go kupić ze zniżką, nawet gdyby zdarzyło im się to wielokrotnie. Po zmianach już nie trzeba będzie być kobietą po złamaniu, by móc kupić go ze zniżką lub dostać za darmo w przypadku osób powyżej 75. roku życia.

Z dobrych wiadomości cieszą się też pacjenci ze stwardnieniem rozsianym: od listopada dostępne są dwa nowe leki dla chorych z postacią rzutowo-remisyjną SM, a jeden z nich może być też stosowany w postaci pierwotnie postępującej choroby. To szczególnie ważne, gdyż do tej pory ta grupa nie miała skutecznego leczenia. Nową opcję zyskały też osoby z chorobą Leśniowskiego-Crohna, a także pacjenci z ciężką astmą, tzw. eozynofilią. Większy wybór terapii będą miały także osoby z tzw. hipercholesterolemią rodzinną, u których wysoki poziom „złego” cholesterolu (LDL), prowadzący

Miłkowskiemu, wielu ekspertów i wiele organizacji pacjenckich.

CZEKANIE NA DALSZY CIĄG

Wysyp nowych leków na listach nie oznacza, że chorzy mają już taki dostęp do terapii jak w innych krajach UE. W cukrzycy zabrakło refundacji analogów GLP-1, wskazanych dla nieco innych pacjentów niż flozyny; w opornej PBL – drugiego leku dla chorych bez genetycznych mutacji. Kardiolog podkreśla, że nowe leki (inhibitory PCSK9), obniżające poziom LDL-cholesterolu, powinna stosować większa grupa pacjentów, gdyż obniżenie LDL to ochrona przed miażdżycą i jej konsekwencjami. Modyfikacji leczenia oczekują m.in. chorzy na raka płuca, nerki, piersi, czerniaka, przewlekłą białaczkę szpiczkową, ostrą białaczkę limfoblastyczną, niewydolność serca, migotanie przedsionków czy rzadkie choroby genetyczne jak mukowiscydoza czy akromegalia. – Procesy refundacyjne trwają, staramy się udostępniać nowe terapie, na pewno niektóre pojawią się już w styczniu. Negocjujemy – zapewnia wiceminister Miłkowski.

Nowe leki są drogie, jednak wiele z nich wydłuża życie i poprawia jego jakość. Chorzy mogą lepiej funkcjonować, niektórzy nadal pracują, rzadziej korzystają ze zwolnień i rent; inni lepiej

Warto raz w roku zrobić morfologię, OB, badanie moczu, USG jamy brzusznej, systematycznie sprawdzać poziom cukru we krwi i korzystać z programów przesiewowych (cytologia, mammografia, kolonoskopia)

do miażdżycy, jest uwarunkowany genetycznie i nie daje się go obniżyć tylko za pomocą diety i stylu życia. W przypadku bardzo wysokiego LDL i braku efektu stosowania dotychczasowych leków (m.in. statyn) będzie możliwość wyboru pomiędzy dwiema nowoczesnymi terapiami.

Na listach pojawił się też lek stosowany w obrzuku naczynioruchowym; bardzo potrzebny, gdyż obrzęk dotyczący górnych dróg oddechowych może skończyć się zgonem. Nowych terapii było dużo, dlatego sukcesów negocjacyjnych gratulowało ministerstwu, a przede wszystkim wiceministrowi Maciejowi

funkcjonują w życiu społecznym. To wszystko przekłada się na oszczędności ZUS. Jednak leki to tylko część układanki. Zdecydowanej większości chorób cywilizacyjnych można zapobiec (zmiana stylu życia), a gdyby to chociaż częściowo się udało, to zaoszczędzone pieniądze można by przeznaczyć na leczenie. Jego wyniki bardzo poprawia wczesne wykrywanie chorób i dlatego naprawdę warto raz w roku zrobić morfologię, OB, badanie moczu, USG brzucha, systematycznie sprawdzać poziom cukru we krwi i korzystać z programów przesiewowych (cytologia, mammografia, kolonoskopia).

RYCERZE I WARCHOŁY

Pierwszy zesłaniec polityczny



JACEK KOMUDA

Jednym z pierwszych zesłańców politycznych w głąb Rosji był prawdopodobnie Wacław Piotr Rzewuski, hetman polny koronny, pisarz i poeta. Choć już w XVI i XVII w. Moskale osadzali na wschodzie Polaków i Litwinów, to byli to jednak jeńcy brani do niewoli w czasie wojen, a nie dostojnicy porywani z własnych domostw.

Wacław Rzewuski – urodzony w roku 1706 w magnackiej rodzinie, już w 1729 r. poseł na sejm – był synem hetmana wielkiego koronnego Stanisława Mateusza. Takich jak on od dziecka zapisywano do rejestru chorągwi, aby wcześniej zdobyli zasługi. Nic dziwnego, że od roku 1728 był dowódcą kompanii piechoty w regimencie buławy wielkiej koronnej, a po śmierci ojca został rotmistrzem jego chorągwi pancernej. Wkrótce jako stronnik nowo wybranego króla Stanisława Leszczyńskiego obronił przed wkraczającymi Rosjanami twierdzę w Kamieńcu Podolskim.

Przez długi czas popierał wypędzonego króla, licząc na pomoc Turcji, dopiero w 1735 r. uznał władzę narzuconego przez Rosję Augusta III Sasa, co ten zresztą wynagrodził mu, czyniąc Rzewuskiego wojewodą podolskim. Rzewuski popierał później partię królewską i Familię Czartoryskich, przeciwstawiając się stronnictwu Potockich.

Wierna służba u Augusta III zaowocowała kolejną godnością – w 1752 r. został hetmanem polnym. W 1756 r. opublikował pod imieniem syna Seweryna „Myśli w teraźniejszych okolicznościach Rzeczypospolitej”, pismo polityczne, w którym postulował reformę obrad sejmu i trybunałów, aukcję wojska i przywrócenie popisów pospolitego ruszenia szlachty, które zwiększyłyby siłę Rzeczypospolitej. Po śmierci Augusta III Sasa pozostał wierny Wettynom, wydając jednocześnie kolejne pisma nawołujące do zreformowania Rzeczypospo-



FOT. WIKIPEDIA

litej, pisząc dramaty i lamente po zmarłym.

Rzewuski nie był stronnikiem kolejnego władcy – Stanisława Augusta Poniatowskiego, dopiero w 1764 r. uznał wybór nowego króla. Trzy lata później dołączył do konfederacji radomskiej, uchwalonej przez patriotyczną i katolicką szlachtę. Wraz z biskupami Kajetanem Sołtykiem i Józefem Załuskim stał się jednym z głównych przywódców opozycji na zbliżającym się sejmie. Wywołało to gniew ambasadora rosyjskiego Repnina, który próbował Rzewuskiego zastraszyć, ale hetman nie uległ naciskom i – jak podaje Zofia Zielińska – już w pierwszym dniu sejmu, 5 października 1767 r., poparł bp. Sołtyka przeciwstawiającego się żądaniu równouprawnienia innowierców. W rzeczywistości sprawa szła o wiele większą stawkę niż prawa dla protestantów i prawosławnych – odrzucając je, szlachta protestowała przeciwko mieszanemu się przez Rosję w sprawy Rzeczypospolitej.

Jak pisze Zielińska: „Głos Rzewuskiego w istotny sposób przyczynił się do utwierdzenia oporu izby wobec żądań rosyjskiego posła; obawiając się dalszych wypowiedzi w tym duchu, Stanisław August

zawiesił sesję. Podobnie wypowiadał się Rzewuski i w następnych dniach”. Rozwścieczony Repnin najpierw kazał rozmieścić wojsko w dobrach hetmana, a kiedy to go nie złamało, 14 października bezprawnie uwięził i wywiozł z Warszawy przywódców opozycji – Wacława Rzewuskiego, biskupów Sołtyka i Załuskiego. Za hetmanem podążył także jego syn – Seweryn.

Było to wydarzenie bez precedensu: udowadniało wszem wobec, że Rzeczpospolita jest moskiewskim protektorem, a Katarzyna nie cofnie się przed niczym, aby narzucić swoją wolę Polakom i Litwinom. Rzewuskiego wywieziono do Wilna, a potem do Smoleńska, skąd na wieść o wybuchu konfederacji barskiej przeniesiono opozycjonistów do Kaługi. Byli więzieni aż do stycznia 1773 r., przy czym ani Rzewuski, ani żaden z uwięzionych nigdy nie poprosili Katarzyny o łaskę.

Hetman wrócił ciężko chory, w dodatku nie mógł pojechać do swoich dóbr, do Podhorców, w których zgromadził galerię obrazów, gdyż na skutek pierwszego rozbioru znalazły się pod panowaniem austriackim. Na otarcie łez Stanisław August przyznał mu godność hetmana wielkiego koronnego. Jednak Rzewuski był już tylko cieniem człowieka.

Podobno do końca życia, na znak żałoby po utraconych w wyniku rozbiorów ziemiach, nosił zapuszczoną w niewoli brodę. Aż do śmierci w 1779 r. próbował znaleźć sposób na uratowanie Rzeczypospolitej, która – jak twierdził – „już dawno umarła, tylko się zapomniała wyrzucić”, obmyślał nowe konfederacje, postulował przyłączenie się do wojny o sukcesję bawarską, byle tylko uzyskać niezależność od Moskwy. Tak czy owak, pozostała po nim pamięć jako o jednym z pierwszych rosyjskich więźniów politycznych. ©©

NATURALNY CHRZAN WEDŁUG RODZINNEGO PRZEPISU JACKA ŻALKA

Chrzan jest bardzo zdrowy, wzbogaca dietę i ułatwia trawienie tłustych dań i nadmiernych ilości mięsa, ale niestety często zastępujemy go wszystkim, co przychodzi do nas z Zachodu.

Ci, którzy mają uraz do chrzanu, bo kupują gotowy chrzan w słoiczkach, nie znają jego prawdziwego smaku. A to dlatego, że w polskim przetwórstwie dodaje się do niego ocet, co jest obrzydliwe i zabija jego prawdziwy smak. Robi się to po to, by chrzan nie szczylił, ale jest na to lepszy sposób, stosowany w mojej rodzinie od pokoleń. Chrzan zalewa się wrzątkiem i dodaje sok z cytryny, którego smak koresponduje ze smakiem chrzanu i nie zabija go tak jak ocet. Przepis, który mam od mojej babci, a ona poznała go od swojej mamy, jest prosty, ale tak przyrządzony chrzan jest absolutnie doskonały.

Składniki:

- świeże korzenie chrzanu
- sok z cytryny
- woda
- sól

Przygotowanie:

Chrzan obieramy i drobno ucieramy (możemy użyć termomiksu czy maszynki do mielenia mięsa), sparzamy go wrzątkiem (nie przesadzajmy z jego ilością) i mieszamy. Dodajemy sok z cytryny (mniej więcej z jednej, półtorej cytryny na litrowy słoik chrzanu), możemy odrobinę posolić. I gotowe – po ostygnięciu przekładamy chrzan do słoików i szczelnie zamykamy. Tak przygotowany chrzan może stać nawet do miesiąca i nie straci walorów smakowych. ©©

oprac. raw

Jacek Żalek jest posłem PiS.

FOT. DAREK GOLIŃSKI/FOPIUM



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Kuchnia dla ambitnych

Nieszpułka jest to coś podobnego do dzikiej róży czy głogu. Znana jest od starożytności, jadali ją Rzymianie, przez całe średniowiecze – Francuzi i Anglicy. Nieszpułka występuje w literaturze bardzo obficie. [...] Pojawia się na kolacji u księcia Saliny, bohatera powieści »Gepard« Giuseppe Tomasi di Lampedusa: »Ledwo zjedzono podane na koniec obiadu owoce nieszpułki, rozległ się turkot zajeżdżającego przed pałac pojazdu«.

Proszę się nie martwić, jeżeli dotąd nie słyszeli państwo o nieszpułce. Ja również dowiedziałam się o niej dopiero z książki Łukasza Modelskiego »Droga przez mękę, czyli literatura dla kucharek« (Znak). Chociaż »Lamparta« czytałam (»Gepard« to tytuł nowego przekładu), to nieszpułka jakoś mi umknęła. O tym mało znanym owocu oraz o wielu innych rzeczach dowiedziałam się od Łukasza Modelskiego i jego rozmówców, których co tydzień gości w sobotniej audycji »Droga przez mękę« w programie II Polskiego Radia. Teraz, po siedmiu latach, autor wybrał 50 najbardziej literackich spośród przeprowadzonych rozmów.

Jest zatem o tym, że ulubioną potrawą komisarza Maigret, bohatera powieści Georges'a Simenona, była pieczeń ze szczawiem. Jakie piwo pijał Jarosław Haszke? Co na śniadanie jadał Hans Castorp?

Gdzie kupował ostrygi Charles Dickens? Czy jedzenie było ważne dla Flauberta? Jak jadał Wokulski, a jak Rzecki? Pada tu jeszcze wiele, wiele nazwisk, z literatury i nie tylko. Marc Minkowski, Ian Fleming, Leopold Tyrmand, Miron Białoszewski...

Ostrzegam, jest erudycyjnie. Modelski, mediewista z wykształcenia, ma skłonność do przechadzania się po odmętach historii, a towarzystwa dotrzymują mu rozmówcy. Jednak erudycyjnie nie znaczy nudno. To nie są wywody, lecz gawędy prowadzone w rytmie eleganckiego dialogu. Ozdobą książki są urocze, subtelne



ilustracje Zofii Różyckiej, w których niektórzy doszukają się reminiscencji starych rycin botanicznych, inni stylu francuskiego rysownika Sempé, a jeszcze inni przypominają sobie styl ilustracji dawnego »Przekroju«.

Problemy pierwszego świata? Być może.

Jednak napisane to i skonstruowane tak błyskotliwie, że chce się czytać. A kto zechce od części teoretycznej przejść do praktycznej, jest gotowy na kuchnię niekonwencjonalną, nie boi się trudności i ma trochę czasu, to proszę, są także przepisy. Jak zrobić blanquette de veau, minogi po warszawsku, słoninę na dwa sposoby, sandacza w sosie koperkowym. Tylko proszę nie zatłuścić kartek książki, bo naprawdę jest bardzo ładna. ©©



OPANCERZONA BESTIA

Mercedes-Benz G500 4x4² to opancerzona wersja SUV-a stworzona przez niemiecką firmę Gruma z myślą o bogaczach w Rosji, Wenezueli czy na Bliskim Wschodzie. Luksusowa forteca na kołach powinna przetrwać nie tylko ostrzał z karabinu maszynowego, lecz także nawet wybuch miny przeciwczołowej. Opancerzoną „gwiazdę” napędza 4-litrowy silnik V8 o mocy 416 KM. Chociaż z zewnątrz pojazd wygląda groźnie, to wewnątrz pozostało luksusowe. Cena opancerzonego modelu Enok P1 nie jest oficjalnie znana. Najprawdopodobniej znacząco przekroczy jednak równowartość miliona złotych. ©

FOT. MATERIAŁ PRASOWE

PROGRAM „KAMERA+”, CZYLI KTO ZAROBI NA NIEJASNYCH PRZEPISACH



Jacek Przybylski

W Polsce co roku dochodzi mniej więcej do 500 tys. wypadków i kolizji. Co roku ginie u nas na drogach ok. 3 tys. osób, a kilkadziesiąt tysięcy zostaje rannych. Politycy – i to wyjątkowo zarówno ci rządzący, jak i opozycyjni – chętnie pokazują, że chcą coś na drogach zmienić, jednocześnie nie irytując wyborców znaczącym podwyższaniem wysokości mandatów za przekroczenie prędkości (choć to jedna z najczęstszych przyczyn wypadków). Parlament uchwalił więc niezwykle potrzebne przepisy dotyczące obowiązku tworzenia korytarzy życia (jeśli będą egzekwowane, to mogą ocalić wiele istnień) oraz nieprecyzyjne przepisy dotyczące obowiązkowej jazdy na suwak.

Jazda na suwak, inaczej nazywana jazdą na zakładkę, jest znanym i sprawdzonym na świecie sposobem na rozładowanie korków w miejscach, w których następuje zwężenie jezdni. Technika działa świetnie wszędzie tam, gdzie kierowca wpuszczanego pojazdu nie zmienia pasa wcześniej niż przed końcem swojego pasa, a kierowca pojazdu wpuszczającego ustępuje miejsca dokładnie jednemu pojazdowi z pasa, który się kończy. Wówczas jazda jest płynna, a ruch na wszystkich pasach wyrównany, więc zatory szybko się rozładują.

Jazda na suwak w wielu krajach świata wiąże się z kulturą jazdy. Również w Polsce samochodowy *savoir-vivre* zdaje się coraz powszechniejszy. Jednocześnie wielu kierowców ma problem ze stosowaniem prostych zasad dotyczących pierwszeństwa. Na przykład podczas zmiany pasa ruchu pierwszeństwo ma zawsze pojazd już znajdujący się na tym pasie ruchu lub ten, który wjeżdża na pusty pas z prawej strony. Wystarczy jednak krótka podróż po Polsce, aby przekonać się, że wielu zjeżdżających z lewego pasa na środkowy ani myśli ustępować tym, którzy w tym samym momencie na środkowy pas chcieliby wjechać z prawego pasa. Wielu lekceważy też przepisy dotyczące zielonej strzałki lub pędzi setką po miejskich uliczkach.

W takich realiach polscy posłowie i senatorowie zdecydowali się na wprowadzenie nieprecyzyjnych przepisów dotyczących obowiązku jazdy na suwak. Zgodnie z nowymi przepisami bowiem „w warunkach znacznego zmniejszenia prędkości na jezdni z więcej niż jednym pasem ruchu w tym samym kierunku jazdy, w przypadku gdy nie istnieje możliwość kontynuacji jazdy pasem ruchu z powodu wystąpienia przeszkody na tym pasie ruchu lub jego zanikania, kierujący pojazdem poruszający się sąsiednim pasem ruchu jest obowiązany, bezpośrednio przed miejscem wystąpienia przeszkody lub miejscem zanikania pasa ruchu, umożliwić jednemu pojazdowi lub jednemu

zespółowi pojazdów, znajdującym się na takim pasie ruchu zmianę tego pasa ruchu na sąsiedni, którym istnieje możliwość kontynuacji jazdy”.

Polski bubel prawny zostawia bowiem niebezpiecznie szeroki margines do dowolnej interpretacji przez kierowców. Po pierwsze: Czy jeśli dojdzie do kolizji, to mandat dostanie dwóch kierowców – zmieniający pas (nazwijmy go A) za wymuszenie pierwszeństwa, a znajdujący się na kontynuowanym pasie ruchu (kierowca B) za niezastosowanie się do przepisów do jazdy na suwak – czy też ten ostatni otrzyma dwa mandaty? Pytanie wbrew pozorom ma sporo sensu, bo przecież gdy obecnie kierowca autobusu, wyjeżdżając z zatoki, włącza się do ruchu, to kierowcy mają obowiązek go wpuścić, ale nie tracą pierwszeństwa – jeśli dojdzie do kolizji, winny jest kierowca autobusu. Na portalach motoryzacyjnych autorzy dzielą się na tych, którzy uważają, że winny będzie kierowca A, oraz tych, którzy sądzą, że w przypadku suwaka kierowca B traci bezwzględne pierwszeństwo i w razie kolizji będzie ponosić za nią odpowiedzialność. Co więcej, wielu tych autorów uważa, że przepisy w tym względzie są jednoznaczne, podobnie niestety może być więc również na drogach.

Po drugie: Co oznacza sformułowanie „w warunkach znacznego zmniejszenia prędkości”? Czy to spadek z 50 do 10 km/godz., czy z 80 do 40 km/godz., a może oba? I znów:

Czyja będzie wina, jeśli kierowca C uzna, że doszło już do znacznego zmniejszenia prędkości, bo utworzył się tzw. wolno jadący korek, a kierowca B będzie przekonany, że co prawda ruch jest spory, ale korek to nie jest?

Po trzecie: Jak w razie kolizji na drodze, która z trzech pasów zwęża się do jednego, udowodnić, że zanim doszło do stłuczki, kierowca B wpuścił już zgodnie z nowymi przepisami dwa inne pojazdy (najpierw z prawej, potem z lewej) i teraz to on miał prawo jechać, ale wepchnął się przed niego kolejny samochód z prawej? Bez dobrej kamerki ani rusz, bo na pewno nie zabraknie takich, którzy z poszkodowanego spróbują zrobić sprawcę.

Po czwarte: Czy nowe przepisy będą obowiązywały, gdy np. z trzech pasów do jazdy prosto jeden staje się pasem tylko do jazdy w prawo/lewo?

Po piąte: Czy skoro w ustawie mowa jest o „bezpośredniości”, to czy wpuszczenie kierowcy z kończącego się pasa kilkadziesiąt metrów przed końcem pasa będzie wykroczeniem? W teorii miałoby to sens, bo wpuszczanie zbyt wielu samochodów zbyt wcześnie też powoduje narastanie drogowych zatorów.

Zanim jazda na suwak stanie się obowiązkiem, kierowcy muszą mieć jasność, jak mają jeździć. Bez niej nowe przepisy wprowadzą na nasze drogi straszliwy bałagan, na którym zyskają głównie producenci kamerki i blacharze. ©

KAŻDY PIĄTEK 19:45

**NOWOŚCI
FILMOWE**

PREMIERY



MAGAZYN FILMOWY PIOTRA GOĆKA



DVD ♦ BLU-RAY ♦ STREAMING



ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Z perspektywy turysty

Kraków jest jednym z najważniejszych miast kulturalnych i politycznych w Polsce. To w tym miejscu znajdowało się główne dowództwo nazistów w trakcie II wojny światowej. Te dwa zdania otwierają pierwszą, wprowadzającą informację o moim mieście na stronie Trip Advisor, jednej z najpopularniejszych, globalnych witryn turystycznych. Oficjalnie witryna ta przedstawia się jako „amerykański agregator opinii”. Ma siedzibę w stanie Massachusetts. Taką akurat wyagregowała „wiedzę”, jakby zgodną z „krytyczną” opinią o tym, co należy dziś kojarzyć z Polską w ogóle.

Głupota czy perfidia? Najważniejszym magnesem, który ma przyciągać do Krakowa, okazuje się „fakt”, że była to światowa stolica „nazistów”? Dodajmy, że w krótkiej wizytówce Krakowa jest jeszcze w Trip Advisorze miejsce na obóz zagłady Żydów w Płaszowie, fabrykę dobrego Niemca Schindlera i, na czwartym i ostatnim miejscu: Rynek – przykład architektury średniowiecznej. Nic więcej – żadnego tam Wawelu, kościołów (choćby Mariackiego), Collegium Maius, nawet kopalni w Wieliczce, nie mówiąc o śladach

św. Jana Pawła czy św. Faustyny. Jeśli państwo nie wierzą, to proszę sprawdzić na stronie Advisora. Czy trzeba protestować, prostować? Że nie było pod Wawelem żadnego dowództwa „nazistów”? Że, owszem, na terenie dzisiejszej Polski była jedna z kwater Hitlera, ale nie w Krakowie, tylko w Gierłożu pod Kętrzynem, 537 km na północ od mojego miasta? A może powinienem się jednak cieszyć, że mamy jakiś wabik na turystów w Krakowie? I przyjąć rolę mieszkańca kwatery głównej nazistów, nieco może nawet skruszonego taką „prawdą” o tradycji mojego miasta i większej ojczyzny – Polski?

Mam wrażenie, że doszliśmy do granicy jakiegoś szaleństwa w pogardzie dla prawdy historycznej, a także w nienawiści do polskiej przeszłości. I idziemy dalej, w pochodzie postępu, pod hasłem: „Patriotyzm jest jak faszyzm”. Ktoś może niesie inne, ale podobne: „Polskość to nienormalność” albo: „Precz z białą gęsią!”.

Dokąd idziemy? Zglądałam w czasie ostatniej wizyty w Paryżu do mojej ulubionej księgarni, jednej z największych w tym mieście: Gibert Joseph przy bulwarze Saint Michel. Zmierzam w stronę półek z historią. Tam bez niespodzianek. Kilkanaście metrów bieżących zajętych przez kilkadziesiąt tytułów poświęconych Rosji i Związkowi Sowieckiemu – na ogół oczywiście z sympatią dla wspaniałego, bratniego imperium, oświeconej Katarzyny, cudownej kultury Dowżenki i Tatliny, a potem dla jeszcze wspanialszego „eksperymentu” Lenina i Trockiego (oraz Stalina). Obok, na dole, ćwierć półeczki zajmuje sześć książek o Polsce. To właściwie wyłącznie przyczynki do zbrodni polskich na sąsiadach. Jest w tej szóstce nawet książka o aktualności problemu mordów rytualnych w polskiej debacie publicznej po 1991 r. Polska to nazizm

i antysemityzm w najstraszliwszym wydaniu.

W Berlinie jest lepiej. W tu-tejszej mojej ulubionej księgarni, u Dussmanna na Friedrichstrasse, oczywiście także Rosja jest „über alles”. Jest jednak dużo więcej książek o Polsce i oferta znacznie bardziej zróżnicowana. Niedawno była jeszcze nawet praca młodego historyka niemieckiego, Daniela Brewinga, znakomicie dokumentująca niemieckie masakry polskiej ludności cywilnej (głównie chłopów) w latach 1939–1945. Przeważa jednak ta wizja naszej historii, którą lansują niezwykle zgodnie tutejsze media: to niebezpieczny nacjonalizm, który trzeba przezwyciężyć wedle światłego wzoru, pochodzącego od nauczycieli niemieckich. Istotą tego problemu znakomicie uchwycił mój kolega, prof. Jan Rydel, jeden z najlepszych znawców stosunków polsko-niemieckich. Odwiedził niedawno Muzeum – Miejsce Pamięci Ravensbrück. W tym niemieckim obozie koncentracyjnym, położonym 80 km na północ od Berlina (nie w Krakowie), zamęczonych zostało blisko 100 tys. kobiet. Najwięcej z nich, ok. 40 proc., to Polki. W imię obecnej poprawności historycznej próbuje się zlikwidować upamiętnienie ofiar, wskazujące udział poszczególnych narodów w tym strasliwym doświadczeniu. Chociaż Polki ginęły dlatego właśnie, podobnie jak Żydówki, że należały do konkretnego narodu. Profesor Rydel pokazał swoim niemieckim słuchaczom nagranie z koncertu plenerowego w Warszawie z 1 sierpnia 2015 r. (pod patronatem prezydenta Komorowskiego jeszcze). Tysiące młodych Polaków i Polek śpiewają piosenki patriotyczne z czasu II wojny. Niemcy swoich piosenek z czasu II wojny śpiewać nie mogą. My jeszcze możemy.

Co na to Trip Advisor? Niech państwo sprawdzą sami. ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



Codzienna porcja padliny

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Patocelebryci, czyli sława, sława

Złamany był. Twierdził, że przegrał, mimo że wygrał. To była absolutnie niecodzienna walka, widziały ją miliony i nikt z inteligencji, takie walki są bowiem dla inteligencji zakazane, gdyż inteligencja nie może takich rzeczy oglądać. Ja mogę, więc państwu zrelacjonuję, żeby państwo wiedzieli „ocokaman” (mogą sobie państwo ten zwrot przyswoić, może się przydać, gdyby mieli państwo przez przypadek kontakt z kimś takim jak ja czy z kimś podobnym).

Otóż „Lord Kruszwil” walczył na pięści, nogi, duszenia i dźwignie z „Mini Majkiem” w trójmiejskiej Ergo Arenie, wypełnionej ludźmi, którzy kupili z własnej woli bilety.

„Mini Majk” to pseudonim Mateusza Krzyżanowskiego, który ma w tej chwili 24 lata, jest prawdziwym karłem (130 cm wzrostu), ma wielkie serce i to on wyzwał na pojedynki „LORDA KRUSZWILA”. Karzeł ma swój kanał na YouTube i rzeszę, rzeszę, rzeszę wielbicieli. Radio Zet donosiło, że wcześniej pracował jako atrakcja wieczoru w nocnych klubach. pozwól państwu, że w tym miejscu utnę ten wątek.

„Lord Kruszwil” ma 18 lat, nazywa się Marek Kruszewski i w Internecie wśród młodzieży polskiej ma sławę niewyobrażalną. Jego kanał na YouTube śledziło 2,5 mln ludzi (!), sława naprawdę nieprawdopodobna, choć państwo nie słyszeło. W swoich filmikach przekracza wiele granic. Kazał np. małolata łapać kobiety za pupy. Wymyśla też dla ludzi różne konkurencje, które można na-

zwać kontrowersyjnymi, choć niektórzy używają przymiotnika „upokarzające”. Weszła do niego policja i pozabierała mu komputery.

Teraz walczył z karłem w oktagonie. Wygrał z „Mini Majkiem”, ale nie było lekko, a publika go wygwizdała (No, bo karła kopać? Weź!). Takie walki organizuje Fame MMA. Z pewnego punktu widzenia, nazwijmy to socjologicznego, są interesujące, choć uczestników stygmatyzuje się jako „patocelebrytów”. A jeszcze jedno, przed tymi freak fights uczestnicy na specjalnych konferencjach mówią o swoich przeciwnikach. Są tacy, którzy wplatają słowa nieobelżywe.

Widziałem taki filmik takiej polskiej polityczki, która opowiadała z kamienną twarzą o gwałconych krowach, a potem, że „żadna krowa, tak jak żadna kobieta – proszę spojrzeć, tutaj jest masa kobiet – one nie dają mleka tak po prostu”. Broniła też praw zwierząt do życia, nosząc skórzane paski, co uznane zostało za hipokryzję osoby lekko nawiedzanej.

Inna polityczka, która wcześniej była kontrowersyjną youtuberką, została polityczką tylko dlatego, że wcześniej była kontrowersyjną youtuberką. Przed pomnikiem Polskiego Państwa Podziemnego, na którym jest napis: „Bóg, Honor, Ojczyzna”, ustawiła się z transparentem: „Bób, Hummus, Włoszczyzna” i bardzo ją to bawiło. Chciałbym te panie zobaczyć w oktagonie Fame MMA. Mogłyby być supportem do walki karła... ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIĄŁ

Puszki z Pandorą

Szermierki słowne polskich polityków to temat przynajmniej tak stary jak Trójkiowy plebiscyt „Srebrne Usta”. O ile przez lata miał on formułę wyróżniania z natłoku przemówień parlamentarno-medialnych bon motów, niejednokrotnie wchodzących do mowy potocznej („Zdrowie wasze w gardła nasze” Wałęsy czy „Mężczyzn poznaje się nie po tym, jak zaczynają, ale jak kończą” Millera), o tyle od pewnego czasu po prostu stracił sens.

Na moje oko przynajmniej od 2015 r., a mam poważne obawy, że obecna kadencja ten trend jeszcze podbije. Na masową skalę jesteśmy bowiem bombardowani nie tyle lapsusami językowymi, ile galopującą ignorancją, która bardziej przeraża, niż śmieszy.

W tej dziedzinie ścieżki przetarł do poziomu człowieka Ryszard Petru, ale jego godnych następców przecież nie brakuje. Ot, raptem kilka dni temu w Polsce wiceprezydent Warszawy Paweł Rabiej stwierdził, że „to Jarosław Kaczyński wypuścił tę puszkę z Pandorą”, którą ma być walka ze środowiskami LGBT. Nie ma sensu pastwić się nad politykiem, że nie zna szczegółów ani wszystkich wersji mitu o pierwszej kobiecie, którą Grecy bogowie zesłali na Ziemię jako karę za wolę Prometeusza.

Czymś jednak z gatunku elementarza cywilizacji Zachodu jest odróżnianie tego, że puszka,

którą otrzymała od Zeusa i otworzyła z ciekawości, była siedliskiem wszelkich nieszczęść, od tego, że nie siedziała w niej jakaś tajemnicza – czymkolwiek by była – Pandora.

Zresztą podobnie przypomniał o swoim istnieniu, sugerując (grożąc?), że nie wyklucza powrotu do polityki, wspomniany założyciel Nowoczesnej. – Odchodzi pan z polityki na amen? – zapytał w swoim programie Tomasz Lis. – Nie znam słowa „amen”. [...] Teraz odchodzę, ale nie ma słowa „amen” – odpowiedział Petru. I faktycznie, gdyby znał to słowo, miałby świadomość, że nie oznacza końca i zamknięcia jakiegoś rozdziału, ale z języka hebrajskiego zwrot ten tłumaczy się jako: „niech się stanie”.

Gdzieś w tle porażek polskiego systemu edukacji oraz humanistyki rośnie inny groźny trend. Na pierwszą aktywność, jeszcze przed zaprzysiężeniem nowego Sejmu, grupa pań z ramienia Lewicy wybrała bowiem złożenie podania o dopisanie do tabliczek na Wiejskiej „żeńskich końcówek” i zamienienia „pośła” na „poślanek”. Tak tym rozentuzjasmowały inne klubowe koleżanki, że te zaczęły być „poślankami-elektkami”, „doktorkami” oraz „gościńiami” w programach telewizyjnych.

Kto by pomyślał, że dożyjemy do czasów, w których z rozrzewnieniem będzie się wspominać parlamentarne szarże Andrzeja Leppera? ©©



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Poseł wyszedł z nerw

DOMINIK TARCZYŃSKI: *Kończówkę wsadź sobie w mózg albo w brudne buty, może pomoże. Nie pokonacie normalności, dewianci. To szaleństwo powstrzymamy i wasze chore ideologie z radością poniżę. Dla dobra naszych dzieci! Zrobię to w Sejmie. Czekam na pierwsze posiedzenie z tym nowotworem demokracji.*

Takim oto bluzgiem Dominik Tarczyński potraktował na Twitterze posłankę Razem Magdę Biejat. „Mocne, ale z nimi inaczej nie można. Musimy się przed tą nieokrzesaną dziczą bronić, zanim zdeprawują nasze dzieci

zresztą podejrzewam o bycie antypisowskim trollem mającym za zadanie ośmieszanie PiS, bo ludzie nie mogą być aż tak głupi. Czym bowiem „dewiantka” Biejat „deprawuje dzieci” i „obraża symbole wiary”? Ano ośmieliła się w stosunku do siebie samej użyć słowa „gościa” zamiast „gość”. Rzeczywiście, straszne.

Nie jestem wielką fanką feministycznych eksperymentów na języku polskim, nie sądzę też, żeby np. Ewa Kopacz chciała być nazywana „Prezeską Rady Ministrów i Ministr”, ale akurat użyte przez Biejat słowo „gościa” w języku polskim swego czasu istniało i jeśli posłanka chce sobie gością być – to niech nią będzie. Jeśli ktoś ma z tym problem tak wielki, że traci z tego powodu panowanie nad sobą, to musi być z nim naprawdę źle. A przecież kadencja nawet się jeszcze nie rozpoczęła. Gdybym odpowiadała za internetową kampanię opozycji, zakładałabym właśnie fikcyjne konta, z których zagrzewałabym Tarczyńskiego do takich

właśnie zachowań, bo jest on nawet lepszym prezentem dla opozycji niż Jachira jest dla PiS, z której politycy PO się przynajmniej od czasu do czasu tłumaczą. Tymczasem chamski i niczym niesprowokowany atak Tarczyńskiego na Biejat nie doczekał się żadnej reakcji któregoś z ważniejszych polityków PiS, o przeprosinach ze strony samego Tarczyńskiego nie wspominając, można więc przyjąć, że partii Jarosława Kaczyńskiego albo nie przeszkadza słowny damski bokser, albo nie ma już nad nim żadnej kontroli.

Oba scenariusze źle wróżą partii rządzącej, której jeszcze nie raz przyjdzie świecić oczami za nieumiejącego się zachować posła. Jeśli chce zamknąć ten incydent, powinna zmusić Tarczyńskiego do przeproszenia Biejat i to tak, żeby nikomu te przeprosiny nie umknęły. Jeśli bowiem poseł nie ma żadnych wewnętrznych hamulców powstrzymujących go przed takim zachowaniem, to niech się przynajmniej boi, że będzie się musiał potem za nie ukorzyć. ©©

Chamski i niczym niesprowokowany atak Tarczyńskiego na Biejat nie doczekał się żadnej reakcji któregoś z ważniejszych polityków PiS

i wnuki, zanim odwrócą im znaczenie pojęć i namieszają w głowach. Dość łżenia nas, katolików, dość obrażania naszych uczuć i symboli wiary” – odpowiedziała mu fanka, którą

PODSŁUCHANE

W komórku

O, nasza świeżo upieczona poseł. Dzień dobry, pani Marcelino. Nie „poseł”; tylko „posełka”, panie Włodzimierzu. Już panu mówiłam, że jeśli pan nie zmieni zachowania, to będę musiała uznać, że SLD to partia szowinistyczno-mizoginistycznych konserwatystek i konserwatystów.

Przepraszam, ja się ciągle nie mogę przyzwycząić. Zawsze też myślałem,

że jeśli już, to „posłanka”, a nie „posełka”. „Posłanka” to forma naznaczona reakcyjno-maskulinistycznym balastem, nie uznajemy jej z koleżankami i kolegami. Albo raczej z koleżankami i koleżankami.

A dlaczego taka kolejność? Pytam, bo chciałbym się dostosować...

Ponieważ kolejność trzeba zmieniać, żeby nie preferować żadnej płci. Raz najpierw formy męskie, potem żeńskie, później odwrotnie. Nie mamy jeszcze końcówek dla osób neutralnych

lub nieokreślonych płciowo, ale pracujemy nad tym.

Skąd jednak pani wie, w jakiej kolejności mówić w danym momencie?

Fakt, łatwo nie jest, ale – proszę, tu mam taką aplikację w komórku i sobie klikam, a ono mi dyskretnie przypomina wibracjami, czy teraz najpierw żeńska forma czy męska.

W „komórku”?

Tak. Teraz to będzie „to komórko”. Wprowadzamy neutralność płciową przedmiotów w języku. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Przypominam. Inkwizycja w dawnych czasach karała za wiedzę. Bruno Schulz został spalony na stosie. My na razie na stosie może jeszcze nie palimy...”

WANDA NOWICKA, posłanka Lewicy, w telewizji Polsat

fot. Jerzy Gumowski



Kunst ripostowania (2)

Kunst błyskotliwego ripostowania jest sztuką olimpijskiej kategorii, a w hierarchii mocy intelektualnych człowieka stoi nawet wyżej niż subtelne poczucie humoru. Bardzo niewielu ludzi ma talent „*odszczękiwania się*” z refleksem i polotem w każdej sytuacji, czyli na zawołanie, podczas gdy okazjonalny „*strzał*” może się zdarzyć prawie każdemu, choćby przez przypadek, szczęśliwie lub mimowolnie. Ojciec strofuje syna:

— Wziąłbyś się wreszcie do jakiegoś roboty, Zbysiu! Ja w twoim wieku po całych nocach rozładowywałem wagony.

Na co z kuchni odzywa się matka:

— Taaa... dopóki cię nie złapali!

Mieć męża cwaniaka zarobkowego unikać tego aresztowań chciałaby niejedna z żon. Tyczą to też „*mężów stanu*”, których profesja to niezłe wariactwo, coś à la dyskoteka na polu minowym. Całymi nocami rozładowują problemy swej partii, knując przeciwko wrogim partiom, dniami zaś głoszą ludowi swą ideowość i szlachetność, póki nie zostaną złapani przy wagonach... czyli przy kopertach lub innych korupcyjnych faworach (od mercedesów, do sexcesów) wynagradzających „*płatną protekcję*” tudzież bliskoznaczne „*numery*”. Właśnie oni — politycy — byli ekskluzywnymi bohaterami zeszłotygodniowego felietonu, zaś niniejsza część 2 tyczy kunsztu ripostowania u twórców, naukowców, wojaków, i temu podobnych filitów. Jako że „*bliższa koszula ciału*” — weźmy pisarzy na początek.

● Renomowany XVIII-wieczny krytyk literacki, pisarz i dramaturg, Gotthold Ephraim Lessing, jak każdy „*człowiek pióra*” nękany był przez początkujących literatów — debutantów prośbami o ocenę ich prac. Pewnego dnia listonosz dostarczył mu utwór zatytułowany „*Dlaczego żyję?*” oraz list autora z żądaniem recenzji. Przeczytał, i następnie odpisał krótko: „*Żyje pan tylko dlatego, że wysłał pan swoje płody pocztą, a nie przyniósł ich pan osobiście!*”.

Ze stulecia kolejnego — z XIX wieku — pochodzą anegdoty dotyczące wielu geniuszy prozatorstwa — przywołam niżej czterech: Francuza, Duńczyka, Szwajcara i Amerykanina.

● Gdy Honoré de Balzac wstąpił do swego wydawcy po zaliczkę, sekretarz edytora próbował zniechęcić go u progu:

— Pan wybacz, monsieur Balzac, lecz szef dzisiaj nie przyjmuje.

Pisarz wzruszył ramionami i odepchnął gromadzącego mu drogę, warcząc:

— Nie szkodzi, że nie przyjmuje, najważniejsze, żeby dawał!

● Hans Christian Andersen odziewał się nieudbale, zakładając garderobę „*wyszmelcowa-*

na” i wymiętą. Pewnego razu usłyszał od jakiegoś złośliwca:

— Ten żałosny przedmiot na pańskiej głowie nazywa pan kapeluszem?

Król baśniopisarzy odparował nie tracąc spokoju:

— A ten żałosny przedmiot pod pańskim kapeluszem nazywa pan głową?

● Szwajcarski pisarz Gottfried Keller pił znacznie więcej wina aniżeli zezwalał stan jego zdrowia. Lekarz poradził mu taktownie:

— Mistrzu... musi pan mocno zmniejszyć ilość spożywanych płynów.

Keller pokiwał głową ze zrozumieniem:

— W porządku, panie doktorze, od jutra przestanę jeść zupy.

● Na jakimś przyjęciu Mark Twain skomplementował damę siedzącą obok niego:

— Pani jest bardzo piękna.

Dama jednak prychnęła z gniewnym grymasem ust:

— Szkoda, że o panu nie można powiedzieć tego samego!

Wówczas Twain stoicko poradził jej:

— To niech pani skłamię tak jak ja.

Przenosimy się do XX wieku:

● Gdy Albert Camus pracował dla gazety „*Alger Republicain*” (1939), w siedzibie redakcji cenzura (rozwścieczona niepokor-



Mikołaj Rej („Apoftegmata krótsze”): „Wszystko krótkiemu słowy, co trzeba, rozprawię”



nością żurnalistów) zainstalowała na stałe dwóch swoich funkcjonariuszy, którzy byli oficerami kawalerii. Obaj starali się zachowywać przyzwoicie, przymykali oko bardzo często, lecz Camus i jego kumple mieli taką awersję do cenzury, że zwalczaliby cenzora nawet gdyby był 25-lletnią blondynką o wymiarach nienagannyh. Co i rusz więc razili nieszczęsnych kawalerzystów za pomocą cytatów z tekstów ludzi sławnych, przytaczając drukiem frazy takie, jak opinia znanego pisarza André Maurois: „*Kiedy człowiek dosiada konia, wierzchowiec jest zawsze inteligentniejszy od jeźdźcy*”.

Tknęliśmy kawalerię, zostaliśmy więc przy wojskowych:

● Po „*kampanii włoskiej*” (1796), pełnej zwycięstw nad armiami Habsburgów, „*bóg wojny*” Bonaparte rozgałał się o polityce na przyjęciu we własnym domu, zapominając prosić gości do komnaty, gdzie czekała wieczerza, tedy żona, dla przypomnienia, trąciła go w ramię, co skwitował wesoło:

— Jesteście świadkami, że małżonka mnie bije!

Któryś z gości zauważył wówczas:

— Jest ona, generale, jedyną na świecie osobą, której udaje się to robić.

● Gdy już został cesarzem (1804), podczas rewii wojsk upadł mu kapelusz. Pewien po-

rucznik schylił się szybciej niż inni i podał monarsze kapelusz od tyłu, zaś władca, któremu chwilę wcześniej składał raport kapitan, nie odwracając się mruknął:

— Dziękuję, kapitanie.

— A w którym pułku, Sire?... — zareagował ze świetnym refleksem porucznik.

Cesarz stanął, odwrócił się, spojrzał na rezolutnego chłopaka, i doceniwszy tak potrzebną w bitwach szybką orientację, uśmiechnął się, decydując:

— Kapitanie... mojei Gwardii przybocznej.

● Gdy sławny korsarz pracujących dla Napoleona, Bretończyk Robert Surcouf, wziął abordażem do niewoli (blisko Port-Louis) załogę kolejnego zdobytego przezeń okrętu brytyjskiego — angielski kapitan prychnął mu w twarz:

— Wy, Francuzi, bijecie się tylko dla pieniędzy, natomiast my o honor narodu!

— To prawda, mój panie — wycedził zimno Surcouf. — Każdy bije się o to, czego mu brak.

● Nieco podobny dialog odbył się za II Wojny Światowej, gdy wysoki oficer amerykańskiej marynarki tak witał swego kolegę angielskiego:

— Uszanowanie dla przedstawiciela drugiej co do wielkości floty globu!

Brytyjczyk odparł grzecznie:

— Czuję się zaszczycony mogąc poznać przedstawiciela drugiej co do wielkości floty globu.

● Łeb na karku miał również kierowca Alberta Einsteina objeżdżającego liczne uczelnie amerykańskie z wykładem o swej teorii względności. Ów szofer rzekł mu po kilku miesiącach:

— Tyle razy słyszałem już ten wykład, panie doktorze, że mógłbym powtórzyć każde słowo.

— Tak?... Więc go wygłoś na tym uniwersytecie! — zaproponował uczony lubiący robić sobie „*jaja*”.

I zrealizowali to — przebrany szofer wygłosił bez błędu całą prelekcję. Ale gdy skończył, jeden ze słuchaczy, profesor fizyki, zapytał go o jakąś skomplikowaną kwestię matematyczną. Zapytany bez wahania wskazał przebranego Einsteina, mówiąc:

— Dziwię się, że pan pyta, kolego, o tak prostą rzecz. Ten problem nie jest trudny nawet dla mojego szofera, niech on odpowie panu.

Winiem jeszcze zdradzić, która spośród wszystkich znanych mi celnych ripost jest moją ulubioną:

● Król Ludwik XIV objeżdżając kraj ujrzał raz swego sobowtóra, wieśniaka, i zapytał zdziwiony:

— Czy twoja matka aby nie służyła kiedyś na królewskim dworze?

— Nie, Wasza Miłość, ale mój ojciec służył swego czasu. ©©

Waldemar Łysiak

GI NT RO WS KI X

JUBILEUSZOWY
KONCERT

**TEATR
POLSKI**

im. ARNOLDA SZYFMANA
W WARSZAWIE

BILETY
DOSTĘPNE
W KASIE
TEATRU



PRZEMYSŁAW GINTROWSKI
FOT. JERZY KOŚNIK

MECENASI KONCERTU:



PARTNERZY:



PATRONAT MEDIALNY:

